

ZNOWU
PATRZĘ,
JAK ŚPISZ

UŚPIIONA

ALICJA
SINICKA

ALICJA
SINICKA

UŚPIONA



Copyright © by Alicja Sinicka, MMXXII
Wydanie I
Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Motto](#)

[***](#)

[Rozdział 1](#)

[Wizyta 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Wizyta 2](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Wizyta 3](#)

[Rozdział 6](#)

[Wizyta 4](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Wizyta 5](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Wizyta 6](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Wizyta 7](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Podziękowania](#)

Każdy sen, ten czarowny i piękny, zbyt długo śniony zamienia się w koszmar.

A z takiego budzimy się z krzykiem.

Andrzej Sapkowski, Pani Jeziora

Na tyłach twojego domu rosną stare drzewa owocowe. Często do nich wychodzisz. Chyba cię to odpręża. Pijesz kawę, siedząc przy plastikowym stole pod starą jabłonią. Czasem przyjmujesz w ogrodzie uczniów. Prowadzisz z nimi pogawędki po angielsku swoim melodyjnym głosem. Gdy wychodzą, zajmujesz się roślinami. Sama kosisz trawę, podlewasz bazylię rosnącą w wielkiej ceramicznej donicy, podcinasz żywopłot z laurowiśni skrzypiącymi nożycami. (Może czas kupić nowe?)

Najbardziej lubię patrzeć, jak zbierasz jabłka z ziemi, opędzając się od pszczół. Twoje długie czarne włosy czasem sięgają trawnika. Odgarniasz je wtedy nerwowo, jakby ci przeszkadzały, ale gdyby tak było, wiązałaś je, a robisz to rzadko. Tak naprawdę wiesz, że są twoim atutem, i chętnie pokazujesz je światu.

Lubisz gierki. Wciąż ze mną grasz.

Czasem wydaje mi się, że dobrze wiesz o moich wizytach. To dlatego kładziesz się zawsze w sypialni, na piętrze. Chcesz, żeby było intymnie. Leżysz na szerokim łóżku, zwarta i gotowa. Czekasz na mnie, czując mrowienie między udami. Spotykamy się tam, gdzie kończy się jawa, a zaczyna sen. Przyjmujesz mnie z zamkniętymi oczami. Nie robię ci nic złego. Muszę obchodzić się z tobą ostrożnie. Mam świadomość tego, że gdy otworzysz oczy, czar pryśnie.

Lepiej nie ryzykować. To może się dla nas źle skończyć.

Rozdział 1

– Schody są dość strome, w zimie trzeba uważać – mówię, wdrapując się po wysokich betonowych stopniach na zadaszoną werandę.

Odpowiada mi tylko tupot kroków, rozlegający się tuż za mną. Choć dopiero co się poznaliśmy, wiem już, że nie jest specjalnie gadatliwy. Może to dobrze.

– Drzwi są stosunkowo nowe. Wymieniliśmy je kilka lat temu – mówię dalej.

– My?

Odwracam się i spoglądam na niego, jakbym nie dowierzała, że zadał to pytanie. Nie wiem, skąd nagle ta dociekliwość. Ma bystre niebieskie oczy i czarne włosy sterzące sztywno nad niskim czołem. Na jego szczupłym twardym ramieniu wisi wielka płaska teczka, która od zawsze kojarzy mi się z artystami i studentami Akademii Sztuk Pięknych.

– Tak, my. Moja rodzina i ja – odpowiadam, kontynuując wspinaczkę po schodach.

– Myślałem, że to pani jest właścicielką całego obiektu.

– Teraz tak. Ciocia zmarła przed rokiem, wujek jakieś trzy lata temu. Zostałam tu sama.

– Rozumiem – stwierdza po chwili ciszy, gdy wchodzimy już do mieszkania.

Zsuwam ze stóp gumowe klapki i zostawiam je pod lustrem w sieni. Widząc to, on ściąga swoje przykurzone adidas. Na dworze jest dość sucho i chłodno, choć mamy dopiero początek września. Ostrożnie opiera teczkę o ścianę, a następnie kuca przy niej i stabilizuje ją, rzucając jej zatroskane spojrzenie, jakby była małą dziewczynką, którą musi zostawić na chwilę samą.

– Mieszkanie nie jest duże, ale myślę, że dla jednej osoby będzie wystarczające – mówię, gdy przechodzimy wąskim korytarzem do niewielkiego salonu połączonego z aneksem kuchennym. Po prawej stronie jest łukowate przejście do sypialni.

– Myślę, że tak – przyznaje mi rację. – Dobrze, że okna są małe. Będę mógł zawiesić na nich zasłony?

– Zasłony? – Spoglądam na niego pytająco.

– Słoneczne światło często mi przeszkadza, gdy maluję.

Nic nie odpowiadam, tylko rozglądam się po salonie. Patrę na białe ściany, do których dosunięte są wiekowe polakierowane meble. Stary wycyklinowany parkiet błyszczący w bladych promieniach słońca.

– Nie nabrudzę – mówi, jakby czytał mi w myślach.

– Maluje pan w domu?

- Nie dorobiłem się jeszcze swojej pracowni – odpowiada.
- Czyli jest pan zawodowym malarzem?
- Pracuję jeszcze jako grafik komputerowy.

Podchodzę do okna, lekko zbита z tropu. Jest trzecim potencjalnym najemcą, z którym spotykam się w tym tygodniu. Pierwszy przyszedł na spotkanie pijany i nie był w stanie składnie odpowiedzieć na najprostsze pytania, a kobieta, która była wczoraj, sama zadawała mnóstwo wzbudających niepokój pytań. „Czy będę mogła palić papierosy w mieszkaniu?” „Czy dom jest ubezpieczony od pożaru?” „Czy jeśli moje rzeczy spłoną, to dostanę odszkodowanie?” „Czy jeśli spadnę ze schodów, to będę mogła liczyć na zadośćuczynienie z pani strony?” Za dużo problemów jak na dziesięć minut znajomości.

Bruno Lira jest inny. Spokojny i zdystansowany, tak samo jak ja. Martwi mnie tylko to jego malarstwo. Nie wiedzieć czemu kojarzy mi się niebezpiecznie z alkoholem i narkotykami, z bałaganem, choć on zapewnia przecież, że nie brudzi.

- Mogę wiedzieć, co pan maluje? – pytam nieśmiało, patrząc na pierzaste liście paproci piętrzące się w kącie salonu.

- Głównie ludzi, czasem zwierzęta, generalnie wszystko, czego nie rozumiem.

Odwracam się do niego. Wydaje mi się, że mnie przed chwilą obserwował.

Teraz masuje wewnętrzne kąciaki oczu. Wygląda na zmęczonego.

- Po co malować wszystko, czego się nie rozumie? – drażę temat, lekko się uśmiechając.

- Żeby się do tego zbliżyć – odpowiada bez zastanowienia, odwzajemniając uśmiech.

- Czy będzie pan przyprawdzać tutaj ludzi, którzy będą panu pozować?

- Kiedyś tego próbowałem, ale nie potrafiłem się skupić. Gdy maluję, muszę być sam. Wolę korzystać z fotografii i z wyobraźni. Obrazy często powstają w mojej głowie, potem wydobywam je z siebie najwierniej, jak potrafię.

- Słyszałam o tym. Ludzie wysyłają zdjęcia do malarza, a on odsyła im gotowy portret.

- Nie, ja muszę znać osobę, którą maluję. Tylko wtedy jestem w stanie wczuć się w jej istotę.

Nie wiem, co odpowiedzieć na to wyznanie. Właściwie odkąd przyznał, że jest malarzem, nie wiem, co mam z nim zrobić. Teczka nie naprowadziła mnie od razu na ten trop. Nie sądziłam, że malowanie wypełnia jego dni, że będzie chciał tu rozłożyć sztalugę i za pomocą ruchów pędzla zbliżyć się do rzeczy, których nie rozumie.

Czuć jednak od niego też jakąś roztropność, która daje mi nadzieję na ciszę i minimalną liczbę problemów. Koleżanka wynajmuje dom grafikowi, który cały dzień siedzi przed komputerem. Mówi, że tacy ludzie to najlepsi lokatorzy.

- Może przejdziemy na kanapę? – proponuję po chwili ciszy.

– Chętnie.

Rozmawiamy o warunkach wynajmu. Odpowiada mu kwota z ogłoszenia, będzie płacił z góry. Sięga do kieszeni i pokazuje lekko wybrzuszoną kopertę. Nie spodziewałam się, że będzie miał ze sobą pieniądze. Nie przyjmuję ich, muszę się jeszcze zastanowić, czy jest odpowiednim kandydatem. Malarz chce się wprowadzić najszybciej, jak to możliwe. Umawiamy się na telefon na następny dzień. W sieni ostrożnie zakłada na ramię swoją teczkę. Zanim wychodzi, pyta jeszcze:

- Czy ktoś tu już mieszkał wcześniej?
- Dawno temu. Skąd to pytanie?
- Ta paproć w salonie wyglądała na zadbaną.
- Jest pan spostrzegawczy.

Wzrusza ramionami, jakby to było oczywiste. Dociera do mnie, że być może każdy malarz zwraca uwagę na szczegóły. Wciąż na mnie patrzy, czuję się zobligowana, żeby pełniej odpowiedzieć na jego pytanie o wcześniejszego lokatora.

– Mieszkał tu kiedyś mój wujek, były mąż cici. Paproć faktycznie należała do niego. Stoi w tym samym miejscu, w którym on ją postawił. Była regularnie przez nas podlewana, dlatego jeszcze się trzyma.

- Czyli mieszkanie stało teraz puste?
- Tak, stało puste.
- Przez długi czas?
- Przez dwa lata, odkąd umarł.

Czuję mrowienie w klatce piersiowej. Nie chodzi o jego pytania, ale o niewygodną prawdę na temat tego mieszkania, której mu nie wyjawiałam.

- Dopiero teraz zdecydowała się je pani wynająć.
- Dodatkowe pieniądze się przydadzą.
- Wiadomo. To czekam na pani telefon. Do widzenia.
- Do widzenia.

Schodzi po schodach, sunąc smukłymi palcami po metalowej barierce. Gdy jest już przy furtce, odwraca się w moją stronę i kiwa jeszcze głową na pożegnanie. Wracam do mieszkania po Antonim i siadam na wysłużonej kanapie. Sprężyny cicho skrzypią, a ja przypominam sobie dzień, w którym po raz ostatni widziałam tutaj mojego wuja. Przed oczami mam jego zamknięte powieki przypominające szare kamienie, znowu czuję chłód unoszący się nad jego ciałem, jakby było soplem lodu.

Na moment zatapiam twarz w dłoniach, przymykam oczy i już czuję, jak moją świadomość zaczyna rozrzedzać ciemność. Z trudem rozchylam powieki i spoglądam na zegarek. Kwadrans po drugiej. Z reguły o tej porze już śpię, ale nie dziś. Wszystko przez to, że malarz się spóźnił. Umówiliśmy się na wpół do drugiej, bo tak mu pasowało.

W końcu i tak przyszedł za pięć. Nie skomentował tego, jakby nie był świadomy swojego spóźnienia.

Już dawno pogodziłam się z myślą, że świat nie będzie działał zgodnie z moim rytmem. Co nie zmienia faktu, że czasem takie trywialne ludzkie przewinienia mnie irytują. Sama jestem uporządkowaną osobą, na tyle, na ile pozwala mi na to moja choroba. Mam narkolepsję. Każdy mój dzień rozpruwają epizody realnych snów, niekiedy poprzedzonych halucynacjami. Zdarzają mi się katapleksje (choć rzadko). Są to chwilowe paraliże, podczas których wiotczeją mi mięśnie twarzy, niekiedy szyi. Moja głowa opada wtedy jak pęk zwiędłego kwiatu, trwa to kilkanaście sekund. Zdarzają się silniejsze ataki, kiedy osuwam się cała na ziemię, ale ostatni raz coś takiego przydarzyło mi się dwa lata temu.

Każdy narkoleptyk choruje inaczej, ja próbuję panować nad moim snem, ujarzmić go, choć bywa to trudne. Aby nie doprowadzać do nagłych epizodów senności, w ciągu dnia robię sobie dwie godzinne drzemki i dodatkowo jedną krótką – chwilę przed południem. Oczywiście nie zawsze udaje mi się trzymać tego schematu, czasem powieki samoistnie opadają mi już o ósmej rano, kiedy czytam poranne wiadomości, ale staram się przestrzegać tej rutyny. Mam już trzydzieści cztery lata i organizm chyba się do niej przyzwyczaił.

Po nocy z reguły jestem wypoczęta i dzięki pomocniczej drzemce przed południem udaje mi się zwykle dotrwać do czternastej. Potem jednak okres czuwania się skraca i muszę sobie zrobić drugą drzemkę, około osiemnastej.

Bruno Lira z kolei żyje w artystycznej bańce, w której nie ma miejsca na monotonię. Artyści to dla mnie odległy świat, fascynujący, ale też niezrozumiały. Pewnie się spóźnił, bo kończył jakieś swoje dzieło, ochlapując ściany i denerwując tym obecnego najemcę. *Summa summarum* i tak zaprezentował się najlepiej spośród wszystkich kandydatów.

Wracam do siebie, wpisując w wyszukiwarce w telefonie jego imię i nazwisko. Po chwili wpatruję się już w mozaikę miniatur obrazów, na których dominują kobiety. Maluje intensywnymi kolorami, tworzy kontrasty, kreskę ma kanciastą, przez co twarze ludzi wydają się zniekształcone, trójkątne, o nieproporcjonalnie dużych oczach. Przystaję przed wejściem do domu i powiększam jeden z jego obrazów, tak że wypełnia teraz cały ekran. Kobieta z długimi czarnymi włosami patrzy na mnie, przechylając lekko głowę – jakby w geście jakiegoś niedowierzania, ale i wyższości. Ma głębokie spojrzenie egzotycznych ciemnych oczu, które zdają się przeszywać człowieka na wylot. Jej twarz zwięza się nierealnie na dole, broda wydaje się lekko spiczasta, jakby dół facjaty stanowił surrealny balans dla pałaco autentycznego spojrzenia oczu. Porusza mnie ten obraz, jest w nim coś elektryzującego. Piszą o Lirze, że lubi zostawiać w tworzonych przez siebie portretach fragmenty własnego wizerunku i że warto

przyglądać się rozwojowi jego malarstwa. Ma trzydzieści pięć lat, co jest dla mnie zaskoczeniem. Dałabym mu mniej.

Jego nazwisko chyba nie jest dobrze znane w kręgach malarskich, bo znajduję tylko kilka wzmianek na jego temat. Zdecydowanie więcej wyskakuje mi jego obrazów.

„Interesujący człowiek”, nasuwa mi się, gdy wchodzę do domu. Czuję otępienie z tyłu głowy, jakby ta część była już wyłączona, pogrążona we śnie. Tylko przód jeszcze jakoś się trzyma. Oczywiście próbują zachować czujność, bo schody faktycznie są strome.

Podczas rozvodu sąd zasądził Antoniemu połowę domu, ale on zgodził się na to, żeby zamieszkać w jego dużo mniejszej części. Wraz z ciotką Idą zrobili remont i wydzielili mu mieszkanie po prawej stronie domu, z osobnym wejściem, do którego prowadzą te schody. Ida (zawsze zwracałam się do niej po imieniu) narzekała czasem, że szpeci jej to budynek, ale wiem, że w głębi duszy cieszyła się, że miała go blisko. Choć sama zażądała rozvodu, nigdy nie przestała go kochać. Myślę, że on też darzył ją jakimś uczuciem. Nigdy nie chciał się stąd wyprowadzić.

Wchodzę głównym wejściem do domu i wędruję schodami na górę, do sypialni. Z każdym kolejnym krokiem czuję, jak wszystko we mnie gaśnie. W końcu widzę rozkopaną pościel na łóżku. Przyciąga mnie jak światło na końcu tunelu. Już jestem na przyjemnie chłodnym materacu i uśmiecham się nieprzytomnie, przebierając kolanami w kierunku drewnianego wezgowia. Zasypiam, jeszcze zanim przyłożę głowę do poduszki.

*

– Wera.

Czyjś szept przeszywa otaczającą mnie ciszę jak świszczący nocą wiatr. Potem znika, choć mam wrażenie, że w każdej chwili może się znowu pojawić. Czekam na niego w szczelinie między jawą a snem, słysząc różne szmery i stukoty, skrzypienie metalowej huštawki w ogrodzie i szum przejeżdżających aut za oknem. Przebudzenie po drzemce często wygląda u mnie właśnie tak. Sen miesza się z rzeczywistością, sama nie wiem, czego jest w tej chwili więcej. Gdybym teraz otworzyła oczy, mogłabym nawet ujrzeć jakiś cień, który jeszcze błąka się wokół mnie niczym zjawa, chcąc załatwić wszystkie swoje sprawy do końca. Gdy się budzę, sen nie odpuszcza od razu. Jakby był za dużym płaszczem, pod którym znikam, by później z trudem go z siebie zrzucić.

Wolę to wszystko przeczekać z zamkniętymi powiekami. W końcu, gdy czuję, że sen odszedł, powoli otwieram oczy i patrzę na czarny lustrzany ekran elektronicznego budzika. Dochodzi piętnasta. Obudziłam się chwilę przed alarmem. Wpatruję się chwilę w czerwone, lekko pochyłe cyfry. Próbuję dojść do siebie.

Jest mi gorąco. Czuję wilgoć pod pachami, zasnęłam w bawełnianej bluzce z długim rękawem i w jeansach. Promienie słońca przesączają się przez szpary w roletach, grzeją mi ramiona i kark. Wciąż patrzę na duży ekran budzika, gdy nagle zauważam ruch w jego prawym górnym rogu. Coś się w nim odbiło, jak w ciemnym lustrze. Odrywam głowę od poduszki i odwracam się za siebie. Drzwi od sypialni są szeroko otwarte. Wydaje mi się, że gdy wchodziłam tu godzinę temu, to je przymykałam. Zawsze to robię, ale dzisiaj przed snem byłam już bardzo zmęczona i nie mogę być pewna wszystkiego, co zrobiłam w ostatnich chwilach przed zaśnięciem. Myślałam tylko o tym, by jak najszybciej dojść do łóżka. Spoglądam jeszcze raz na ekran, potem kieruję wzrok z powrotem na drzwi. Chcę dojść do tego, która część wnętrza domu odbija się w jego prawym rogu. Co to mogło być? Mam wrażenie, że jest to coś znajdującego się w oddali, za wejściem do sypialni, może liście juki stojącej przy drewnianej barierce antresoli? Tuż obok są schody. A może to był jeszcze majak ze snu?

Siadam na łóżku i trę kciukami wewnętrzne kąciaki oczu. Ostatnio nie śpiam najlepiej, jestem bardziej zmęczona niż zwykle. Czuję niepokój, jakby coś mi zagrażało. Dzwoni alarm. Z dołu słychać pierwsze uderzenie wahadłowego zegara stojącego w salonie. Jest trzecia. Wyłączam budzik i nagle słyszę tupot kroków na dole. Najpierw jest cichy, po chwili robi się nerwowy. Ktoś przemierza salon szybko, w popłochu. To na pewno nie jest sen. Wstaję z łóżka i wychodzę z sypialni. Opieram się o barierkę antresoli i z przerażeniem patrzę w dół.

Najpierw widzę jej bordowe włosy spięte białą klamrą, potem dostrzegam materiałową torbę, którą zostawiła na kanapie, i wypuszczam cicho powietrze. To pani Lucyna, sąsiadka mojej mamy z działki. Byłyśmy umówione na lekcję o piętnastej trzydzięci, ale ona przyszła wcześniej.

Nie wiem, jak mogła tak po prostu wejść do mojego domu. Z reguły zamykam drzwi na klucz przed drzemką, ale dziś byłam już bardzo wyczerpana i istnieje szansa, że o tym zapomniałam. Ostatnie chwile przed snem czasem mi uciekają. Szczególnie gdy jestem zmęczona.

Ta kobieta musiała wykorzystać fakt, że drzwi były otwarte. Mogłam się tego spodziewać. Gdy do mnie przychodzi, zawsze puka kilka razy do drzwi, a potem ciągnie za klamkę, próbując sama sobie otworzyć. Jeszcze nigdy jej się to nie udało, bo zamek zawsze był zabezpieczony, ale ona się nie poddaje. Furtka na dworze z kolei otwiera się przez przekręcenie gałki. Wszyscy uczniowie wchodzi do mnie w ten sposób. Domofon zepsuł się parę lat temu i do tej pory nikt go nie naprawił. Wymieniłyśmy tylko z Idą pochwyt na złotą gałkę. Potem Ida zachorowała i to rozwiązanie było dla mnie nawet wygodniejsze. Nie musiałam zatrzymywać się z torbami zakupów pod furtką, szukać klucza w kieszeni, a potem robić tego samego przy drzwiach wejściowych.

Zawsze gdy się spotykam z Lucyną, odnoszę wrażenie, że ona gdzieś się spieszy. Jej ruchy są nerwowe, wypowiedzi krótkie i konkretne.

– Dzień dobry – witam ją ze zdziwieniem w głosie.

Odwraca się na pięcie z kamiennym wyrazem twarzy. Nie patrzy na górę. Rozgląda się po salonie, szuka mnie z przerażeniem w oczach.

– Tu jestem.

Wreszcie unosi wzrok i przykładła dłoń do klatki piersiowej.

– Na śmierć mnie wystraszyłaś.

Unosi lewą rękę i potrząsa nią, przez co szeroki rękaw tuniki zjeżdża w dół, odsłaniając srebrny zegarek. Przykłada do niego palec wskazujący i ze skupieniem odczytuje godzinę.

– Już po trzeciej – mówi.

Schodzę do niej, wygladzając ręką zmierzwiłone włosy.

– Byłyśmy umówione na wpół do czwartej.

– Wiem – odpowiada, dotykając klamry wpiętej we włosy – ale dziś szybciej skończyłam pracę i już nie było sensu zahaczać o dom.

– Zawsze w środy spotykamy się o wpół do czwartej, pani Lucyno. Poza tym proszę na drugi raz używać dzwonka.

– Dzwoniłam, ale nie otworzyłaś. Pewnie spałaś, prawda?

Ścisza głos, jakby ktoś mógł nas usłyszeć. Jakby jej pytanie mogło mnie skrepować.

– Tak.

Kiedyś na działce u rodziców położyłam się spać na leżaku pod starą wiśnią. Była jesień, dochodziła czternasta. Nadeszła moja pora spania i nie miałam już sił, żeby wrócić do domu na drzemkę. Przykryłam się grubym kocem i zasnęłam. O ile w lecie widok kobiety śpiącej na leżaku nie zrobiłby na nikim wrażenia, o tyle jesienią wzbudził oczywiście zainteresowanie sąsiadki zza płotu. Zaraz po przebudzeniu, gdy leżałam jeszcze pod kocem, usłyszałam, jak pyta o to moją mamę.

Ta zbyła ją machnięciem ręki. Powiedziała: „Ona wiecznie śpi”. Mama nie wierzy, że mam narkolepsję. Jest prostą kobietą, która posługuje się prostymi kategoriami. Gdyby zdiagnozowano u mnie depresję, też by nie uwierzyła. Byłaby jedną z tych osób, które potrząsają ramionami chorego i mówią do niego: „Weź się w garść”.

Dla niej narkolepsja to wymysł, jakaś fanaberia, wygodne uzasadnienie lenistwa. Nie przekonują jej wyniki badań moich fal mózgowych podczas snu i to, że czasem zdarzają mi się katapleksje. Raz była świadkiem takiego ataku. Policzek zjechał mi w dół, nie mogłam poruszyć szczęką. Zareagowała tak, jakby wszystko, co mówiłam o mojej chorobie, było nieprawdą. Jakbym była zdrowym człowiekiem. Powiedziała wtedy: „To pewnie przez magnez, masz za mało magnezu”.

Jak kiedyś opadła mi przy niej głowa, zasugerowała, że udaję.

Zostałam zdiagnozowana cztery lata temu, tuż przed trzydziestymi urodzinami. Całe życie uchodziłam za „śpiocha” i dla mojej matki pozostaję nim do dziś. Pamiętam, że owego jesiennego popołudnia po rozmowie mamy z Lucyną zbierałam ogórki przy siatce rozdzielającej nasze działki. W pewnej chwili usłyszałam nad sobą głos Lucyny:

– Weronika, czy ty często tak śpisz?

Patrzyła na mnie wymagająco, ciemnymi oczami przysłoniętymi wachlarzem wymalowanych rzęs. Zawsze ma na twarzy mocny makijaż, nawet na działce.

– Tak, codziennie – odparłam od niechcienia, po czym wróciłam do ładowania ogórków do wiadra.

Ich krótkie igiełki drażniły moje palce.

– Nie chcę cię straszyć, ale to może mieć podłoże chorobowe, hormonalne – mówiła z niepokojem w głosie – Sama nie wiem. Może warto to sprawdzić.

– Tak, wiem – siliłam się na uprzejmy ton. – Mam narkolepsję.

– O matko – odparła, chwytając się za pierś. – Współczuję.

– Nie ma powodu, to nie jest takie straszne.

Zapytała, jak sobie z tym radzę, powiedziałam jej, że z reguły kładę się spać dwa razy dziennie na godzinę, dzięki czemu funkcjonuję w miarę normalnie. Wszystko jest w porządku. Powiedziała, że mnie podziwia i że jestem dzielna. Towarzysząca jej nastoletnia córka patrzyła na mnie z zainteresowaniem. Zauważyłam, że młodzi ludzie lubią dowiadywać się o tego typu sprawach. Przychodzi do mnie kilku uczniów liceum i ci, którzy wiedzą o mojej chorobie, wydają się nią zaintrygowani. Jestem chyba dla nich kimś wyjątkowym.

Gdy pani Lucyna przychodzi do mnie na lekcje angielskiego, zawsze pyta, czy spałam, czy jestem już po drzemce, czy jeszcze przed nią. Raz nawet przyniosła mi jakiś artykuł o mojej chorobie, który znalazła w internecie. Wydrukowała go dla mnie. Oczywiście były tam tylko główne hasła, rzeczy, o których wiem od lat, ale jej gest uznałam za uprzejmy, choć też trochę protekcyjny.

Teraz wędrujemy schodami na piętro. Obok sypialni mieści się gabinet, w którym przyjmują uczniów.

Kiedyś Ida trzymała tu katalogi z ofertami wycieczek biur podróży, różne segregatory z dokumentami i książki. Dopiero niedawno wszystko wysprzątałam. Grafitowe metalowe żaluzje zastąpiłam jasnymi frankami, z parapetu zdjęłam doniczki z roślinami, które wcześniej tłoczyły się przy oknie, tworząc niechlujne kompozycje o zakurzonych lub podziurawionych liściach. Pokój jest teraz jasny i trochę osobny. Jakby to pomieszczenie nie należało już do domu Idy.

Siadamy przy okrągłym wiekowym stole. Z jego blatu odchodzi fornir. Ida uwielbiała kupować meble na pchlim targu. Wierzyła, że używane rzeczy mają duszę, a te nowe to wydmuszki, powtarzalne, banalne, pozbawione finezji i magicznej energii.

Pani Lucyna zaczęła się uczyć angielskiego dopiero pół roku temu. Od dwudziestu lat pracuje jako główna księgowa w dużej polskiej firmie, która niedawno została przejęta przez szwedzką korporację. Otrzymuje coraz więcej maili po angielsku, zdarza się, że ktoś przyjeżdża z wizytą z zagranicy i trzeba się z nim porozumieć. Boi się, że straci pracę, jeśli nie nauczy się języka, choćby na podstawowym poziomie, umożliwiającym jej przywitanie się z obcokrajowcem lub wysłanie do niego maila.

– Dobrze, poczekaj, nie tak szybko – denerwuje się, gdy pytam po angielsku o jej zainteresowania.

Kobieta zaczyna opowiadać o sobie, używając niewłaściwych słów. Jej ciemne oczy robią się większe, na policzkach pojawiają się czerwone plamy.

Kiwa energicznie głową, gdy ją poprawiam. Gdy tłumaczę jej nowe zagadnienie, dyskretnie ociera łzę. Mam wrażenie, że nie uroniła jej z powodu tego, że nie rozumie, ale z bezsilności wobec sytuacji, w jakiej się znalazła. Wisi nad nią groźba zwolnienia z pracy, w której spędziła prawie całe dorosłe życie. Kiedyś przyznała mi się, że stresuje ją to, że nie zna angielskiego, tym bardziej że niedawno jej przełożoną została Szwedka, z którą może porozumieć się wyłącznie po angielsku. Powiedziała to w chwili słabości, później chyba tego żałując. Czasem czuję się, jakbym była lekarką, do której Lucyna przychodzi ze swoim wstydlwym problemem.

Pod koniec lekcji smartfon, który zostawiła na stole, zaczyna wibrować. Jego ekran wypełnia zdjęcie roześmianej nastolatki. To jej córka. Lucyna wzdycha ciężko i przewraca oczami, tak jakby na ekranie zobaczyła numer akwizytora.

– Mam zajęcia – mówi do córki. – Nie, nie możesz. Masz zostać w domu, jutro poprawka z matematyki. – Nie, Ania! – podnosi głos. – Nie pójdziesz na tę imprezę. Nie zgadzam się. Dobrze wiesz dlaczego.

Niecierpliwym ruchem odkłada telefon, po czym znowu wbija wzrok w kartkę, na której zakreślam jej neonowym flamastrem najważniejsze słówka potrzebne, gdy jesteśmy w restauracji. Plamy na jej policzkach robią się jeszcze większe, oczy – bardziej szkliste. Kontynuuję pracę, wyobrażając sobie, jak Lucyna wyładowuje w domu na córce wszystkie swoje frustracje. Moja wyobraźnia jest większa niż przeciętnego człowieka. Każdy dzień rozpływa się między jawą a snem. Lucyna krzyczy na córkę, bo świat krzyczy na Lucynę. Przypomina w tym moją zapracowaną matkę, która też miała do mnie wieczne pretensje.

Przez wiele lat jeździła regularnie do Niemiec do pracy. Zajmowała się starszymi i schorowanymi ludźmi. Zjeżdżała do Polski co dwa, trzy miesiące, zostawała tu tydzień

lub dwa, a potem wracała do Bonn. Właściwie mieszkalam z tatą. Mama nie miała czasu, żeby mi się przyjrzeć i zrozumieć, że moja senność nie jest żadnym wymysłem, i też często się na mnie wyładowywała. Uciekałam zatem tutaj, do Idy, łagodniejszej wersji mojej mamy. W jej ogrodzie łąpałam oddech, w jej kuchni wypijałam pierwszą lampkę wina. A teraz tu mieszkam, korzystając z przestrzeni, w każdym rozumieniu tego słowa.

Proszę panią Lucynę, żeby w domu powtórzyła najważniejsze zwroty używane w restauracji, potem kobieta opuszcza mój dom, rzucając jeszcze na odchodne, że w piątek jej nie pasuje.

Dopiero po dziesięciu minutach od jej wyjścia orientuję się, że zapomniała mi zapłacić. Nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło. Jest bardzo uporządkowaną kobietą, dziś coś wyraźnie zaburzyło jej spokój. Może ta łąza uroniona podczas zajęć wcale nie była spowodowana trudnością w opanowaniu języka obcego?

Kiedy odgrzewam sobie tajską zupę w kuchni, dzwoni telefon. To Kuba. Odbieram, czekając na jego przyjemny, melodyjny głos, który wczoraj wieczorem mruczał mi do ucha nieprzyzwoite słowa.

– Cześć, Wera.

– Cześć.

– Cały dzień biegam ze spotkania na spotkanie, ale myślę, że około ósmej powinienem do ciebie dojechać.

– W porządku.

– Kupić coś na kolację?

– Nie, wybieram się wieczorem na zakupy.

– OK, gdyby coś ci się przypomniało, to daj znać.

– Jasne.

– Myślę o tobie.

Jego głos wydaje się cichszy i wyraźniejszy zarazem. Jakby szepnął to, zbliżając usta do słuchawki i przysłaniając je dłonią, tak żeby inni nie mogli usłyszeć.

– Ja o tobie też – odpowiadam, przypominając sobie poprzednią noc.

– Do później.

– Pa.

Odkładałam telefon na stół, czując znajome ukłucie w brzuchu, przyjemne i niepokojące zarazem. Cała moja znajomość z Kubą jest właśnie taka, niejednoznaczna.

Spotykamy się od paru miesięcy. Pochodzi znad morza, ale w Oławie ma mieszkanie służbowe. Pracuje w dużej korporacji, zdaje się, że w tej samej co pani Lucyna. Poznaliśmy się w oławskim parku. Kuba biega po nim regularnie w każdą sobotę i niedzielę, a ja od czasu do czasu chodzę tam na spacer. Tamtej niedzieli wypadł mu

telefon, znalazłam go i tak od słowa do słowa umówiliśmy się na pierwszą randkę. Jest czarującym brunetem o intensywnym spojrzeniu orzechowych oczu i proporcjonalnej budowie ciała. Sprawia wrażenie cieplej osoby. Gdy pierwszy raz spojrzałam mu w oczy, od razu poczułam ukłucie w klatce piersiowej. W mojej głowie pojawiła się prosta, choć angażująca myśl: „Atrakcyjny”.

Nigdy nie byłam w typie „atrakcyjnych” – tych wszystkich facetów z tajemniczym błyskiem w oku, do których instynktownie ciągnie kobiety. Z reguły podobałam się wrażliwym i spokojnym mężczyznom, niczym niewyróżniającym się z tłumu. „Atrakcyjni” byli zarezerwowani dla innych kobiet, zupełnie innych niż ja. Nie chodzi o to, że jestem szarą myszką, a one są diwami w bujnych blond włosach. Istota atrakcyjności jest nieuchwytna. To aura, która otacza z pozoru przeciętnego człowieka. Coś zapisanego w jego oczach, idealny balans odwagi i wewnętrznego spokoju.

Takie kobiety podobały się „atrakcyjnym”. Aż nagle atrakcyjny zainteresował się mną. Z tego powodu wciąż jestem rozdarta, bo mam wrażenie, że porządek świata został w tajemniczy sposób zburzony. I że nasz związek jest skazany na porażkę, a przecież nic na to nie wskazuje. Zbliżyliśmy się do siebie. Czasem zostaje u mnie na noc, ostatnio nawet pojechał ze mną do Warszawy i czekał pod Instytutem Snu, gdy byłam na kontrolnej wizycie u pani neurolog.

Stara się mnie wspierać, ale widzę, że buduje też dystans, jakby nie chciał zatracić się we mnie całkowicie. Tłumaczę sobie, że to po prostu taki typ człowieka, ale czasem zastanawiam się, czy w związku z inną kobietą, lepiej dopasowaną do niego, nie byłby bardziej obecny. Z tego powodu zdarza mi się odczuwać niepokój.

Wstaję z fotela i podchodzę do drzwi tarasowych. Na drewnianej podłodze pod nimi widzę trochę piasku, jakby strzeżanego z brudnych butów. Odwracam się i zauważam, że przez cały salon ciągnie się przerywany, piaskowy szlak. Od drzwi tarasowych, aż do schodów prowadzących na piętro. „Przecież rano zamiatałam”, myślę. Skąd wziął się tutaj ten piasek? Drzwi tarasowe są otwarte, wydaje mi się, że zamykałam je po tym, jak wczoraj wieczorem podlewałam kwiaty w ogrodzie. Dziś z kolei na pewno z nich nie korzystałam.

Rano miałam dwóch uczniów, ale nie wchodzili do salonu. Poszliśmy od razu na górę. Zresztą prawie wszyscy goście (z wyjątkiem pani Lucyny) ściągają w sieni buty. Kto zatem mógł zostawić piasek? Nie mam psa ani kota, mieszkam sama. Może to Lucyna? Tylko ona paradowała po salonie. Miała materiałową torbę z zakupami, może coś się z niej wysypało? To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, choć pamiętam też, że na nogach miała lakierowane szpilki, niezbyt wysokie, ale z pewnością czyste. Idę schodami na górę, wpatrując się w każdy kolejny stopień. Tu też zauważam trochę ziaren piasku, ale jest ich mniej, na pewno nie tak dużo jak na dole. Podłoga

w gabinecie jest czysta, choć siedziałyśmy tu czterdzieści pięć minut. Może wszystko zostało na schodach?

Wracam na dół, idę po miotłę do schowka pod schodami i zaczynam zamiatać. Moje ruchy robią się coraz bardziej zamaszyste, nerwowe. Przypominam sobie rozmowę Lucyny z córką. Tę złość, którą przesiąkał jej głos, negatywną energię.

– Wchodzi tu jak do siebie i jeszcze brudzi – mruczę pod nosem.

Będę musiała zwrócić jej uwagę przed kolejną lekcją na to, żeby ściągnęła buty w sieni. Przypomnę jej również, że nie zapłaciła. Nie daje mi też spokoju ten ruch, który dostrzegłam na ekranie budzika. W głowie kotłują się myśli. A co, jeśli Lucyna najpierw zakradła się na górę, weszła do sypialni? Próbowała mnie obudzić? Potem się opamiętała, zrozumiała, że przekroczyła granicę, i zeszła na dół?

Zastygam z kijem od miotły w dłoni i patrzę na białe drzwi wejściowe, z małym wąskim witrażem pośrodku. Nie, to niemożliwe. Wracam do zamiatania. Co prawda zaraz po przebudzeniu usłyszałam jej kroki na dole, ale wcześniej żaden odgłos tupotu na schodach do mnie nie dotarł, a byłam już wtedy w miarę obudzona. Odkładam miotłę na miejsce, odrobinę spokojniejsza. Piasek zniknął z podłogi, nie chcę więcej zawracać sobie nim głowy. Wszystko jest w porządku, jak zawsze, zbyt wiele sobie wyobrażam.

Kolejny uczeń przychodzi punktualnie. To Mateusz, mój były partner. Nie spotykaliśmy się długo, dzięki czemu po rozstaniu zachowaliśmy przyjacielską relację.

Puka do drzwi. W wąskiej szybie pokrytej witrażem z kolorowych trójkątów majaczy jego cień, odznacza się burza loków na głowie. Otwieram mu, a gdy wchodzi, jak zwykle obdarowuje mnie promiennym uśmiechem.

– Cześć, Wera.

– Cześć.

Czarny sweter, przetarte jeansy, rzemyki na szyi i na nadgarstku. Nie zmienia się. Jest taki sam od dziesięciu lat.

To właśnie dekadę temu się spotykaliśmy. Między nami było dobrze, spokojnie, bez żadnych sensacji. Normalność jest potrzebna, ale nie na samym początku związku. Wtedy człowiek pragnie wrażeń, ekscytacji i miłosnych uniesień. Byliśmy ze sobą parę tygodni. Później doszłam do wniosku, że czas to skończyć, poszukać czegoś intensywniejszego. Choć inicjatywa wyszła ode mnie, myślę, że to było zerwanie za porozumieniem stron.

Mateusz dość szybko znalazł sobie nową dziewczynę. Widywałam ich od czasu do czasu w oławskich klubach i w parku. Czasem zastanawiałam się, czy ich też łączyła „normalność”. Czy też oblepiała ich związek w ten nieznośnie męczący sposób? A może

między nimi było zupełnie inaczej? Chyba to drugie jest bliższe prawdzie, bo dosyć szybko się pobrali. Mają nawet ośmioletniego syna.

Czas i dystans oczywiście zrobiły swoje. Teraz znowu widzę w nim całkiem przystojnego, inteligentnego faceta, który rozwiewa wokół siebie zapach korzennych perfum. Jest wziętym psychologiem, pracuje we Wrocławiu. Doskonale zna niemiecki, ale angielskim posługuje się w stopniu komunikatywnym. Musi go rozwinąć, ponieważ jest często zapraszany na konferencje międzynarodowe.

– Potrzebuję napisać post na stronę po angielsku, pomożesz mi? – pyta, gdy siadamy przy stole.

– Jasne, możemy od razu zacząć – odpowiadam, spoglądając na zegarek.

Chcę jeszcze dzisiaj przerobić z nim zwroty używane podczas negocjacji i mam nadzieję wyrobić się w ciągu czterdziestu pięciu minut. Już jestem odrobinę senna. Wszystko przez malarza. To on zaburzył mi porządek dnia, musiałam nieco skrócić pierwszą drzemkę. Zaraz po lekcji muszę się położyć.

– Mam to po polsku. – Podsuwa mi kartkę formatu A4 zapisaną jego rozwlekłym pismem.

Rzucam okiem na tekst. Dotyczy samobójstw. Zaczyna się od cytatu z profesora Brunona Hołysta, prezesa Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego. „Samobójstwo jest jak wrzucenie kamienia do wody – na wodzie powstają kręgi znacznie większe niż sam kamień”.

– Czy to nie jest idiomatyczne? – pyta Mateusz. – Czy „wrzucenie kamienia do wody” można przełożyć na angielski?

– Tak, spokojnie – odpowiadam. – Tu nie chodzi o zwrot „jak kamień w wodę”, którego w istocie nie da się przetłumaczyć dosłownie, ale o nazwę czynności.

Biorę się do tłumaczenia, czując przyływ ciepła na twarzy. „Samobójstwo odbija się na całej rodzinie, znalezienie ciała to traumatyczne przeżycie, które wwierca się bezpowrotnie w umysł”.

Na chwilę odkładam długopis. Przed oczami mam teraz sine, zamknięte powieki Antoniego. Rozchodzą się powtarzalnym wzorem pomiędzy liniami tekstu Mateusza.

Parę razy mrugam, żeby wszystko wróciło do normy. To przez zmęczenie. Przykładam palce do wewnętrznych kątek oczu. Z moich ust wydobywa się ciche przekleństwo.

– O cholera, nie pomyślałem, przepraszam, Weronika.

Oława to małe miasto. Mateusz wie, że przed trzema laty to ja znalazłam ciało wujka, widocznie właśnie sobie o tym przypomniał. Chce zabrać tekst, ale kładę dłoń na jego dużych palcach. Zerkamy sobie w oczy dokładnie w tym samym momencie i powietrze nagle dziwnie gęstnieje.

Odrywamy dłonie, jakby coś nas ukłuło.

– Daj spokój – mówię szybko, żeby jakoś zatuszować tę niefortunną chwilę. – Zaraz to przetłumaczymy.

Kaszlę lekko, choć wcale nie drapie mnie w gardle, po czym biorę się do pracy. Ten niezręczny moment chcąc nie chcąc trochę mi pomógł. Jestem teraz przytomna i skupiona. Przemierzam resztę tekstu Mateusza bezrefleksyjnie, wyłapuję tylko znaczenie zdań, ale nie zastanawiam się do końca nad ich sensem. Tworzę tamę. Nic nie przenika głębiej, jakbym pluskała się w płytkiej kałuży. Potem szybko przechodzę do meritum lekcji i odpytuję Mateusza ze słówek, które miał na dzisiaj przygotować. Odpowiada bezbłędnie. Reszta czasu upływa nam na symulacjach negocjacji warunków cenowych. Potrzebuje ich, gdy ustala zasady wystąpień publicznych za granicą.

Gdy odprowadzam go do drzwi, mówi coś, co mnie zaskakuje:

– Jesteś megaprofesjonalna. Bardzo to sobie cenię.

– Dzięki.

Zamykam za nim drzwi, dwukrotnie przekręcając korbę zamka. Potem wracam na górę i wreszcie kładę się spać.

Wizyta 1

Odwiedziny w twoim domu są moim najgorszym nałogiem. Czasem po powrocie od ciebie nie mogę spojrzeć w lustro. Jakby stał tam obcy stwór, pozbawiony jakichkolwiek zahamowań i ludzkich instynktów. Zwierzę.

A potem znowu to robię. Popycham stare tarasowe drzwi i wchodzę do środka. Wiesz czy nie wiesz, że ich zamek puszcza przy silnym nacisku? To stary dom, Weroniko. Wymaga remontu, ale ty nie masz na to pieniędzy. Ledwie wiążesz koniec z końcem. W szufladzie, w gabinecie czekają rachunki do zapłacenia. Najwyższy jest ten za prąd.

Pozamiatałaś piasek z moich butów. Ciekawe, co sobie wtedy myślałaś. Czy przeszło ci przez myśl, że był tu ktoś obcy? Wszedł na górę, położył się na twoim łóżku, patrzył na ciebie? Czasem mam wrażenie, że wiesz... Że się domyślasz, a nawet udajesz, że śpisz, gdy próbuję cię dotknąć. Przez te wizyty tracę czujność. Do czego to doszło? Odwiedzam cię w brudnych butach. A może robię to specjalnie? Chcę, żebyś zaczęła się domyślać.

Straszne to. Zasłaniam dłońmi oczy, a potem patrzę na ciebie przez szpary między palcami. Tak to już z nami jest. Skomplikowany związek, o którym nie masz pojęcia. Jakaś część ciebie jednak tu jest, a twoja podświadomość mnie wyczuwa. Ona przecież nigdy nie śpi. W przeciwieństwie do twojego świadomego ja. Kocham je i kocham siebie przy nim.

Leżysz płasko na brzuchu, z głową opartą na skrzyżowanych dłoniach, twarz zwrócona w moją stronę. Powieki lekko zmarszczone, resztki tuszu zbrylające się w wewnętrznych kącikach oczu. Nie szkodzi.

Przechylałam głowę i ostrożnie układałam się obok ciebie na łóżku. Serce dudni mi w piersi, za to w kroczu czuję to przyjemne pulsowanie. Pierwszy moment jest zawsze najbardziej ekscytujący, ale i niebezpieczny. Potem jest łatwiej, płynniej. Gdybyś wiedziała, pewnie byś mi wybaczyła. Zrozumiałabyś, dlaczego to robię.

– Wera, Wercia – szepczę prowokacyjnie, ale ty się nie ruszasz.

Za mną lektura wszystkich możliwych publikacji na temat narkolepsji. W ciągu dnia potrzebujesz więcej snu niż przeciętny człowiek. Obserwuję cię od dawna i wiem, że sypiasz regularnie. Każdego dnia uczynasz sobie dwie godzinne drzemki. Zasypiasz, kiedy już nie możesz ustać na nogach, przez co twój sen jest głęboki, a w jego pierwszej fazie ciężko cię dobudzić. Zawsze staram się wykorzystywać te pierwsze pół godziny. Nawet jeśli kiedyś otworzysz oczy, a ja będę tu, istnieje szansa, że uznasz mnie za halucynację,

coś nierealnego. To dodaje mi pewności siebie. Zachęca do podejmowania kolejnych kroków.

Wszystko jednak staram się robić delikatnie. Z dużą dozą szacunku do ciebie. Tylko raz udało mi się wykorzystać moment, kiedy byłaś zanurzona głębiej w świecie snu. Wydarzyło się to nocą. Na blacie w kuchni leżała pusta butelka po silnym środku nasennym. Spałaś po nim głęboko, jak zabita. Zrobiłaś to pewnie po to, by następnego dnia zachować większą czujność, być bardziej wyspana. Widok tej butelki obudził we mnie pragnienie, żeby dotknąć twojego nagiego ciała. I udało się. Do niczego poważniejszego jednak nie doszło. Nie chcę ci robić takich rzeczy, kiedy śpisz. Wystarczy, że poczuję miękkość twojej skóry, popatrzę na newralgiczne miejsca, pieprzyki pod brzuchem. Potem wracam do siebie i przez kolejnych kilka godzin staram się nie patrzeć w lustro. Wystarczą mi wspomnienia. Twoja bliskość jest jak afrodyzjak. Uwielbiam ten spokój bijący z twojej twarzy, lekko uniesione kąciaki ust i zapach kwiatowych perfum, którymi przesiąka cała pościel.

Gładzę cię po policzku, a ty subtelnie ściągasz usta. Zabieram dłoń z lekkim zniecierpliwieniem. Marzę o chwili, w której zrozumiesz, kim tak naprawdę dla ciebie jestem. Chcę, żebyś zdała sobie sprawę z mojej obecności w twoim życiu. Teraz jestem tylko zjawą. Kimś, kto odwiedza cię, kiedy śpisz.

Ten świat jest popierdolony, Weroniko. Ludzie wykorzystują słabości innych. Ślizgają się po nich jak po cienkim lodzie. Świadomość upadku ich napędza, najważniejsze jest to, żeby zaspokoić swoje potrzeby. Ukryte żądze. Czasem myślę, że mam nie po kolei w głowie. Jeden lekarz stwierdził nawet, że to urojenia. Ale ja mu nie wierzę. Wierzę tylko w to, co jest między nami. Muszę wstać z łóżka, bo martwię się, że twój sen jest jednak za lekki. Postoję zatem przy tobie jeszcze parę minut, rozkoszując się widokiem twojej twarzy, a później wrócę do siebie z miłymi wspomnieniami. Chyba najbardziej kręci mnie to poczucie kontroli, chcąc nie chcąc mam teraz nad tobą przewagę. Mogę zrobić, co tylko zapragnę. Twoje życie jest w moich rękach. To przyjemne uczucie. Bardzo, bardzo przyjemne.

Rozdział 2

Po prostu na mnie patrzy, a ja znowu czuję się nieswojo, tak jak w mieszkaniu po Antonim. Nie wiem, skąd Bruno Lira wziął się w tym markecie i dlaczego nie odrywa ode mnie wzroku. Zachowuje się tak, jakby był niewidzialny, jakby nie rozumiał, że jego spojrzenie może mnie peszyć.

Stoimy przy skrzyniach z owocami i warzywami w biedronce zlokalizowanej w galerii handlowej niedaleko mojego domu. Dochodzi siódma trzydzieści wieczorem.

– Cóż za spotkanie – wyrzucam z siebie w końcu, bo coś przecież trzeba powiedzieć.

Kiwa głową w odpowiedzi, po czym wyciąga ze skrzynki miniaturową dynię i wkłada ją do koszyka. Wreszcie zdobył się na jakiś ruch.

– Często pan tu przychodzi? – ciągnę. – Zdaje się, że mieszka pan we Wrocławiu?

Tak mi przynajmniej mówił dziś po południu. Postanowił przeprowadzić się do Oławy, bo szuka czegoś spokojniejszego i tańszego, a pracę i tak ma zdalną, więc problem dojazdów go nie dotyczy.

– Jestem tu pierwszy raz – odpowiada, po czym przerzuca wzrok na przecenione antonówki. – Zaraz wracam do Wrocławia.

Szybko orientuję się, że nie ma przy sobie swojej teczki. Wymienił też chabrową koszulę na czarny T-shirt ukazujący jednorozca, któremu zamiast rogu wystaje z głowy zakrwawiony nóż. Może miał ciuchy w samochodzie. Pamiętam, że podjechał pod mój dom starym grafitowym golfem. Od razu nasuwa mi się myśl, że wcześniej założył tę koszulę, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie, a teraz wrócił do swojego prawdziwego wizerunku.

– Zwiedzał pan Oławę? – pytam, bo chcę jeszcze mu się trochę przyjrzeć, zanim podejmę decyzję o wynajmie lokalu.

– Trochę szkicowałem w parku obok PKP. Ciekawe miejsce.

Spoglądam na jego ramię.

– Teczke zostawiłem w samochodzie – mówi, wyłapując moje spojrzenie.

– Co się panu spodobało w tym parku?

– Sielankowy krajobraz, z którego jednak wybijały się osobliwe postacie.

– Co ma pan na myśli, mówiąc: „osobliwe postacie”?

– Samotna kobieta karmiąca gołębce, tuż obok niej pijaczki kłócące się o ostatnią puszkę piwa, dwie ławki dalej zakochana para chrupiąca chipsy, a przy zielonej sadzawce rodzina z dwójką dzieci na kocu. Przekrój społeczeństwa w jednym miejscu.

– W każdym parku tak jest – odpowiadam.

– Ale w małych miastach widać takie zjawiska wyraźniej.

– Wyraźniej? – dziwię się znowu.

– Tak, w parku są tylko ci, którzy mają w nim być. Nie ma studentów, turystów, wszystkich tych ludzi, którzy odwiedzają takie miejsca przypadkowo. Mogliby równie dobrze siedzieć pod gmachem uczelni albo na środku rynku. Nie chciałbym ich uwieczniać na żadnym obrazie, bo nie stanowią integralnej części parku. Nie wiem, czy pani rozumie.

– Możliwe – ucinam, bo czuję, że niebezpiecznie zwęza mi się wachlarz odpowiedzi.

Zaczynam pakować malinówki, czyli pomidory malinowe, do worka, ale kątem oka wciąż obserwuję Brunona. Chyba wkłada kilka antonówek do koszyka.

– One się nie nadają do jedzenia, tylko na przetwory albo do ciasta – poucza go staruszka, która stoi obok.

Dłuższą chwilę nikt jej nie odpowiada. Spoglądam na niego pytająco. Wtedy rozszerza oczy i orientuje się, że wypadałoby jakoś zareagować na słowa tej kobiety.

– Chcę je usmażyć i dodać do makaronu – mruczy pod nosem.

Spoglądam na zegarek, jest już wpół do ósmej. Zaraz ma przyjechać do mnie Kuba. Odchodzę od nich, niosąc koszyk, z którego wystają malinówki.

– Proszę poczekać, pani Weroniko! – Słyszę za sobą głos Brunona.

Do tej pory ani razu nie wymówił mojego imienia. Nie wiedziałam, że je zakodował, gdy przelotem uścisnęliśmy sobie dzisiaj dłonie na powitanie.

Odwracam się do niego na pięcie.

– Czy nie zostawiłem dzisiaj u pani pisaka?

– Nie widziałam – odpowiadam.

– To pisak kreślarski, dość krótki, jest biały. Bardzo go lubię. Włożyłem go do kieszeni dziś rano. Po powrocie od pani zorientowałem się, że już go nie mam. Mógł mi wypaść, gdy usiedliśmy na kanapie.

– Nie wracałam do mieszkania po naszym spotkaniu.

– Będę wdzięczny, jeśli pani się rozejrzy przy okazji – mówi, drapiąc się w skroń. – Chyba że zdecyduje się pani wynająć mi mieszkanie, wtedy sam poszukam – uśmiecha się, a w jego niebieskich oczach pojawia się światło, którego do tej pory nie widziałam. Coś w rodzaju akceptacji i otwartości na każdą decyzję, jaką podejmę.

– Jesteśmy w kontakcie.

– Dobrze. Do widzenia.

Wolnym krokiem wraca do skrzyń z owocami i warzywami.

Gdy jadę rowerem do domu, powoli robi się ciemno, wieje też chłodny wiatr. Mogłam założyć cienki szalik. Na rower zawsze trzeba się ubrać cieplej niż na zwykły spacer.

Mam prawo jazdy, ale odkąd cztery lata temu zasnąłam podczas prowadzenia auta, przestałam nim jeździć. Tamtego felernego dnia nic na to nie wskazywało. Wstałam rano, wsiadłam do samochodu i pojechałam nim do Wrocławia. Umówiłam się tam z moją przyjaciółką Aśką na kawę. Byłam po drzemce, miałam dużo energii, a mimo to powieki opadły mi bezwiednie podczas prowadzenia samochodu na autostradzie. Prawie wjechałam w tył cysterny paliwowej. Gdy się ocknęłam, widok wypełniał mi jej wysoki tylny zderzak oznaczony odblaskowymi tablicami. Nad nim wisiała biała aluminiowa drabinka. Wcisnęłam pedał hamulca, czując się tak, jakby coś z tyłu wsysało moje auto do środka. Otaczały mnie dźwięki klaksonów samochodowych i mrugające światła. Pogrzeżyłam się w oczekiwaniu na najgorsze, ale ono nie przyszło. Nogi latały mi na wszystkie strony, z trudem przyciskałam pedał gazu i hamulca. Musiałam zjechać na pas awaryjny, żeby dojść do siebie. Potem, nadmiernie wręcz pobudzona, dojechałam na miejsce. Po wizycie u przyjaciółki nie chciałam jednak wsiąść za kółko. Bałam się, że to może się powtórzyć. Aśka odwiozła mnie później moim autem do domu, a sama wróciła do siebie autobusem. Od tamtej pory na dalsze podróże wybieram PKS, a na bliższe – rower.

Gdy dojeżdżam do domu, Kuba właśnie podjeżdża pod bramę. Przednia szyba jego służbowego auta mieni się w gasnących promieniach słońca. Przyjechał szybciej. Miał być o ósmej, tymczasem jest dopiero za piętnaście. Opiera się o czarną maskę samochodu z dłońmi skrzyżowanymi na piersi i uśmiecha się do mnie zadziornie i uwodzicielsko.

– Pasuje ci ten rower – zauważa, po czym podchodzi i całuje mnie na powitanie.

Wchodzi za mną do domu, zaczyna opowiadać o tym, co wydarzyło się w pracy, jak zawsze żartobliwie, z przymrużeniem oka. Kładzie marynarkę na oparciu krzesła, potem idzie za mną do kuchni. Tam przyrządzam dla nas gazpacho z malinówek, które kupiłam w supermarkecie.

Gdy jemy kolację, pierwszy raz pytam go o panią Lucynę. Może przez jej łzy, a może przez ten ruch widziany na ekranie budzika.

– Kojarzę ją – mówi, odkładając łyżkę na talerz. – Taka starsza, ruda, szczupła.

– Zgadza się.

– Ostatnio nieźle mnie wkurwiła.

– Dlaczego?

– Rozlicza moje podróże służbowe i nie podobały jej się niektóre faktury. Zagroziła, że pójdzie z nimi do mojego szefa, jeśli nie napiszę jej stosownego wyjaśnienia.

– I napisałeś?

– Jeszcze nie, ale nie zamierzam tego robić. Ona i tak jest na wylocie. Firma niedługo zacznie korzystać z zewnętrznego centrum finansowo-księgowego.

– Czy Lucyna o tym wie?

– Nie. Na razie jest wtajemniczony tylko zarząd.

Przykłada sugestywnie palec wskazujący do ust i puszcza mi półuśmiech.

– Pewnie się domyśla. Ostatnio na lekcjach jest przygnębiona – stwierdzam.

Kuba mruży oczy.

– Uczy się u ciebie angielskiego?

– Tak, przychodzi dwa razy w tygodniu, w środy i w piątki.

Zamyśla się.

– Nie rozmawiajmy już o niej, powiedz lepiej, czy znalazłaś najemcę tego lokalu po Antonim.

Wyciera chusteczką usta, potem zgniata ją i kładzie na stole, obok czarnej miski z resztkami gazpacho.

– Chyba tak.

Choć ciężko mi się do tego przyznać, jakaś część mnie pragnie, żeby powiedział: „Nie rób tego, zamieszkać u ciebie, nie potrzebujemy dodatkowych lokatorów”. On jednak kiwa tylko z zaciekawieniem głową, niewerbalnie prosi, żebym kontynuowała.

– Wynajmę mieszkanie malarzowi.

– Takiemu od płótna i pędzli? – pyta, unosząc gęste brwi w zaskoczeniu.

– Tak, był dzisiaj i... – waham się chwilę – ...zrobił na mnie w miarę dobre wrażenie. Szukam kogoś spokojnego, kto nie będzie przesadnie zaznaczał tu swojej obecności. To w końcu mój dom.

– Jak się nazywa?

Wyciąga z kieszeni smartfon i czeka w gotowości na dane malarza.

– Bruno Lira.

Wstukuje jego imię i nazwisko w wyszukiwarkę internetową, po czym patrzy przez chwilę na ekran tym swoim przenikliwym wzrokiem. Porusza przy tym nerwowo nogą pod stołem, jak zawsze, gdy się na czymś skupia. W końcu kiwa z uznaniem głową.

– Całkiem ciekawe prace – mówi. – To znaczy przydałoby się obejrzeć na żywo, ale napisali o nim nawet w „Wyborczej”. Miał niedawno wystawę we Wrocławiu. Maluje głównie kobiety.

Prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy. Wydaje się zaciekawiony i zmartwiony jednocześnie.

– Niektóre obrazy są dość specyficzne. Oglądałaś?

– Niezbyt uważnie. – Wyciągam do niego dłoń.

Przekazuje mi telefon, którego ekran wypełnia obraz płaczącej brunetki.

Ma proste długie włosy, bardzo wysokie czoło i duże niebieskie oczy. Dół twarzy jest zacieniony, góra niemal świeci, lekko różowe krople wypływają z zewnętrznych kącików

jej oczu. Znowu mam wrażenie, że kobieta patrzy tylko na mnie, tym razem o coś mnie obwiniając.

– Podobna do ciebie – stwierdza Kuba.

– Jest po prostu brunetką, tak jak ja.

– Niebieskooką.

– On też ma czarne włosy i niebieskie oczy. Ponoć zostawia w tworzonych przez siebie obrazach fragmenty własnego wizerunku – tłumaczę malarza, sama nie wiem czemu.

– Trochę dziwne – stwierdza Kuba, nie wyglądając na przekonanego.

Zakładam włosy za ucho i sunę palcem po wyświetlaczu, przeglądając kolejne prace Liry. Rzeczywiście maluje głównie kobiety, choć dziś, gdy go o to pytałam, powiedział, że maluje „ludzi”. Może poczuł się skrępowany i nie chciał przyznać, że interesuje go głównie płeć żeńska. Jego obrazy tchną melancholią, mrokiem. Czuć w nich bezbronność, napięcie, odrazę, strach. Ten, który zobaczyłam dziś po południu, był jednym z najsubtelniejszych.

Faktycznie napisali o nim w „Wyborczej”, musiałam tego nie zauważyć. Dziennikarz przytacza fragment jego wypowiedzi:

„Nie zgadzam się ze sformułowaniem, że moje portrety to profile psychologiczne kobiet. Nikogo nie oceniam, nie zastanawiam się nad tym, jaki ktoś jest. Po prostu szukam odpowiedzi na pytania o głębszy sens istnienia, bez rozdzielania go na poszczególne osoby”.

– Sztuka nigdy nie jest normalna, Kuba – mówię w końcu, oddając mu telefon.

Przejmuje go ode mnie z iskrami niepokoju w oczach, który przynosi mi jakąś niewyraźną satysfakcję. Potem odsuwa od siebie talerz, choć zostało na nim jeszcze trochę makaronu. Wyciąga do mnie dłoń i mówi:

– Chodź na górę. Pokażę ci prawdziwą sztukę.

Rozdział 3

– Nie boisz się tak zamieszkać z obcym mężczyzną? – pyta mama, odsuwając firankę w kuchennym oknie.

Dochodzi piętnasta. Niedawno się obudziłam. Na dworze jest gorąco i duszno, tak samo jak przedwczoraj, gdy Bruno Lira przyszedł tu, żeby zobaczyć mieszkanie. Z reguły o tej porze czekam na przyjście pani Lucyny, ale z racji tego, że odwołała zajęcia, mam już dziś wolne.

Wczoraj telefonicznie poinformowałam malarza o tym, że może się do mnie wprowadzić. Wiem, że mogłam szukać dalej, ale po pierwsze, nie było aż tylu chętnych (to dobudówka do starego domu, a nie mieszkanie w nowym deweloperskim bloku), a po drugie, w Brunonie Lirze było coś przejmującego. Czułam, że obcowanie z tym człowiekiem może ubarwić mi życie.

Mama wciąż patrzy na Lire, który przecina właśnie podwórko z białym kartonem w rękach.

– Dziwnie się ubiera – mruczy pod nosem.

Podchodzę do niej i też zerkam zza firanki na malarza, czując w związku z tym lekkie zażenowanie. Odnoszę wrażenie, że mężczyzna wyczuwa nasze spojrzenia, ale trzyma fason i nie spogląda w naszą stronę. Ma granatową koszulkę bez rękawów, odsłaniającą tatuaż na ramieniu. Przedstawia dużego skorpiona. Z tyłu prawej łydki jest drugi tatuaż – czarny pająk z białymi oczami, które wyglądają tak, jakby świeciły. Ostatnio miał długie spodnie i koszulę, nie widziałam tych tatuaży.

– Czego mam się bać? – pytam, w duchu czując sprzeciw wobec tak powierzchownego postrzegania ludzi. – Teraz wszyscy wynajmują, co mogą: mieszkania, piwnice, poddasza. Na strychu u sąsiada z naprzeciwka mieszka czterech roślących facetów, nie wiem, skąd są, chyba z Serbii.

Matka kręci głową i spogląda mnie z jakąś rezygnacją w oczach.

– Ale to co innego. Dziwny ten facet.

– Nawet z nim nie rozmawiałaś.

Odchodzi od okna i wraca na taboret przy kuchennym stole. Odgarnia pasmo czarnych włosów, które wyślizgnęło się z kucyka. Bierze łyk gorzkiej herbaty i sięga po torbę w kratkę, którą zostawiła na drugim taborecie.

– Kupiłam ci napoleonki u Krawczyńskiego.

Wyciąga zawinięty w biały papier pakunek i kładzie go na stole.

– Dziękuję.

Mam ochotę powiedzieć jej, że unikam cukru, bo po nim robię się bardziej senna, ale się powstrzymuję. Zawsze, gdy nawiązuję do mojej choroby, na twarzy mojej mamy pojawia się zniecierpliwienie. Odwraca wzrok, patrzy w okno albo wstaje i podchodzi do jakiegoś kwiatka na parapecie. Pyta, czy podlewam go regularnie, wygląda na to, że nie, bo ma suche liście.

Czasem myślę, że ucieka od mojej choroby, nie chce przyznać, że czegoś nie zauważyła, gdy byłam młodsza. Nie zareagowała wtedy, gdy powinna. Bagatelizowała moją senność, wytykała mi lenistwo. Zabrakło jej energii, żeby złapać ze mną kontakt i zrozumieć, że zasypianie nie było zależne ode mnie.

– Może pojedziesz ze mną na działkę? – pyta, spoglądając na zegarek w piekarniku. – Masz dziś jeszcze jakichś uczniów?

– Już nie – odpowiadam.

– Za altanką jest jeszcze trochę pomidorów, możesz sobie nazrywać. Po co kupujesz w sklepie, jak u nas ich pełno? – pyta retorycznie, kiwając głową w kierunku otwartej torebki z malinówkami.

– Mogę pojechać – mówię. – Masz jeszcze ogórki?

– Pewnie, dziś będą w sam raz do zrywania.

Malarz schodzi na dalszy plan. Mama już nie martwi się tym, że on tu zamieszka. Wstaje ożywiona z taboretu i zwiija pustą torbę w rulon, po czym wkłada ją do skórzanego plecaka, trochę przetartego na bokach.

Teraz liczy się tylko to, że pojedziemy razem rowerami na działkę, jak za dawnych lat. Ona z przodu, na wysłużonym składaku, ja za nią, na czarnym góralu z żółtą neonową ramą.

Wychodząc z domu, wiązę włosy w kucyk, na głowę zakładam czapkę z daszkiem. Malarz kiwa nam głową na powitanie. Teraz niesie przez ogród pokazną gardenię w wiklinowej doniczce. Widząc to, myślę, że ja bym jej nie udźwignęła.

Przypominam sobie, że znalazłam wczoraj wieczorem jego pisak kreślarski.

– Znalazłam pana pisak – mówię. – Leżał na schodach przed drzwiami do mieszkania, zostawiłam go na komodzie w domu, przynieść?

– To później, proszę sobie nie robić kłopotu. Ważne, że się znalazł. – Na chwilę zwalnia, po czym znowu przyspiesza. Widać, że donica z gardenią nie jest lekka.

– Mówiłaś mu, co się stało z Antonim? – wypala nagle mama.

Powiedziała to zdecydowanie za głośno. Bruno spogląda na nas drugi raz, ale w żaden inny sposób nie reaguje na jej słowa.

– Nie mówiłam. To bez znaczenia, mamo – odpowiadam zirytowanym tonem.

Na to nic już nie odpowiada, tylko łapie za kierownicę roweru i prowadzi go w kierunku otwartej furtki. Ja tymczasem podchodzę do mojego roweru opartego

o bramę garażową i odpinam zapieczęcie. Gdy wędruję z nim w kierunku mamy, po drugiej stronie ulicy, na chodniku dostrzegam wysokiego blondyna, w jasnej koszulce i jeansach. Ma ściągnięte brwi i chłodne oczy, które patrzą na ekran smartfona. Mam wrażenie, że robi nim zdjęcie domowi albo mi. Właściwie bardziej skłaniam się ku drugiej opcji.

Zatrzymuję się, ściskając dłońmi kierownicę. Wtedy on podnosi na mnie wzrok i zaskoczony chowa telefon do kieszeni. Szybkim krokiem odchodzi w stronę czarnego samochodu zaparkowanego przy chodniku. Drzwi od strony kierowcy są otwarte. Wsiada przez nie do środka i odjeżdża.

– Co się dzieje? – dziwi się mama, widząc, że się nie ruszam.

Patrzę na puste miejsce po samochodzie tego człowieka, zastanawiając się, czy naprawdę zrobił mi zdjęcie, czy to było tylko takie wrażenie. Z pewnością trzymał smartfon pionowo, patrzył wprost na mnie z dziwną przenikliwością w oczach. A może chodziło mu o dom?

– Wera, dobrze się czujesz?

W głosie mamy słycać panikę. Ruszam bezmyślnie przed siebie, jak nakręcana zabawka.

– Tak, dobrze – odpowiadam, wychodząc przez furtkę.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Nie ducha, ale widziałas tego faceta?

– Kogo?

Mama patrzy w prawo. Z tego kierunku nadjeżdża brunet na rolkach. Ma białą koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki odsłaniające kolana w żółtych ochronnikach.

– Po drugiej stronie ulicy był przed chwilą mężczyzna. Robił zdjęcia.

– Nie zwróciłam uwagi. – Mierzy mnie wzrokiem. – Ale komu robił zdjęcia? – dopytuje.

– Miałam wrażenie, że mnie.

– Daj spokój, Wera. Dlaczego miałby robić ci zdjęcia?

– Nie mam pojęcia. Miał uniesiony telefon i mierzył jego obiektywem we mnie.

– Pewnie chodziło mu o dom. Dałaś to ogłoszenie o wynajmie i teraz zjeżdżają tu jacyś podejrzeni ludzie.

– Nie sądzę, żeby to go przyciągnęło. Chyba chodziło mu o mnie.

Uśmiecha się, ale nie na tyle, by odsłonić zęby. Dobrze znam ten uśmiech. Wyraża głęboką wiarę w jedyną słuszną wersję rzeczywistości zapisaną w jej głowie. Sygnalizuje jednocześnie akceptację dla mojej uroczej omyłności.

Wsiada na rower i rusza przed siebie. Podążam za nią, czując się tak, jakbym znowu miała szesnaście lat. Jedziemy razem na działkę. W jej ramiona wbijają się szelki skórzanego plecaka, aluminiowa kłapa bagażnika ściska złożoną w kostkę pelerynę przeciwdeszczową.

Telefon wibruje w moich spodniach, gdy zatrzymujemy się na światłach. Wyciągam go. To Kuba. Spoglądam na sygnalizator, który wciąż świeci się na czerwono, zastanawiam się, czy zdążę odebrać. W końcu jednak chowam aparat z powrotem do kieszeni.

Oddzwaniem do niego, dopiero gdy jestem już na działce, oparta o wiśnię rosnącą tuż za kompostownikiem. Wsłuchując się w przeciągłe sygnały zwiastujące połączenie, dostrzegam za drucianą siatką panią Lucynę i jej córkę. Wychodzą właśnie z działki. Przypominam sobie, jak ja się czułam w tym miejscu, gdy byłam nastolatką, i pojawia się we mnie współczucie dla tej wysokiej blondynki z włosami opadającymi na ramiona. Mówi coś do pani Lucyny, na co ta odpowiada jej takim samym wyniosłym uśmiechem, jaki zobaczyłam dzisiaj na ustach mojej mamy.

Lucyna mnie nie widzi, ale jej córka kiwa mi głową na powitanie, z jej ust wydobywa się bezgłośnie „dzień dobry”. Zawsze, gdy jakiś nastolatek mówi mi „dzień dobry”, przypominam sobie o upływie czasu. Mam trzydzieści cztery lata, za sobą kilka nieudanych związków, a obecna relacja z Kubą nie daje mi pełnego poczucia bezpieczeństwa. Wciąż mam wrażenie, że za mało go w moim życiu, nawet gdy siedzi ze mną przy stole i jemy wspólnie przygotowaną kolację, jakbyśmy byli zawieszani w pustym, choć przyjemnym „tu i teraz”.

– Cześć. – Odbiera dopiero po siedmiu sygnałach.

– Cześć.

– Co tam słyszać?

– Wszystko dobrze – odpowiadam. – Coś się stało?

– Nie, nic.

Wydaje mi się, że jest zestresowany. A może to tylko pośpiech.

– Chciałem cię tylko usłyszeć – dodaje po chwili.

Przypominam sobie poniedziałkową noc. Został u mnie do późna. Właściwie nie wiem, kiedy wyszedł, bo zasnęłam. Jednak zanim to się stało, przeniósł mnie do innej rzeczywistości, w której wsłuchiwałam się w jego przyspieszony oddech, kąsana ciepłymi, wilgotnymi pocałunkami. Krew szumiała mi w uszach, powietrze było rzadsze, wszystko rozmywało się i scalało w tym samym momencie. A w tym wszystkim on, wpatrzony we mnie orzechowymi oczami, tak bliski i daleki jednocześnie.

– Może pojedziemy gdzieś na kolację? Zarezerwuję coś w jakimś ustronnym miejscu. – Jego głos wyrywa mnie z zadumy.

- W porządku.
- W poniedziałek muszę wyjechać służbowo do Warszawy na trzy dni.
- Jakies szkolenie?
- Warsztaty z pracy w grupie. Miało ich nie być, ale okazało się, że inna firma zrezygnowała i udało nam się wskoczyć na ich miejsce. To ważne dla mojego zespołu.
- Jasne, rozumiem – odpowiadam.
- A ty co robisz?
- Jestem z mamą na działce.
- To dobrze. A poza tym wszystko OK?

Pyta o to z wręcz nadmiernym zaciekawieniem, jakby spodziewał się, że zaprzeczę. Mam wrażenie, że tym wnikliwym tonem domaga się ode mnie jakiegoś druzgocącego zwierzenia, informacji, że stało się coś złego. Szybko wracam pamięcią do naszego poniedziałkowego spotkania, szukam momentu, który może powodować tę przesadną ciekawość, ale nie mogę niczego takiego odnaleźć. Było intensywnie, ale zawsze tak jest. Potem zasnąłam, a on wyszedł. Żadnych anomalii.

– Wszystko OK – odpowiadam cierpliwie. – A dlaczego pytasz?

Milczy dłuższą chwilę.

– Jesteś? – dopytuję.

– Tak, jestem.

Mama podchodzi do kompostownika z wiadrem zgniłych jabłek. Wyrzuca je na stertę suchych liści, po czym spogląda na mnie z czymś na kształt chciwości w oczach. Jakby pragnęła wiedzieć wszystko o tym kimś po drugiej stronie słuchawki. Jak ma na imię, czym się zajmuje, bo to, że jest mężczyzną, wie na pewno.

– Muszę kończyć, zaraz zaczynam spotkanie – mówi.

– Dobrze, nie ma problemu.

– Cześć.

– Cześć.

Odkładam telefon do kieszeni i idę do altanki po foliówkę. Potem zaczynam zrywać i wrzucać do niej pomidory, które rosną przy asfaltowej ścieżce rozdzielającej działkę na pół. Potem zaś idę do krzewów z ogórkami. Wciąż myślę o telefonie od Kuby. Pierwszy raz czuć było od niego takie przejęcie, jakby naprawdę stało się coś złego.

Gdy wracam rowerem do domu, czuję już ten znajomy ciężar ciała. Jakby odmawiało wykonywania kolejnych ruchów. Ono chce już spać, przyzwyczajone do ciepłej pościeli, którą zazwyczaj otaczam je o osiemnastej. A ja tymczasem pędzę labiryntem parkowych ścieżek, z foliówką pełną warzyw zawieszoną na kierownicy. Mijam kamienną tablicę informującą, że ten park to jednocześnie stary cmentarz. Pod ziemią pokrytą dywanem purpurowych liści od osiemdziesięciu lat leżą ludzkie szczątki.

Wyjeżdżam już na ulicę Kilińskiego. Do domu mam jeszcze dziesięć minut drogi.

Promienie chylące się ku zachodowi słońca kleją mi się do odsłoniętych ramion, jest w tym coś kojącego i irytującego jednocześnie. Ciepło, zimno, wietrznie, wszystkiego za dużo i za mało. Już widzę dom. Jego widok jest jak kadr z filmu, płaski, pozbawiony przestrzeni. Sen przeciąga mnie już na swoją stronę. Coraz mniej mnie, na tym rowerze, na tej ulicy, przy furtce. Opieram rower o ogrodzenie. Malarz. Zauważam go w ostatniej chwili, wyrasta przede mną jak zjawą. Prawie na niego wpadam.

– O, przepraszam – mówi i unosi dłonie, a przed oczami błyska mi jego srebrna bransoletka.

Wychodzi przez furtkę na chodnik. Jego samochód stoi na krawężniku jednym kołem, ale on do niego nie wsiada. Wymija go, idzie dalej chodnikiem. W pewnej chwili jednak odwraca się i spogląda na mnie. Nieważne. Idę do domu. Przekręcam korbę w zamku. Schody, półotwarte drzwi od sypialni. Czy ja ich nie zamykałam po pierwszej drzemce? Nie pamiętam. Widzę już łóżko i kołdrę. Wsuwam się pod pościel. Nie ściągnęłam butów. Nieważne. Zostawiam cały ciężar za sobą i już jest lekko. I już jest dobrze.

Wizyta 2

Znowu tu jestem, stoję nad twoim łóżkiem i patrzę, jak śpisz. Ostatnio prześladowuje mnie myśl, że to zaczyna robić się niebezpieczne. Z jednej strony moje odwiedziny u ciebie są istnym szaleństwem, a z drugiej – najprawdziwszą i najnormalniejszą częścią mojego życia.

– Mam dla ciebie perły, Weroniko – mówię ściszym głosem.

Na dźwięk tych słów przechodzą mnie ciarki.

Są tylko dwie, ale więcej nie potrzebujemy, prawda? Symbolizują czystość naszego uczucia. Chcę ci je tu zostawić, w ten sposób zaznaczyć swoją obecność w twoim życiu, stworzyć między nami realny punkt styku. Gdy je odnajdziesz, możliwe, że zmarszczysz brwi, zadasz sobie pytanie, skąd się tu wzięły. Możesz mi wierzyć lub nie, ale taki scenariusz bardzo mnie podnieca. Nie sądzę, żeby ten prezent wzbudził w tobie wielkie podejrzenia. To tylko małe kuleczki, na dodatek przedziurawione, gotowe do zawieszenia na łańcuszku. Ich kolor pasuje do twojej bladej cery i szlachetnej urody. Masz gładką twarz otoczoną pasmami czarnych włosów i wielkie spokojne oczy. Lubię na nie patrzeć, ich widok mnie uspokaja, nawet gdy są zamknięte.

Perły nie symbolizują tylko czystości naszego uczucia. Tu chodzi o coś więcej, ale o tym opowiem ci kiedyś, gdy zostaniemy sam na sam, a twoje oczy będą otwarte. Wierzę, że tak się w końcu stanie. Tylko ty jesteś w stanie mnie zrozumieć.

Nasza mała tajemnica zaczyna mi ciążyć. Każdego dnia myślę o tobie coraz więcej. Nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie to uzależnienie. Chcę się komuś z tego zwierzyć, ale absolutnie nikt mnie nie zrozumie. Spojrzenia, którymi wszyscy zaczną mnie obrzucać, będą takie same jak te, które już trochę znam. Na przykład oni. Próba dotarcia do nich od zawsze kończy się dla mnie porażką. Na ich twarzach tak często maluje się przerażenie, gdy rozmawiamy. Ono skutecznie zamyka mi usta.

Dopiero tu mogę je ponownie otworzyć. Dziękuję ci za to. Dziękuję za twoje lawirowanie między jawą a snem. Jesteś dla mnie wyjątkową partnerką. Nieświadomą. Uśpioną. Kiedyś cię obudzę, obiecuję.

Kładę perły obok twojej dłoni ozdobionej pierścieniem z szafirem. Lubię go. Pasuje do twoich oczu, w których błękit miesza się z szarością. One przyciągają męskie spojrzenia. W realnym świecie jesteś dla nich łakomym kąskiem. Masz szczerą twarz, na którą przyjemnie się patrzy. Biję od niej spokój, dystans do świata, jakbyś zawsze w pewnym stopniu była pogrążona we śnie. To fascynujące. Tajemnicza Weronika

z niebieskiego domu otoczonego wiekowymi tujami. Czy to nie brzmi jak wstęp do bajki?

Może trochę przesadzam z tymi tujami. Nie rosną dookoła domu. Część uschła i musiałaś zastąpić je młodymi krzewami laurowiśni. Ojciec pomagał ci je zasadzić na tyłach domu, pamiętam.

Ściągam koszulkę i układam się obok ciebie. Jedna perła wtacza się pod poduszkę, druga zatrzymuje się na jej krawędzi. Nie szkodzi. To już nieważne. W tej chwili, gdy zbliżam się do ciebie, jak zawsze trochę się boję, ale ten wyrzut adrenaliny ma w sobie też coś rozkosznego, uzależniającego. Zaraz potem trochę się rozluźniam, robi się lekko i przyjemnie, choć w zakamarkach mojego umysłu wciąż czai się niepokój, z którym igracam jak z dużym psem szczekającym za niskim płotem. Przysuwam się bliżej. Mały palec twojej dłoni dotyka teraz mojego brzucha. Pod pępkiem czuję przyjemne łaskotanie. Kąciki twoich ust delikatnie się unoszą. Nie mam pojęcia, jaki widok rozwija się teraz pod twoimi powiekami, ale chcę wierzyć, że ma to związek z moją bliskością. Przyzwyczyłaś się do mnie, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Jesteś różą, którą udało mi się oswoić. Przykładałam zaciśniętą dłoń do ust i powstrzymuję spontaniczny rechot. Znam cię, wiem, że akurat takie odgłosy wzbudzają w tobie podejrzliwość. Nie będę ci ich dostarczać. W tym porównaniu jednak kryje się prawda. Odwiedzam cię od paru tygodni. Nie przychodzę codziennie, ale staram się to robić jak najczęściej. Podczas pierwszych wizyt w twoim domu wystarczyło mi obserwowanie ciebie z daleka, opieranie się o futrynę drzwi, wpatrywanie się w twoje włosy rozsypane na poduszce, rulon kołdry pomiędzy nogami. W lecie zawsze się rozkopujesz, a pościel traktujesz jak przytulankę.

Po jakimś czasie pojawiła się we mnie śmiałość, żeby podejść bliżej, a potem zaczęły się kolejne ruchy. Układanie się na dywanie pod twoim łóżkiem, wsłuchiwanie się w twój oddech. Czasem docierały do mnie urywane słowa. „Tak”, „Zostaw!”, „Kuba”. Rozpierała mnie ciekawość tego, o czym śniesz, irracjonalna wiara w to, że jeśli zbliżę się do ciebie jeszcze bardziej, to zobaczę twoje sny, wyczuję je od ciebie. Pierwsze wejście na łóżko pamiętam do dziś. Oderwałaś głowę od poduszki. Ten moment wspominam jak małą śmierć, chwilę obezwładniającej bezradności. Nie otworzyłaś jednak oczu. Przewróciłaś się na drugi bok i dalej spałaś. Powiedziałaś: „Dobrze”. Ulga rozlała się po mnie jak chłodna woda w upalny dzień. A to „dobrze” było jak aprobata.

Odkąd jesteśmy bliżej, wciąż poszerzam swoją wiedzę na temat odmiennych stanów świadomości. Niedawno wpadł mi w ręce ciekawy artykuł na temat hipnopedii. Jest to metoda nauki w czasie snu. Opiera się na założeniu, że kiedy śpisz, mózg jest w stanie nauczyć się pewnych zależności, które mogą wpłynąć na twoje zachowanie po

przebudzeniu. A ja myślę, że pod wpływem tej nauki zmienia się też twoje zachowanie podczas snu. Przyzwyczajasz się do nowego otoczenia.

Za każdym razem, gdy spotykam cię w realnym świecie, oddzielonym od tej sypialni grubym murem, mam wrażenie, że podświadomie na mnie reagujesz. Twoje oczy mieniają się dziwnym blaskiem, na policzki wypływają rumieńce. Choć nie zdajesz sobie z tego sprawy, wspominasz wtedy to, co dzieje się tutaj. Ujmuję w dłoń pasmo twoich miękkich włosów. Pachną cytrusowym szamponem i tobą. Chcę zbliżyć się do twojej szyi, wciągnąć w siebie więcej tego zapachu, ale czuję, że teraz nie jest odpowiedni moment. Znam już wszystkie twoje odruchy i grymasy twarzy. To mogłoby cię za bardzo sprowokować.

Coś przerywa naszą bliskość, wprawia moją rękę w drżenie. Słyszę kroki. Ktoś wszedł do domu. Zastygam z pasmem twoich włosów w dłoni i wsłuchuję się w te dźwięki. Kto to może być? Dlaczego tu wszedł? Nigdy jeszcze się to nie zdarzyło. Dwa razy ktoś zadzwonił dzwonkiem, a potem grzecznie czekał, co dawało mi czas, żeby ulotnić się przez taras. Tymczasem teraz jakiś intruz wspina się już po schodach. Po domu niesie się stukot jego butów. Puszczam twoje włosy. Zeskakuję z łóżka. Chcę uciec, choćby przez okno, ale tu jest tylko dachowe, bezpośrednio nad łóżkiem.

Bezradność oblepia mnie jak smoła. W uszach szumi krew, gdzieś głębiej wali serce. Ktoś zaraz przyłapie mnie na gorącym uczynku. Nie tak miało być. Pod łóżkiem nie ma przestrzeni, pod którą mogę się schować, drzwi w szafie są otwarte, wszystko porozcinane półkami, nie zmieszczę się.

Ten człowiek jest już na piętrze, jego kroki są coraz donośniejsze. Idzie w kierunku sypialni.

A w tym wszystkim ty, z lekko uchylonymi ustami, oddychająca błogim snem. Nieświadoma tego, co się tu dzieje. Jesteś jak diament, którego będę chronić. Nie możesz się obudzić.

Wychodzę szybkim krokiem z sypialni, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, modląc się w duchu, żebyś nie usłyszała. Budzi się we mnie coś dzikiego, po głowie grasują nowe, nieznanne myśli. Potrzeba ochrony naszego małego świata. Chęć walki w imię człowieka, którym przy tobie jestem, a który właśnie ustąpił miejsca temu drugiemu, gorszemu, pozostawiając po sobie pustkę. Nie zniosę jej. Odwracam się w kierunku schodów, kipiąc gniewem. W jednej sekundzie dociera do mnie potworność tej chwili.

Kilka sekund.

Tyle trwa moja walka o nas. O siebie. Potem zapada cisza, w której zbiegam po schodach i patrzę. Chcę jeszcze jakoś to naprawić. Słyszę krótkie urywane oddechy, widzę rosnące oczy, aż wreszcie wszystko się zatrzymuje. Nie ma już nic. Ja też zanikam.

Gdy wracam do sypialni, mam wrażenie, że unoszę się nad ziemią. Otwieram drzwi i widzę, że ty wciąż śpisz. Usta jednak masz teraz zaciśnięte, czoło lekko zmarszczone. Wsuwam na siebie koszulkę, próbując już na ciebie nie patrzeć. Idąc w kierunku wyjścia, czuję, jak coś ściska mi gardło. W progu sypialni przystaję. Perły. Współprzemyślny umysł każe mi po nie zawrócić. Odnajduję jedną, druga leży pod twoją poduszką. Trudno, muszę ją zostawić. Wychodzę z sypialni i znowu zamykam za sobą drzwi. Chcę cię odgradzić od tego, co tu się stało. Potem wybiegam z twojego domu. Na tarasowych kaflach jest trochę piasku, prawie się na nich wywracam, wymachując bezradnie rękami, ale udaje mi się ustać na nogach i biegnę dalej przez zarośnięty ogród, potem przedzieram się przez żywopłot. „Dlaczego właśnie w tym miejscu?”, ganię się w duchu. Tu są tuje, łatwiej jest przechodzić przez siatkę w prawym, a nie w lewym rogu, tam są małe laurowiśnie, które łatwo przeskoczyć. Dzięki temu nie zostawiam śladów. Teraz jednak paląca chęć ucieczki bierze górę. Pragnę się stąd wydostać. Igły tui wydają się ostrzejsze i cięższe, jakby mnie raniły, choć nie mam żadnych śladów na rękach ani nogach. W końcu wydostaję się na zewnątrz. Jak dobrze, że mieszkasz w sąsiedztwie zagajnika. Nikogo tu nie ma. Dziś to wydaje się szczególnie ważne. Macam się po kieszeni, w której była perła, ale jej nie odnajduję. Musiała mi po drodze wypaść. Trudno. Ruszam przed siebie, byle jak najdalej.

Rozdział 4

„Nigdy ich nie zamykam”, myślę, patrząc na sypialniane drzwi. Jestem zadziwiająco przytomna, z reguły potrzebuję czasu, żeby powrócić do rzeczywistości po drzemce, ale teraz czuję się tak, jakbym w ogóle nie spała. Miałam koszmar. Byłam uwięziona w ciasnej celi. Zza ściany dobiegał kobiecy głos, który krzyczał: „Nie!”, potem usłyszałam huk, jakby gdzieś niedaleko zamknęły się ciężkie metalowe drzwi. Wcześniej chyba śniło mi się coś innego, ale tego już nie pamiętam.

Na szafce nocnej widzę trochę wilgoci. Dalej jest szklanka z wodą. Musiałam wylać kilka kropel, gdy piłam z niej ubiegłej nocy. Wyciągam z szuflady chusteczkę i wycieram wszystko do sucha. Wstaję z łóżka i wychodzę z sypialni, wciąż nie mogąc zrozumieć, dlaczego drzwi były zamknięte. Może to sprawa przeciągu? Na dworze wieje wiatr. Spoglądam na okno przy końcu antresoli. Jest uchylone. Może ich trzask był hukiem z mojego koszmaru?

Nagle przestaje mieć to jakiegokolwiek znaczenie, bo to, co zauważam, rozrzedza powietrze, pozbawia mnie tchu. Podchodzę do drewnianej balustrady i patrzę w dół, walcząc o każdy kolejny oddech. To nie sen. To rzeczywistość, która wciąga mnie do środka jak ognisty wir. Na drewnianej podłodze mojego salonu leży nieruchomo kobieta. Lucyna Kos.

Jej wielkie, puste oczy patrzą w sufit. Krew sączy się cienkim, leniwym potokiem z ucha. Trzymam się dłonią bariereki. Wszystko wokół mnie zdaje się drżeć. Jakbym stała na asfalcie w upalny dzień i jakby otaczały mnie falujące nad nim opary gorącego powietrza.

Skąd ona się tu wzięła? Przecież odwołała dzisiejszą lekcję. Zresztą i tak dochodzi już dziewiętnasta, a lekcja miała zacząć się o piętnastej trzydzieści. Pytania kłębią się w mojej głowie, czuję mdłości.

Ostatnio też stąd na nią patrzyłam. Wtedy przemierzała prężnym krokiem salon, teraz leży na parkiecie i się nie rusza. To wydaje się nierealne. Tym razem jestem jednak pewna, że nie śnię. To, co widzę, przesywa mnie na wylot, jest jak wystrzał z broni palnej, głuchy i ostry.

Na połowę jej twarzy pada promień chylącego się ku zachodowi słońca, druga jest zacieniona. W tym kontraście jest coś makabrycznego. Schodzę po schodach, próbując zapanować nad zawrotami głowy. Otoczenie wydaje się ciaśniejsze, jakby mnie atakowało. Ściany za blisko, poręcz za śliska, dywan pod ostatnim stopniem szorstki i zimny.

W końcu podchodzę do niej na miękkich nogach.

– Pani Lucyno. – Słyszę swój głos.

Jest we mnie pełno pytań, na które nie znam odpowiedzi.

Wyciągam z kieszeni smartfon i dzwonię pod numer alarmowy. Z trudem opowiadam dyspozytorowi o tym, co widzę, podaję adres. Zaraz ma przyjechać karetka.

Potem klękam przy niej, wodząc wzrokiem po nieruchomym ciele. Ręce na wysokości głowy, szeroko rozłożone nogi opięte białymi rajstopami. Wygląda bezbrinnie, słabo. W jej oczach nie widać życia, zastygły w zaskoczeniu.

Mimo to przykładam policzek do jej rozwartych ust, próbuję wyczuć oddech. Dociera do mnie tylko metaliczny zapach krwi. Wstrząsają mną dreszcze. Odsuwam się od niej, czując, że treść żołądkowa podchodzi mi do gardła. Zasłaniam dłonią usta i patrzę na jej klatkę piersiową. Nie unosi się, nie opada. W tym bezruchu jest coś ostatecznego. Widziałam go już trzy lata temu, gdy znalazłam ciało Antoniego w mieszkaniu, które wynajęłam wczoraj malarzowi.

Ona jest jednak jeszcze ciepła, krew wciąż sączy się z jej ucha. Może to jeszcze nie koniec? Pierwsza pomoc. Staram się odtworzyć w głowie poszczególne kroki. Kiedyś oglądałam w telewizji instruktaż. Nigdy jeszcze nie musiałam tego robić, a teraz szukam punktu środkowego na klatce piersiowej. Próbuję nie patrzeć na jej rozwarte oczy. Mam wrażenie, że już nigdy nie uwolnię się od tego widoku. Nawet gdy skupiam się na jej torsie, dostrzegam ich błysk, gdzieś z boku. Jakby patrzyła mi na ręce, na to, jak składam jedną dłoń na drugiej i zaczynam uciskać jej klatkę piersiową, czując pod spodem twarde żebra. Nie chcę ich złamać. Nie chcę jej zaszkodzić. Im dłużej to robię, tym bardziej skłaniam się ku myśli, że to na nic.

Otwarte oczy nie są dla mnie wystarczającym sygnałem śmierci. To może być jedynie przejaw utraty świadomości. Trzymam się tej myśli i wciąż uciskam jej klatkę piersiową. Przez głowę przelatują mi różne spostrzeżenia. Widziałam ją dzisiaj na działce. Nie zwracała na mnie uwagi. Spoglądałam na drzwi wejściowe. Przecież zamknęłam je na klucz. Dociera do mnie powiew chłodnego powietrza i odwracam głowę w kierunku drzwi tarasowych. Te są uchylone. Mogłam ich nie zamknąć, nie pamiętam.

W mięśniach przedramion czuję pieczenie, nadgarstki mnie bolą od ciągłego ruchu. Góra-dół. Pasma włosów opadają mi na oczy, nie odsuwam ich, tylko uciskam. Na małym palcu mam jej krew. Nie wiem, skąd się na nim wzięła.

Z oddali nadciągają jęki syren. Po chwili słyszę trzask samochodowych drzwi. Odrywam się od ciała pani Lucyny i idę na drżących nogach do sieni. Otwieram drzwi. Widzę troje sanitariuszy: jedną kobietę i dwóch mężczyzn.

– Dzień dobry.

Odsuwam się i gestem dłoni zapraszam ich do środka.

Idą prosto do niej, ktoś pyta:

– Reanimowała ją pani?

– Tak, jakieś dziesięć minut.

Opieram się plecami o ścianę i patrzę na ich pracę, co jakiś czas spoglądam na uchylone tarasowe drzwi, potem znowu na Lucynę, na jej nieruchome nogi. Gdzieś ponad jej twarzą przelatują białe przewody, kobieta rozpina jej bluzkę, przykleja elektrody do jej klatki piersiowej. Nie wiem, czy ktoś do mnie coś mówi, nie słyszę wyraźnie. Dużo pada teraz słów. Szuranie butów, stukot plastiku, brzęczenie elektryczności. Patrzę na plecy dwóch sanitariuszy pochylających się nad nią. Widzę mały zielony ekran, przecięty prostą linią. To chyba wykres EKG, chyba powinna pojawić się na nim jakaś amplituda.

Podchodzi do mnie sanitariuszka. Ma jasne włosy złapane w niskiego kucyka, nienaturalnie czarne, grube brwi.

– Może pani powiedzieć, co się dokładnie stało?

Wracam wzrokiem do sanitariuszy. Brunet z irokezem mówi coś do łysego kolegi. Wyłapuję ostatnie słowa:

– Chyba poszła podstawa czaski.

Lucyna wciąż leży nieruchomo na ziemi.

Łysy zwija przewody i przygląda się jej twarzy z jakąś zadumą.

– Nie żyje? – pytam blondynkę, choć odpowiedź wydaje się teraz oczywista.

– Tak – odpowiada blondynka.

– To był upadek? – pyta. – Zleciała? – Patrzy na antresolę.

– Nie wiem, spałam.

– Spała pani?

– Tak.

– Gdzie pani spała?

– W sypialni, na górze.

Kobieta patrzy na mnie pytająco, może nawet wymagająco.

Zbieram się w sobie, próbuję oprzytomnieć. Widzę po niej, że żąda wyjaśnień. Czuję wewnętrzną mobilizację. Jakbym nagle wpadła do tunelu, który wypełnia się wodą. Muszę się szybko z niego wydostać.

Z moich ust wypływa potok słów:

– Obok sypialni mam gabinet, w którym uczę angielskiego, a to moja uczennica. Dzisiejsze zajęcia jednak odwołała. Nie wiem, dlaczego przyszła do mojego domu, a przede wszystkim nie wiem, jak to zrobiła, którądy weszła. Drzwi wejściowe były zamknięte, tarasowe uchylone. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam ją – mówiąc to, wskazuję dłonią na ciało Lucyny. – Leżała tak jak teraz.

– Mogła wejść przez taras – ocenia niepewnie sanitariuszka.

– Tak, tylko po co? Odwołała dzisiejsze zajęcia – powtarzam wolniej, wyraźniej, jakby to mogło przywrócić Lucynie życie.

Przemawia przede mnie niedowierzanie, że coś tak makabrycznego wydarzyło się w moim domu.

Czuję, że to doświadczenie właśnie przebiło całe moje życie na wylot. Zrobiło w nim dziurę, której nie da się zasypać. Nic nigdy nie będzie już takie samo.

– Adrian, zadzwoń – zwraca się blondynka do kolegi i mruga do niego porozumiewawczo.

Po chwili słyszę, jak brunet z irokezem zgłasza sprawę policji. Zdaje się, że nie zadzwonił pod numer alarmowy, tylko bezpośrednio na oławską komendę. Mówi:

– Cześć, tu Adrian z pogotowia. Przyślijcie kogoś na Lustrzaną siedem. Mam tu martwą kobietę, wiek około pięćdziesięciu lat, przerwana podstawa czaszki. Najwyraźniej spadła z antresoli. – Unosi wzrok. – Sprawa jest niejasna.

Ostatnie zdanie wypowiada ciszej, jakby nie chciał, żebym słyszała.

Sprawa w istocie jest niejasna, ale mnie najbardziej martwi to, że ściszył głos, jakbym to ja w jego skrytym przeczuciu mogła przyczynić się do śmierci Lucyny.

– Zaraz będą – informuje po chwili koleżankę.

Na mnie nie patrzy. Nagle rozkład sił między nami się zmienia. Sanitariusze są po jednej stronie barykady, ja po drugiej. Przynajmniej tak się czuję, gdy patrzę, jak łysy mężczyzna odpina elektrody z klatki piersiowej pani Lucyny, a brunet chowa mały monitor do szarego neseseru.

Blondynka pisze coś na kartce wpiętej w plastikową podstawkę z reklamą leku na problemy kardiologiczne. Patrzę na wesoły rysunek serca ze skrzydłami po bokach i próbuję zrozumieć targające mną uczucia. Szok ustępuje miejsca czujności. Dociera do mnie, że w tej patowej sytuacji może na mnie paść cień podejrzeń. Spoglądam na antresolę, potem na martwą kobietę leżącą obok kanapy, na której z reguły siedzę i czytam książki lub oglądam seriale. Do mojego spokojnego życia raptownie wkradło się zakłócenie, z którym będę musiała sobie jakoś poradzić.

Słyszę dzwonek mojego telefonu. Dochodzi z piętra, zostawiłam go w sypialni, na szafce nocnej. Idę tam szybkim krokiem. To Kuba. Głos mi drży, gdy odbieram:

– Halo.

– Cześć – wita się ze mną po chwili ciszy, z nutą niepewności w głosie.

– Kuba.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że zarezerwowałem nam stolik w Del Mulino na dwudziestą.

Stolik, restauracja. Tak, mieliśmy dziś wyjść na kolację. Te plany wydają się teraz odległe i nierealne, jakby wydarzyły się tylko we śnie.

– Wszystko OK? – pyta, gdy nie odpowiadam przez kilka sekund.

Przypominam sobie tę jego przesadną ciekawość, gdy rozmawiałam z nim przez telefon na działce mojej matki. Doczekał się odpowiedzi, która zmrozi mu krew w żyłach.

– W moim domu leży martwa kobieta – mówię szybko.

– Co?

– Pani Lucyna Kos. Nie wiem, jak tu weszła, nic z tego nie rozumiem. Obudziłam się po drzemce i zobaczyłam ją na podłodze pod antresolą. Przyjechało pogotowie, stwierdzili zgon.

– Ale jak do tego doszło?

– Nie mam pojęcia, możliwe, że spadła z antresoli, uderzyła głową w podłogę. Reanimowałam ją. – Spoglądam na swoją drżącą rękę, plamę krwi na małym palcu i robi mi się niedobrze.

– Poczekaj, spokojnie, wezwałaś karetkę?

– Tak, już tu są.

– Wera, skończę spotkanie i przyjadę.

– OK.

Rozłączam się i chowam telefon do kieszeni. Potem wracam na dół, próbując nie patrzeć już na ciało Lucyny.

Wnętrze domu kołysze się na prawo i lewo. Pojmuję, że to nie dom, tylko ja. Kręci mi się w głowie.

– Czy dobrze się pani czuje? – pyta blondynka, przyglądając mi się granatowymi oczami, gdy schodzę na dół.

– Napiję się wody i będzie mi lepiej – odpowiadam, przechodząc obok niej. Zmierzam do otwartej kuchni.

Nalewam sobie wody z kranu, choć nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Nie mam jednak sił na rozerwanie zgrzewki ze staropolanką. Wypijam wszystko na raz i odkładam pustą szklankę na biały blat. Patrząc na ozdabiający go wzór z czarnych żył imitujący marmur, myślę o tym piasku, który zobaczyłam ostatnio na parkiecie.

Nie wiedziałam, skąd się wzięła, a właściwie myślałam, że zostawiła go Lucyna. Wytypowałam właśnie ją. Powoli odwracam się w kierunku salonu. Przez półowalne przejście widzę jedynie jej nogi. Nalewam sobie jeszcze trochę wody.

Do kuchni wchodzi sanitariusz z błyszczącą łysiną na głowie. Wydaje się najbardziej przyjazny z całej trójki. Jego małe ciemne oczy są radosne, w policzkach dostrzegam wgłębienia.

Zmierzają prosto do zlewu, zdaje się, że chce wypłukać ręce. Wszyscy sanitariusze zachowują się tu bardzo swobodnie. Pewnie odwiedziny w cudzych domach to dla nich codzienność. Wnętrza zlewają się w jedną całość, w której ważnych jest kilka punktów. Drzwi wejściowe, dostęp do wody, okna, żeby było światło, dostęp do prądu, miejsce, gdzie można usiąść.

– Rok temu widziałem podobną sytuację – mówi, strzepując na podłogę wodę z mokrych rąk. – Z tym że facet zleciał ze schodów. Potem okazało się, że wcześniej pękł mu tętniak w mózgu. Żona spała w sypialni. – Spogląda na mnie. – Czy ona miała problemy ze zdrowiem?

– Nie mam pojęcia.

– Pewnie rodzina będzie wiedzieć.

Ktoś puka do drzwi wejściowych. Zerkam w okno i widzę czarne volvo zaparkowane obok karetki pogotowia. To pewnie policja.

Dopiero gdy otwieram im drzwi, uświadamiam sobie, że wciąż trzymam szklanę z wodą. Zanim odpowiadam na „dzień dobry”, odkładam ją na wąską konsolę.

Mam teraz przed oczami wysoką brunetkę w szarym żakiecie i jeansach, obok niej stoi postawny mężczyzna w skórzanej kurtce. Na szyi kobiety wisi biała legitymacja, zauważam błysk odznaki.

– Dzień dobry – witam się uprzejmie, acz pewnie, z asekuracyjną nutą w głosie.

– Aspirant Edyta Walewska, komenda powiatowa policji w Oławie – przedstawia się kobieta, symbolicznie wysuwając dłonie z kieszeni. – Pani jest właścicielką domu?

– Tak.

Ma ostre rysy twarzy, które łagodzi drobny, dziewczęco zadarty nos. Włosy związane wysoko w ciasny kucyk. Jego naciąg spłyca zmarszczki pod szmaragdowymi oczami.

Wygląda znajomo, ale nie potrafię dojść do tego, gdzie i kiedy mogłam ją zobaczyć.

– Sierżant Łukasz Wójcik – mówi mężczyzna o głęboko osadzonych piwnych oczach.

– Proszę wejść, ona leży w salonie – zapraszam ich do środka i wskazuję dłonią za siebie.

Policjanci wchodzą do domu, rozglądając się czujnie po wnętrzu. Mężczyzna wita się uściskiem dłoni z brunetem z irokezem, policjantka wkłada ręce do kieszeni jeansów i kiwa głową, przysłuchując się relacji blondynki z pogotowia. Chyba wszyscy dobrze się tu znają.

Policjantka lustruje wzrokiem ciało Lucyny, następnie zerka na antresolę.

Podchodzę do nich z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersi.

– Proszę nam powiedzieć, co dokładnie się stało. – Walewska przerzuca na mnie wzrok.

– Nie wiem, spałam. Gdy się obudziłam, pani Lucyna leżała tu, tak jak teraz.

Proszą mnie o podanie danych osobowych, potem Wójcik zapisuje imię i nazwisko zmarłej. Lakierowana torebka Lucyny leży obok jej prawej dłoni, w środku pewnie jest portfel, a tam dowód osobisty, ale na razie nikt tam nie zagląda.

Wójcik od nas odchodzi, słyszę pogłos jego kroków na schodach. „Sprawa jest niejasna”, przypominam sobie słowa sanitariusza i mam wrażenie, że policjant poszedł na górę, żeby po swojemu sprawdzić, co się stało, bez względu na to, co powiem.

Policjantka tymczasem zerka na zegarek.

– O której godzinie położyła się pani spać?

– Około osiemnastej.

– Czy pani Lucyna była wtedy w domu?

– Nie.

W moim głosie pojawia się niepewność, choć do tej pory byłam przekonana, jaka jest odpowiedź na to pytanie. Byłam sama w domu, gdy kładłam się spać.

– Na pewno? – Walewska wyczuwa moje wahanie.

Jest jak myśliwy obserwujący leśne zarośla z naładowaną strzelbą w dłoniach. Zauważa każdy, nawet najmniejszy ruch.

– Tak.

– Co pani robiła przed drzemką?

– Byłam z matką na działce. Potem przyjechałam rowerem do domu i poszłam na górę. Położyłam się spać w sypialni.

– Czy drzwi były zamknięte na klucz, gdy wróciła pani do domu?

– Tak, musiałam je otworzyć – odpowiadam automatycznie, choć nie pamiętam tego dokładnie.

– Musiała pani czy pani otworzyła?

– Gdyby były otwarte, na pewno bym to zapamiętała.

Walewska nic nie odpowiada, tylko zapisuje coś w notatniku. Potem wyciąga z kieszeni telefon, gdzieś dzwoni. Mówi do słuchawki:

– Walewska, przyslijcie na Lustrzaną siedem dochodzeniowca i technika. Trzeba sprawdzić dom.

Gdy to słyszę, ogarnia mnie niepokój. Czego właściwie będą szukać?

Po rozmowie telefonicznej policjantka zadaje mi kolejne pytanie:

– Czy zamykała pani drzwi wejściowe przed drzemką?

– Tak, na pewno były zamknięte, ale po przebudzeniu zorientowałam się, że tarasowe są uchylone.

Walewska zdecydowanie kiwa głową, jakby mówiła tym gestem: „A więc Lucyna weszła przez taras”. Dla wszystkich wydaje się to jasne, dla mnie jest to co najmniej

dziwne. Choć znając nieobliczalną i trochę napastliwą naturę pani Lucyny, wiem, że taka opcja jest możliwa.

Rozmawiam z policjantką, oczekując na przyjazd wezwanych przez nią osób. Gdy się tu pojawiają, czuję się tak, jakby do mojego domu wpełzły robaki. Oprócz ludzi „sprawdzających dom” pojawia się prokurator, wysoki szczupły facet z kilkudniowym zarostem. Sprawia wrażenie obojętnego, gdy rozmawiamy o tym, co się stało. Nie mam pojęcia, jakie myśli kryją się za jego przeszywającymi szklanoniebieskimi oczami.

Zadaje mi te same pytania co Walewska, potem prosi ją na bok. Chyba ustalają kolejne kroki. Prokurator opuszcza mój dom najprędzej ze wszystkich. Policjanci zostają i najwyraźniej nie zamierzają się stąd szybko ruszać.

Dochodzeniowiec to niski szczupły mężczyzna z blond włosami i niemal niewidocznymi brwiami. Chodzi po domu z dyktafonem w dłoni i opisuje sztywnym oficjalnym językiem wnętrze. Co chwilę przy czymś przystaje lub kuca i robi zdjęcia. Szczegółowo opisuje położenie ciała Lucyny.

– Dwa metry od ściany, trzy od drzwi tarasowych. Po prawej szafka RTV, po lewej kanapa i dwie czarne poduszki.

Wszystko fotografuje. Technik w tym czasie kręci się po piętrze. Mierzy wysokość antresoli, potem niemal w artystycznym skupieniu sunie małym pędzlem po barierce, nanosząc na nią srebrny proszek. Chyba szuka odcisków palców. Przyglądam się jego posuwistym ruchom, nie mogąc uwierzyć w to, że coś takiego odbywa się właśnie w moim domu.

Następnie schodzi na dół, rzucając w stronę policjantów:

– Wysokość barierki dziewięćdziesiąt dwa.

– Czyli w normie? – pyta Walewska.

– Norma od dziewięćdziesięciu.

– OK.

– Pod tralkami znalazłem długi kabel. – Zerka w moją stronę, jakby chciał, żebym to wyjaśniła.

– Przedłużacz – wyjaśniam.– W gabinecie brakowało mi przez kilka dni jednej fazy prądu i ciągnęłam go z sypialni. Nie schowałam go, faktycznie.

Mam wrażenie, że ten biały kabel owija mi się teraz wokół szyi. Robi mi się duszno. Czy upadła w ten sposób? Potknęła się o przedłużacz, którego nie schowałam? Panel z gniazdkami był długi i gruby.

Z piętra schodzi Wójcik, mówi:

– Przedłużacz leży w miejscu, które sugeruje, że mógł stanowić zagrożenie. Zrobiłem zdjęcia.

– Bierzemy go na komendę? – pyta Walewska.

– Myślę, że tak, możemy zabrać – odpowiada jej policjant.

Technik tymczasem idzie do okien na parterze. Zamalowuje pędzlem wszystkie rygle, krawędzie szyb. Najwięcej czasu spędza przy drzwiach tarasowych. Obok nich stoi przykurzony komin, który jednak niespecjalnie interesuje mężczyznę. Wtedy przypominam sobie o tym piasku. Wspominam o nim policjantce. Kobieta zapisuje tę informację w notatniku. Wójcik w międzyczasie wychodzi przed dom. Gdy dociera do mnie, że zaczyna rozmawiać z sąsiadką z naprzeciwka, coś we mnie pęka. Pani Danuta, tęga brunetka o wesołym usposobieniu, słucha go z przejętą miną. Potem spogląda w moje okna i wzrusza ramionami, kręci głową. Pewnie w takich okolicznościach wypytywanie sąsiadów przez policję to norma. Ja jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że policja szuka winnego. Wśród podejrzanych jestem ja. W ich osądzie mogłam przyczynić się do śmierci Lucyny Kos.

Po godzinie przyjeżdża Kuba, blady jak ściana. Na widok ciała Lucyny robi krok do tyłu, zasłania dłonią usta, jakby zrobiło mu się nagle niedobrze.

Potem jednak zbiera się w sobie i podchodzi do mnie. Kręci z niedowierzaniem głową. Wydaje się zszokowany, przerażony.

– Co tu się stało? – pyta mnie cicho, tak jakby nie chciał, żeby jego pytanie usłyszeli policjanci, którzy rozmawiają teraz ze sobą przy ciele Lucyny.

– Nie mam pojęcia, spałam. Gdy się obudziłam, zobaczyłam to. – Wskazuję dłonią na denatkę.

– Chryste, Wera.

– Przecież mówiłam ci przez telefon.

Nic już nie odpowiada, tylko wpatruje się w ciało Lucyny, potem sam podchodzi do policjantów. Przedstawia się im. Gdy Walewska pyta, kim jest dla mnie, przez moment się waha, przełyka ślinę, w końcu odpowiada:

– Partnerem.

Ta deklaracja pada z jego ust pierwszy raz.

Wójcik zaczyna z nim rozmawiać. Walewska wraca do mnie. Pyta, czy domyślam się, z jakiego powodu Lucyna mogła do mnie dzisiaj przyjść, skoro odwołała lekcję. Nie mam pomysłu. Policjantka marszczy brwi, jakbym ją rozczarowała. Dalszą część przesłuchania chce przeprowadzić na komendzie. Pyta, czy z nią pojedę, podczas gdy tu pozostali funkcjonariusze będą kontynuować czynności wyjaśniające. Zgadzam się. Nie mam nic do ukrycia.

Zostawiam w domu Kubę i policjantów, a sama jadę z Walewską na komisariat. Chcę wytłumaczyć tę „niejasną sprawę” do końca. Gdy wychodzę z domu, czuję się tak, jakbym zrzuciła z siebie metalową zbroję. Robi mi się lżej.

Na komisariacie jest cicho i pusto. Jakaś kobieta z kręconymi jasnymi włosami z widocznymi odrostami stoi przy recepcji i rozmawia z dyżurnym o zgubionym portfelu, opisuje jego kolor, mówi o rozprutych krawędziach. Podaje imię i nazwisko byłego konkubenta.

– Mógł, ale nie musiał go zabrać. Wie pan, z nim nigdy nic nie wiadomo. Klucze do mieszkania wciąż ma.

Wpada mi do głowy myśl, że Kuba też od miesiąca nosi przy sobie zapasowy klucz do mojego domu. Dałam mu go, bo z reguły zasypiam, zanim wychodzi, a on zamyka drzwi od zewnątrz, żeby w nocy nie były otwarte.

Walewska prowadzi mnie wąskim korytarzem do żółtawych drzwi po prawej stronie. Otwiera je i wchodzi do małego dusznego pokoju. Przez nieproporcjonalnie długie plastikowe okno wlewa się do niego zmierzch.

Zapala światło, prosi, żebym usiadła przy biurku, na metalowym krześle z obłym drewnianym siedziskiem. Pyta, czy się czegoś napiję. Proszę o wodę. Wyciąga nową butelkę wody mineralnej z wąskiej białej szafy po prawej stronie i nalewa mi ją do szklanki z ciemnego szkła. Sama nic nie pije. Siada naprzeciwko mnie, przy oknie. Po lewej stronie, na ścianie, wisi trzyrzędowy kalendarz ze zdjęciem owczarka niemieckiego. Czerwone okienko wskazuje datę sprzed tygodnia.

– Czy zawiadomili już państwo rodzinę? – pytam.

– Pojechał do nich policyjny patrol i poinformował o tym, co się stało – odpowiada, wyciągając z teczek notes.

– Będzie pani z nimi rozmawiać? – zadaję kolejne pytanie.

– Tak, ale nie dziś.

Chyba budzą się we mnie obawy o to, jak zareagują na wiadomość, że Lucyna zginęła w moim domu.

Kobieta stuka zenitem o blat biurka, żeby wysunąć piszącą końcówkę, potem otwiera notes i przegląda to, co udało jej się zapisać, gdy u mnie była.

– O której godzinie pani zasnęła? – pyta.

– Już mnie pani o to pytała.

Kiwa niechętnie głową.

– Proszę mimo wszystko odpowiedzieć, nie jestem pewna, czy dobrze zapisałam.

Kwadratowe guziki bluzki związane na moim dekolcie nagle zaczynają mnie uwierać, choć do tej pory nie zwracałam na nie uwagi. Dociera do mnie, że powtarzając to samo pytanie, policjantka chce sprawdzić, czy jej nie okłamuję.

– O osiemnastej – mówię.

– Była pani zmęczona?

– Tak.

– Mogę wiedzieć, co spowodowało to zmęczenie?

– Dlaczego chce pani wiedzieć?

– Drzemki w ciągu dnia oczywiście zdarzają się ludziom, choć sama nigdy jeszcze tego nie próbowałam. – Poprawia się na krześle. – To jednak nietypowy zbieg okoliczności. Pani spała, podczas gdy pani uczennica, bo tak chyba mogę nazwać panią Lucynę, spadła z antresoli. – Rozszerza oczy, patrząc na notatki, i kręci bezradnie głową. – Trzeba dokładnie wyjaśnić te nietypowe okoliczności.

– Odwołała dzisiejszą lekcję.

– Ma pani jakiegoś esemesa, który by to potwierdzał?

– Nie mam, powiedziała mi to po ostatniej lekcji, w środę.

– Dobrze, to może wróćmy do pani drzemki. Czy często pani drzemie w ciągu dnia, czy dzisiaj był ku temu jakiś powód?

Odczekuję chwilę. Zaraz zrzucę na nią coś ciężkiego. Jej nieufne podejście odbieram jak prowokację. Gdzieś za kurtyną niepokoju budzi się we mnie wojowniczką.

– Mam narkolepsję – odpowiadam w końcu.

Walewska odchyła się w krześle. Widać, że ta wiadomość jest dla niej jak ognista kula, która uderzyła w nią z całą mocą.

– Coś mi to mówi... – mruczy – ...ale nie jestem pewna. Chodzi o sen, prawda?

– Tak, nadmierna senność w ciągu dnia. Codziennie dwa razy celowo zasypiam na godzinę, żeby ograniczyć nagłe, mimowolne napady snu. Gdy Lucyna do mnie przysłała, byłam w trakcie drugiej drzemki.

Kiwa usłużnie głową i szybko notuje moje słowa, nazwę choroby podkreśla grubą linią i pociąga nosem.

– Czy ktoś może to potwierdzić? Jakiś lekarz?

– Tak, mam swoją lekarkę, w Warszawie. Olga Brzezińska. Mogę dać pani do niej numer telefonu.

– Poproszę.

Wyciągam smartfon i dyktuję namiary na swoją neurolożkę. Walewska wpisuje jej numer do telefonu. Potem zadaje kolejne pytanie:

– Wróćmy do tych drzwi tarasowych. Czy były zamknięte, gdy pani spała?

Znowu powtarza pytanie. Tym razem już tego nie komentuję, tylko odpowiadam:

– One są stare i jeśli człowiek się postara, może je otworzyć od zewnątrz. Trzeba umiejętnie pchnąć. Zamek pomiędzy nimi jest słaby, da się go pokonać. Nie sądzę jednak, żeby pani Lucyna była do tego zdolna – wypowiadam ostatnie słowa szeptem.

Myśl, że mogłaby użyć siły, byleby tylko przekroczyć próg mojego domu, wydaje się nieprzyjemnie naelektryzowana. Wolę jej nie dopuszczać do świadomości. Chyba za bardzo się zapędzam w tych mrocznych przypuszczeniach.

- Prędzej uwierzę w to, że były po prostu otwarte – dodaje, już śmieje.
- Zwróćmy na tę informację uwagę – zapewnia mnie Walewska. – Czy pani Lucyna uskarżała się na jakieś problemy ze zdrowiem? Wiadomo pani coś na ten temat?
- Nie mam pojęcia.
- Czy pan Jakub Szejma mógł dziś przyjechać do domu, gdy pani spała?
- Nie sądzę, cały dzień był w pracy, miał spotkania. Z reguły odwiedza mnie wieczorem.
- Czyli nie mieszka z panią?
- Nie.
- Czy pan Jakub znał się z Lucyną?
- Tak.

Unosi lekko głowę w zaskoczeniu. Chyba oczekiwała zaprzeczenia.

– Pracowali w jednej firmie, ale to raczej zbieg okoliczności. Nieciężko o to w Oławie. Mamy tu tylko kilka korporacji na krzyż.

Mierzę ją wzrokiem z niedowierzaniem. Chyba nie przypuszcza, że Kuba może być w to zamieszany.

– Ciekawe. – Spogląda na zegarek. – Dziś chyba nie uda mi się już go przesłuchać, ale postaram się to zrobić jutro. W domu nie wspominał o tym, że ją zna.

– A pytała pani?

– Mógł sam to powiedzieć. Takie informacje często nasuwają się znajomym ofiary samoistnie.

Potem pyta mnie jeszcze o innych bywalców domu. Podaję tylko rodziców i nowego lokatora Brunona Lire. Pyta, czy malarz był w mieszkaniu, gdy doszło do tragedii. Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Dziś ma spędzić w nowym mieszkaniu pierwszą noc. Klucz ma od wczoraj. Ona jednak nie wydaje się nim szczególnie zainteresowana. Wypytuje za to o uczniów.

Żaden uczeń nie miał dzisiaj już zaplanowanej lekcji. Mimo to Walewska chce poznać nazwiska wszystkich. Niechętnie jej je podaję. Pierwszy raz nasuwa mi się myśl, że to, co się stało, może odbić się niekorzystnie na mojej pracy zawodowej.

Policjantka odbiera przy mnie telefon, kilka razy przytakuje, potem prosi:

– Powtórz.

I znowu coś notuje. Po odłożeniu telefonu na biurko wyjaśnia:

– Przed chwilą ciało zbadał lekarz medycyny sądowej. Potwierdził, że doszło do uszkodzenia podstawy czaszki, złamała kark, najprawdopodobniej przez to jej płuca przestały pracować. Zmarła wskutek uduszenia.

Zdaje się zamyślona, nie odrywa ode mnie wzroku, jakby chciała sprawdzić moją reakcję na ten precyzyjny opis śmierci Lucyny.

Wodzę kciukiem po policzku, dłoń mi trochę drży.

– Czyli to był wypadek – wyrzucam z siebie. – Udusiła się wskutek upadku z wysokości.

– Na tym etapie prowadzimy czynności w celu wykluczenia udziału osób trzecich. – Walewska zamyka zeszyt. – Poprosiłam już prokuratora, żeby wystawił wniosek o sekcję zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Może to nam więcej powie.

– To musiał być wypadek, co innego? Bądźmy racjonalni.

– Jesteśmy, jesteśmy – uspokaja mnie, a potem prosi, żebym przeszła z nią do pokoju obok.

Po drodze woła do policjanta stojącego przy kserze na korytarzu:

– Marek, mogę cię prosić? Trzeba pobrać palce od pani.

Gdy przykładam dłoń do specjalnego skanera zdejmującego moje odciski palców, czuję się tak, jakby postawiono mi jakieś zarzuty, choć zdaję sobie sprawę, że to tylko rutynowa czynność. Jestem też ciekawa, czy pobiorą odciski palców od Kuby.

Dojeżdżamy do domu około dwudziestej trzeciej. Na dworze jest ciemno, na niebie nie ma gwiazd, wiatr huśta gałęziami drzew, odzierając je z liści. Widzę, jak na parterze domu naprzeciwko gaśnie światło, potem porusza się firanka w oknie. Czuję na sobie wzrok sąsiadki.

Walewska wychodzi ze mną z samochodu. Z naprzeciwka zmierza ku nam mężczyzna z twarzą okrytą cieniem. Krok ma szybki i lekki, jakby się gdzieś spieszył. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Bruno Lira. Gdy jest parę metrów przed nami, raptownie zwalnia.

– To mój najemca – mówię.

Walewska na widok Liry ściąga łopatki i unosi głowę. W jej ruchach dostrzegam ciężar, który uzmysławia mi, że ta noc jest trudna nie tylko dla mnie.

– Dobry wieczór – wita się z nim donośnym głosem.

– Dobry wieczór.

– Aspirant Edyta Walewska, Komenda Powiatowa Policji w Oławie – przedstawia się.

– Bruno Lira.

– Pan wynajmuje mieszkanie w domu pani Weroniki, tak?

– Tak.

Zapada cisza, podczas której Walewska przygląda się Brunonowi ze skupieniem. Mam wrażenie, że zastanawia się, czy zadać mu teraz kilka pytań, czy sobie odpuścić.

Twarz malarza rozjaśnia teraz zimne światło przydrożnej latarni, które podkreśla błądź skóry, ciemną obwolutę jasnych oczu. Wygląda upiornie.

– Czy jest pan świadomy tego, co stało się dzisiaj w domu pani Weroniki Krzyckiej? – pyta policjantka.

Bruno kręci głową i spogląda na mnie niespokojnym wzrokiem.

– Zginęła tam dzisiaj kobieta – mówi.

Lira, słysząc to, robi krok do tyłu, spogląda teraz to na mnie, to na policjantkę. Kiwam głową, bo mam wrażenie, że potrzebuje jakiegoś dodatkowego zapewnienia.

– Jak to zginęła? – pyta w końcu, sprawiając wrażenie zszokowanego.

– Spadła z antresoli – uściśla Walewska.

Po paru godzinach spędzonych w towarzystwie policji jestem już względnie oswojona z tym, co się stało. W Brunonie z kolei dostrzegam teraz siebie z dzisiejszego wieczoru, z chwili, gdy ujrzałam ciało Lucyny po raz pierwszy. Jego twarz przepętnia strach. Ma zmarszczone czoło, lekko rozwarłe usta, zerka na dom, potem na sąsiadujące z nim budynki.

– Przecież tam nie jest wysoko – mówi w końcu.

– Czy mogę dostać pana numer telefonu? – Walewska ignoruje jego spostrzeżenie. – Chciałabym porozmawiać z panem na komendzie, może jutro, jak się uda?

– Ze mną? A jaki ja mam z tym związek?

– Rozmawiamy z każdym z okolicy.

W głosie Walewskiej pojawia się zniecierpliwienie, które jednak stara się zamaskować przyjemną intonacją.

– O której to się stało? – pyta Lira.

– Około dziewiętnastej – włączam się. – Spałam, gdy spadła. Musiała wejść do domu podczas mojej drzemki.

– Jak ona spadła z tej antresoli? – ignoruje informację o tym, że spałam.

– Być może zahaczyła o kabel, nie mam pojęcia – odpowiadam.

Walewska wchodzi między nas, jakby chciała nam gwałtownie przerwać.

– Porozmawiamy na spokojnie jutro. Proszę o pana numer. Chyba nie wzięłam go od pani Weroniki na komendzie. Musiało mi to umknąć.

Bruno podaje Walewskiej namiary na siebie. Potem idzie do swojego mieszkania, powoli, niepewnie. Przypomina kota obchodzącego dom, w którym śpią duże agresywne psy.

Walewska podąża za nim chłodnym wzrokiem, jakby w głębi duszy nie chciała, żeby spędził dziś noc w swoim mieszkaniu. Zdaje się, że targają nią jakieś wątpliwości. Wcześniej, na komendzie, gdy powiedziałam jej, że Lira mieszka z boku domu, nie wyrażała szczególnego zaciekawienia jego osobą. Teraz, po tym, jak go poznała, to się ewidentnie zmieniło.

Gdy wchodzimy do domu, Kuba siedzi w kuchni i czyta coś w smartfonie. Na nasz widok odrywa wzrok od wyświetlacza i puszcza w moim kierunku błady uśmiech.

Ciało Lucyny wciąż leży na podłodze. Jawi mi się jak głaz, którego nie da się ruszyć. Mam wrażenie, że zostanie tu już na zawsze.

Na szczęście to wrażenie jest błędne.

W chwili, gdy dochodzę do Kuby, słyszę tupot kroków w sieni.

– Otwórz bardziej, dobra, można wjeżdżać – dociera do mnie ożywiony męski głos, któremu wtóruje rytmiczne skrzywienie metalu.

Za moment moim oczom ukazuje się dwóch rosyłych mężczyzn, wyglądem przypominających ochroniarzy z lat pięćdziesiątych, takich obstawiających dyskoteki.

Wprowadzają do domu długi wózek, którego górną część stanowi metalowa skrzynia. Jego koła co chwilę nieprzyjemnie piszczą, jakby nie były nasmarowane.

Na jego dolnej półce błyszczy czarny worek z białym zamkiem.

– Jest blaszak – mówi sierżant Wójcik z ożywieniem w głosie.

Sygnalizuje w ten sposób, że właśnie na nich czekał, że po tym, jak zabiorą zwłoki, wszyscy będą mogli wrócić do domu.

Do tej pory rozmawiał o czymś z technikiem przy wyjściu na taras, teraz powraca do dyskusji, przyglądając się szklanym drzwiom.

– Wszystko w porządku? – pyta Kuba.

Jest już dużo spokojniejszy. W całym domu panuje inna atmosfera niż w chwili, gdy go opuszczałam z Walewską. Jest ciszej, jakby płynniej. Wszyscy sprawiają wrażenie oswojonych z tym, co się stało. Pozostały tylko pytania bez odpowiedzi.

– Powiedzmy – odpowiadam.

Kątem oka widzę, jak mężczyźni zabierają ciało Lucyny. Patrzą na Walewską, która właśnie włącza się w dyskusję sierżanta i technika. Nie dociera do mnie jednak to, o czym rozmawiają. Widzę tylko, że cała trójka patrzy teraz na ogród, choć bardziej przypomina to wpatrywanie się we własne odbicie w szybie drzwi tarasowych.

W pewnej chwili Wójcik macha ręką, mówi:

– To już jutro, jak będzie jasno. I tak najważniejsze jest to, co ustalą na Radeckiego.

Domyślam się, że to tam mieści się zakład medycyny sądowej, o którym wspominała Walewska.

Siadam obok Kuby.

– To jest... – prychnęła i kręci głową.

– Wiem, nie do zniesienia.

Pociera dłońmi oczy.

Na małym palcu ma poprzeczną ranę, wokół niej zaschniętą plamę krwi.

– Co ci się stało? – pytam.

Spogląda na swoją dłoń, potem na mnie z jakimś wyrzutem, a ja czuję się niezręcznie, bo zdaję sobie sprawę, że ton, jakim zadałam to pytanie, miał w sobie oskarżycielskie nuty.

– Stłukłem kubek, już posprzątałem. – Zerka na podłogę. – Jeden z nich poprosił o kawę.

– Rozumiem.

– O co cię pytała?

– O wszystko, o co tylko można zapytać. Jutro chyba będzie chciała z tobą rozmawiać.

Drapie paznokciem krawędź stołu.

– Nie pasuje mi to. Bardzo mi nie pasuje.

– Dlaczego?

– Zamierzałem jutro popracować. Dziś wyrwałem się wcześniej.

– W sobotę?

– Często pracuję w soboty, przecież wiesz.

Jego tłumaczenie wydaje się trywialne w obliczu tego, co się stało. Odnoszę wrażenie, że pod hasłem „Nie pasuje mi to” kryje się coś więcej, ale możliwe, że coś opacznie odbieram. Już dawno powinnam być w łóżku. Trzyma mnie adrenalina. Jestem pewna, że jutro będę musiała odespać dzisiejszy dzień.

Kółka blaszaka znowu skrzypią. Mężczyźni wyjeżdżają z ciałem Lucyny z domu.

Walewska woła mnie do drzwi tarasowych.

– Na szybie zabezpieczyliśmy dwa typy odcisków palców – informuje. – Możliwe, że jedno należą do pani, drugie postaramy się określić w najbliższym czasie.

– Mogą należeć do mojej matki lub do Kuby.

– Możliwe, sprawdzimy – odpowiada.

Potem raportuje, że na dziś zakończyli czynności. Chcą wrócić jutro o dziesiątej rano. Niechętnie się zgadzam.

Po paru minutach wychodzą z domu, zostawiając nas samych.

W miejscu, gdzie leżała Lucyna, na parkiecie została cienka smuga krwi. Wkładam rękawiczki, przynoszę z kuchni płyn do mycia naczyń i nie zważając na to, że nie jest przeznaczony do drewna, zaczynam szorować parkiet. Nie tylko w miejscu, gdzie była smuga, ale całą powierzchnię, na której leżały zwłoki.

Gdy płuczę wiadro w kuchni, Kuba pyta, czy chcę, żeby u mnie nocował. Wolałabym, żeby o to nie pytał. Najlepiej by było, gdyby został, bez żadnych ustaleń.

– A ty nie chcesz? – pytam, zakręcając wodę.

Następnie wyrzucam lateksowe rękawiczki do kosza.

– Nieważne, co ja chcę. Powiedz mi, proszę, czego teraz potrzebujesz, a ja postaram się ci to dać.

Nie lubię, kiedy zaczyna mówić do mnie korporacyjnym żargonem. Zawsze mam wtedy wrażenie, że nasza relacja nie jest unikatowa. Powracają myśli o zakłóconym porządku świata i o tym, że to, co nas łączy, jest niepełne.

Nic nie odpowiadam, tylko wychodzę z kuchni. Kroki mam ociężałe, wszystko dociera do mnie jakby z opóźnieniem.

– Chcesz spać? – Słyszę za sobą głos Kuby.

Chyba dotarło do niego, że ten bełkot, którym mnie uraczył, był zbędny.

Kiwam głową.

– Najpierw jeszcze wezmę prysznic. Muszę.

Idziemy po schodach na górę. Wchodzimy do łazienki i bierzemy razem prysznic w kabinie. Ciepła woda płynie po naszych ciałach, przemykam oczy i zaczynam chwiać się na nogach. Kuba obmywa mi plecy, ramiona, piersi. Głowę wypełniają mi migawki z dzisiejszego dnia. Lucyna, jej krew sącząca się leniwie z ucha. Nieruchome, białe nogi. Zastygłe, otwarte oczy. Po prysznicu udaje mi się jeszcze dojść do łóżka, a potem wszystko powoli się rozmywa. Zapadając się w ciemności, czuję, jak Kuba przykrywa mnie kołdrą.

Gdy budzę się nad ranem, dłonie Kuby splatają się na mojej talii. Szepcze:

– To nie tak, Weronika, przepraszam.

– Co? – Odwracam się powoli do niego.

W ciemności odznaczają się słabo jego gałki oczne. Przechodzą mnie ciarki. Myślałam, że powiedział to przez sen, ale on jest świadomy.

– Nic – odpowiada i przejeżdża dłonią po moim policzku. – Śpijmy.

Serce bije coraz szybciej, znowu układam się do Kuby tyłem, a on przesuwając dłoń na moje ramię i dotyka ustami mojego karku. Wyczuwam na skórze jego ciepły oddech.

– Za co mnie przepraszasz, Kuba? – pytam, bo ten szept sprzed chwili wciąż napawa mnie trwogą.

Mówił do mnie, podczas gdy ja spałam. W nocy mój sen jest najsilniejszy w pierwszych dwóch godzinach, potem zaczyna słabnąć i się wybudzam, co najmniej dwa razy. Teraz jest drugi raz.

– Przepraszam za to, że nie możesz zawsze na mnie liczyć.

Jego odpowiedź odrobinę mnie uspokaja, przynajmniej wiem, co miał na myśli, gdy do mnie mamrotał.

– Tym razem mogłam na ciebie liczyć. Zostałeś.

– Tak, zostałem.

Składa namiętny pocałunek na mojej szyi, a potem kolejny i kolejny. Schodzi niżej. Przez dłuższy czas nie robię nic, bo nie wiem, czy po tym wszystkim, co wydarzyło się wieczorem, potrafię przemknąć myślami do sfery intymnej. Jego gesty stają się coraz bardziej zmysłowe. Chce się kochać. Zawsze jak mnie odwiedza, robimy to. To przyzwyczajenie wydaje się teraz silniejsze niż pamięć o tym, co wydarzyło się wczoraj. Od dawna wiem, że seks jest dla Kuby ważny. Mam wrażenie, że stawia go na równi z innymi podstawowymi potrzebami, takimi jak jedzenie czy spanie. Teraz jednak nie mogę się zdobyć na więcej niż kilka pocałunków i w pewnej chwili proszę, żeby przestał.

Wraca potulnie na górę, jak zbesztany pies, potem znowu układa się za mną.

Leżymy tak w milczeniu, wtuleni w siebie. Odruchowo wsuwam dłonie pod poduszkę i wtedy wyczuwam pod palcami coś twardego i okrągłego. Wyciągam to. Zapalam lampkę nocną. To biały koralik, a właściwie... perła.

– Co się dzieje? – pyta Kuba.

Przyglądam się swojemu odkryciu, które w świetle lampki nocnej mieni się głębokim szlachetnym blaskiem.

– Co to? – zadaje mi kolejne pytanie Kuba.

– Perła.

– Aha – odpowiada, po czym znowu opada głową na poduszkę.

Kładę ją na szafce nocnej i gaszę lampkę. Oczy mam jednak szeroko otwarte. W zeszłym tygodniu Kuba przyniósł mi w prezencie długi naszyjnik z pereł, a potem poszliśmy do sypialni. Zostałam tylko w tym naszyjniku. Było bardzo zmysłowo, namiętnie, w pewnej chwili jednak posunęliśmy się odrobinę za daleko i nitka, na którą nawleczone były perły, pękła. Białe kulki rozsypały się po podłodze z brzdękiem, wturlały się pod łóżko, wydawało mi się jednak, że ani jedna nie została na kołdrze. Poza tym dwa dni temu zmieniałam pościel. Zauważyłabym, gdyby coś zostało.

Gaszę lampkę. Kuba chyba już zasnął. Nie przejął się zbyt moim odkryciem. Być może od razu skojarzył fakty. Jego oddech jest długi i miarowy, ja jednak nie mogę tak łatwo zasnąć. Do sypialni powoli wlewa się szarość poranka, a ja przyglądam się perle leżącej na szafce nocnej. Jest piękna, wydaje się jedyna w swoim rodzaju i wyjątkowo duża. Perły z naszyjnika, który otrzymałam od Kuby, były mniejsze i powtarzalne. Nie jestem pewna, czy ta, którą obserwuję, mogła być jego częścią.

Rozdział 5

– Na pewno odpadła wtedy z naszyjnika – mówi Kuba, wbijając czwarte jajko na skwierczącą patelnię. – Od razu o tym pomyślałem, jak ją zobaczyłem.

Sięga do szuflady pod kuchenką i wyciąga z niej drewnianą łyżkę, jednocześnie tłumiąc ziewnięcie.

Dochodzi siódma trzydzieści rano. Próbuje zachowywać się tak jak zawsze, gdy spędzamy razem sobotni poranek. Ponoć forma wyzwala treść. Trzymam się jej zatem, bo nic innego mi nie pozostaje. Gdy przyjadą policjanci, dom znowu zamieni się w instytucję, do której wstęp ma każdy, komu z szyi zwisa odpowiednia legitymacja.

Tymczasem nakrywam do stołu i przygotowuję kawę.

– W czwartek zmieniałam pościel, zauważyłabym, gdyby coś zostało – drązę.

– To porównaj. – Wzrusza ramionami. – Gdzie masz tamte?

– Wyrzuciłam je do śmieci.

Kuba marszczy brwi, nie odrywając wzroku od patelni. Nic nie odpowiada. W kuchni słychać tylko syczenie smażących się jajek.

Kiedy już chcę coś dodać, jakoś mu to wytłumaczyć, mówi:

– Kupię ci nowe.

– Nie musisz.

Prawda jest taka, że wyrzuciłam je, bo ich widok przypominał mi o tym, co działo się tamtej nocy. Wydaje mi się, że posunęliśmy się za daleko, i choć wtedy dałam się ponieść chwili, potem przyszedł moralny kac. Kuba jest finezyjnym kochankiem, przy nim przekraczam wiele granic. Chcę je przekraczać. Wtedy czuję, że żyję, oddycham pełną piersią, może też udowadniam sobie, że potrafię wszystko, jak zdrowa osoba, nic nie jest mi straszne. Zdarzają się jednak momenty, po których potem trochę mi wstyd, i po nocy czuję się jak człowiek, który wypił za dużo. Człowiek, który nie może znieść widoku alkoholu, więc wylewa ze szklanych butelek wszystkie niedopite resztki. Nigdy wcześniej przy żadnym mężczyźnie tak się nie czułam.

Znaleziona pod poduszką perła leży teraz na stole, tuż obok mojej filiżanki. Gdyby w czwartek nie wywieziono odpadów zmieszanych, pewnie rzeczywiście wyszłabym na dwór, do kubła, i odnalazła te perły, aby je porównać. To byłoby szalone i zarazem zbawienne. Uciszyłyby moje demony.

Deszcz bębni o szyby. Choć na dworze jest już jasno, przez tę ponurą aurę musiałam zapalić światło w kuchni. Salon tonie za to w ciemności. Przed snem zaciągnęłam zasłony, do tej pory nie odsłoniłam okien. Mimo wszystko wciąż wracam wzrokiem do

miejsca, w którym leżała wczoraj Lucyna. Widzę tylko krawędź kanapy, zarys telewizora. Salon przypomina scenę, na którą opadła kurtyna.

Mój telefon zaczyna dzwonić. To mama. Przymykam oczy, czuję, jak coś rośnie mi w gardle. Jeszcze nic jej nie mówiłam o tym, co się stało. Odbierając połączenie, zastanawiam się, czy już wie, czy zaraz spadnie na mnie lawina pytań, pretensji i płaczu.

– Halo.

– Cześć, Wera.

– Cześć.

– Ciotka Teresa pytała mnie dziś, czy nie przetłumaczyłabyś jej na polski instrukcji do nowego pasa rozgrzewającego. Przyszedł jej z AliExpress i nie może sobie poradzić.

Nie wie. Oddycham z ulgą.

– Jasne.

Już wypowiadając to jedno krótkie słowo, czuję się oszustką. Powinnam natychmiast powiedzieć jej, co się stało. Nie chcę jednak robić tego przez telefon.

– Dobrze, to zadzwonię i jej powiem, ucieszy się.

– Mamo, zjem śniadanie i przyjadę do was na chwilę.

Spoglądam w kierunku Kuby, szukając potwierdzenia w jego oczach. Chcę, żeby mnie podwiózł do rodziców. Rozumie i kiwa potakująco głową.

– Dobrze, to czekamy na ciebie.

Ton głosu mamy jest wciąż neutralny. Chyba nie wyczuwa, że stało się coś złego.

Po śniadaniu Kuba podwozi mnie pod blok w kształcie podkowy otaczającej połacie trawy. Gdy byłam mała, zamiast trawnika był tu piasek, w którym dzieci bawiły się od rana do wieczora, ale teraz czasy są inne. W oknach błyskają komputery i telewizory, nie tylko w tak deszczowe soboty jak dzisiejsza.

Gdy zatrzymuje auto na parkingu, jego telefon zaczyna dzwonić. To obcy numer. Kuba ma ustawione połączenie Bluetooth w aucie i gdy odbiera, wewnątrz jego samochodu wypełnia cierpki ton głosu aspirant Walewskiej. Rozpoznaję go natychmiast.

– Pan Jakub Szejma?

– Tak.

Od razu zauważam, że Kuba zaczyna się denerwować. Dłonie zaciska na kierownicy tak mocno, że aż bieleją mu knykcie. Dochodzi ósma piętnaście. Widać, że Walewska nie lubi tracić czasu i działa od rana, nawet w soboty.

– Czy może pan dzisiaj podjechać na komendę w Oławie? Mam do pana parę pytań. Zdołałam ustalić kilka faktów, chciałabym je z panem potwierdzić.

Kuba nagle odrywa dłonie od kierownicy i unosi je w jakimś bezbronny odruchu. Spogląda na mnie, potem na wyświetlacz, na którym widać numer telefonu Walewskiej.

– To może nie przez telefon, dobrze? Podjadę – mówi to tak, jakby chciał powiedzieć do policjantki: „Odpierdol się”.

– Dobrze, to zapraszam o dwunastej. Pasuje panu?

– Tak.

– Do zobaczenia.

Gwałtownym ruchem dłoni wyłącza połączenie.

– Czemu się tak zdenerwowałeś? – pytam.

– Mówiłem ci już, że chciałem dzisiaj popracować.

– Kuba, wczoraj w moim domu zginęła kobieta. Twoja koleżanka z firmy.

– To nie była moja koleżanka.

– Ale znałeś ją. Nie sądzisz, że to jest ważniejsze niż praca w sobotę?

Odwraca się ciałem w moją stronę i kładzie dłoń na oparciu mojego fotela.

Odpowiada aż nadto spokojnym, chłodnym tonem:

– Powiem w poniedziałek przełożonym ze Szwecji, że w piątek zginęła kobieta z firmy, oni odpowiedzą, że nam współczują, to bardzo przykre, a minutę później zapytają, czy przygotowałem analizę, o którą mnie prosili. Nie wiesz, jak to jest żyć pod taką presją.

– Nie wiem, masz rację. Nie mam bladego pojęcia, jak to jest żyć pod presją. Wczoraj, kiedy spałam, Lucyna Kos spadła z antresoli i się zabiła. Nie wiadomo do końca, jak do tego doszło. Policja jeszcze nie wykluczyła udziału osób trzecich – mówię przez łzy.

Do tej pory się trzymałam, ale teraz, być może pod wpływem spodziewanej rozmowy z rodzicami, coś we mnie pękło.

Kuba patrzy na mnie z przerażeniem i pyta:

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo miałam już tego dość. Bo chciałam położyć się spać. A może dlatego, że boję się takiego obrotu spraw. Ty byś się nie bał?

Kiwa lekko głową, potem nieporadnie mnie obejmuję, odpycham go i wychodzę z samochodu. Wciąż nie rozumiem, jak może myśleć o pracy, podczas gdy w moim życiu rozgrywa się taki dramat.

Gdy dochodzę do klatki rodziców, słyszę za sobą donośny dźwięk silnika. Czarne auto Kuby z impetem opuszcza parking. Staruszka z siatką, idąca akurat chodnikiem patrzy na niego i mruży nienawistnie oczy. Wchodzę już do środka. Coś mi nie pasuje w tym, jak Kuba zareagował na zaproszenie Walewskiej na komendę. „Może nie przez telefon”, przywołuję w myślach jego słowa. Poczułam się tak, jakby w rzeczywistości nie chciał, aby jakiegokolwiek z ustalonych przez policjantkę faktów dotarły do mnie.

W tej chwili jednak muszę skoncentrować się na tym, co powiedzieć rodzicom, głównie chodzi tu o mamę. Znała się z Lucyną od lat. Były sąsiadkami z działki.

Podawały sobie nad metalową siatką szczepki kwiatów, jabłka, maliny. Chodziły razem na zebrania w domku działkowca, pani Lucyna podlewała mamie ogórki w upalne dni, gdy wyjeżdżaliśmy na wakacje. A teraz jej nie ma. Zginęła w moim domu. To mama powiedziała jej, że uczę angielskiego, i że może skorzystać z moich usług.

Wspinając się po schodach na drugie piętro, próbuję ułożyć sobie w głowie słowa, od których zacznę swoją opowieść.

Gdy jednak mama otwiera mi drzwi, wszystko ulatuje ze mnie w jednej chwili. Jest uśmiechnięta, wyciera ręce o flanelową ścierkę w kratkę. Z oddali dobiega głos komentatora sportowego. Tato zapewne ogląda jakąś powtórkę meczu na Eurosporcie.

Jeszcze nigdy klimat mojego rodzinnego domu nie wydawał mi się tak wyrazisty. W powietrzu unosi się zapach wywaru mięsnego. Mama nastawiła już zupę. Przedpokój oblewa ciepłe światło, boazeria zawsze wygląda w nim na brązową, choć w rzeczywistości ma odcień ciemnoszary, co widać, gdy na dworze świeci słońce, a w domu nie pali się światło.

Gdy wchodzę do środka, uśmiech powoli schodzi z twarzy mamy. Czekam jeszcze parę sekund, choć nie powinnam. Muszę to w końcu z siebie wyrzucić.

– Co się stało? – pyta, opuszczając wreszcie ręce.

Zaglądam w głąb mieszkania, widzę tył głowy taty, naprzeciwko wypełnionego zielenią telewizora. Czuję się tak, jakbym miała stłuc na jej oczach coś cennego, drogą porcelanową zastawę. Muszę to jednak zrobić, nie mam wyboru.

– Lucyna Kos nie żyje – mówię.

Jej oczy raptownie się powiększają, jakby usłyszała swoje nazwisko podczas sprawdzania listy obecności. Potem potrząsa niewyraźnie głową.

– O czym ty mówisz?

– Spadła z antresoli.

– U ciebie? – pyta teatralnym szeptem.

– Tak.

– Chryste. – Przykłada dłoń do klatki piersiowej i spogląda na tatę, jakby zastanawiała się, czy mu o tym od razu powiedzieć. Potem jednak wraca wzrokiem do mnie.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem.

– Ale jak?! Jak do tego doszło?

– Nie wiem, spałam.

– Przyszła na lekcję?

– Odwołała wczorajsze zajęcia. Miało jej nie być. Chyba weszła przez taras. Drzwi od domu były zamknięte.

– Matko Boska.

Dołącza do nas tato, przywiedziony złękzionym głosem mamy. On mi pomoże ją uspokoić. Całe życie ją razem uspokajamy.

Opowiadam im wszystko po kolei. Mówię o przyjeździe karetki, policji i prokuratora. Gdy wspominam, że technik i dochodzeniowiec sprawdzali wczoraj cały dom, mama osuwa się na skórzany puf stojący pod lustrem. Tato słucha mnie, stojąc oparty plecami o ścianę. Jego niebieskie oczy przypominają dwa blaszane guziki. Z dużego pokoju płynie do nas niejednorodny szum skandujących kibiców, tato wchodzi tam na moment i gasi telewizor. Potem wraca do przedpokoju i kuca przy mamie, kładąc dłoń na jej kolanie.

– Mówiłem jeszcze Idzie, że ta balustrada jest za niska.

– W domu wystarczy dziewięćdziesiąt centymetrów, a ta liczy dziewięćdziesiąt dwa. Mierzyli ją wczoraj – wtrącam się.

– To i tak mało. – Tato macha ręką. – Co za potworny wypadek.

Gdy wypowiada ostatnie słowo, spoglądamy z mamą na siebie, jakbyśmy obie myślały o tym samym. Czy to na pewno był wypadek? To pytanie rozpływa się gdzieś między nami, choć nikt go bezpośrednio nie zadaje. Chyba wolimy udawać, że taka opcja nie istnieje. Oddaliśmy się od niej w błyskawicznym tempie, szukamy obiektywnych przyczyn śmierci Lucyny.

Spędzamy w przedpokoju ponad godzinę, co jakiś czas werbalizując nasze przemyślenia na temat tego, co mogło się stać. Na antresoli leżał niestety przedłużacz, o który Lucyna mogła się potknąć. Policja bierze to pod uwagę. Lucyna miała na stopach szpilki. Widziałam, jak technik ostrożnie włożył je do transparentnego worka. Z pewnością trudniej w takich butach o złapanie równowagi, tym bardziej gdy natrafisz na jakąś przeszkodę.

– Musimy to jakoś przetrwać – podsumowuje w końcu tato, czym uświadamia mi, że śmierć Lucyny, choć tragiczna i wzbudzająca współczucie, będzie jednocześnie dla nas poważnym problemem, z którym trzeba sobie jakoś poradzić.

W końcu umarła w moim domu, jej krew wsiąkła w drewnianą podłogę, która codziennie skrzypi mi pod stopami. Ja w tym czasie leżałam parę metrów dalej, wtulona w bawełnianą pościel.

Po tym, jak wyrzucam wszystko z siebie, tu, w mieszkaniu rodziców, czuję się w środku pusta, od wczoraj przeszłam przez wszystkie reakcje, jakie są możliwe, gdy dzieje się coś takiego. Od gwałtownego wyrzutu adrenaliny aż po całkowite wyczerpanie.

– Muszę się na chwilę położyć – mówię współświadomie, a raczej mamroczę, jakbym była bliska katapleksji.

Morzy mnie sen. Niestety, wczoraj zbyt długo nie kładłam się spać, obudziłam się nad ranem, wszystko się rozregulowało.

Zrobię sobie piętnastominutową drzemkę. Ona mi pomoże na jakiś czas. Dochodzi dziewiąta trzydzieści. O dziesiątej mają być u mnie policjanci. Jeszcze zdążę.

– Idź tam do siebie – mówi tato, wskazując palcem na mój dawny pokój.

Przez całe życie reaguje na moją senność tak samo neutralnie. Mama tymczasem patrzy na mnie, niemrawo krzyżując ręce na piersi, jakby chciała się zamknąć na moją niepodważalną potrzebę snu. W takich chwilach zawsze myślę, że przytłacza ją prawda na mój temat.

Wstaję z podłogi, na której spędziłam minioną godzinę. Tato wraca do dużego pokoju i znowu włącza telewizor, a ja wędruję w kierunku swojego dawnego łóżka, które widzę przez uchylone drzwi. Pełno w tym pokoju kwiatów, dodatkowych szaf i regałów stojących bez ładu i składu na środku dywanu.

W uszach dudnią mi teraz słowa ojca:

„Musimy to jakoś przetrwać”.

Są jak uderzenie dzwonu. Nastawiam budzik w telefonie i przysypiam na kwadrans. Potem zamawiam taksówkę i wracam do siebie.

Gdy wysiadam z samochodu pod domem, dochodzi dziewiąta pięćdziesiąt pięć. Na podjeździe stoi długi srebrny sedan. Z lusterka wstecznego zwisa duża, krzykliwie zielona kość do gry. Za kierownicą siedzi szpakowaty mężczyzna, który nie odrywa ode mnie przygnębionego wzroku. Pochyla głowę do przodu, opiera brodę na kierownicy i wciąż patrzy, jakby wiedział o wszystkim, co wydarzyło się wczoraj w moim domu. Na miejscu pasażera siedzi młoda dziewczyna o jasnych włosach. Szybko dociera do mnie, że to Anna, córka Lucyny, zatem kierowca jest chyba jej ojcem, mężem zmarłej. Wzdłuż kręgosłupa przebiega mi nieprzyjemny prąd. Gdy otwieram furtkę, słyszę za sobą trzask samochodowych drzwi.

Odwracam się i widzę, jak zmiierzają w moją stronę. Córka mówi coś do ojca, wwiercając we mnie spojrzenie szarych oczu. Jej dłoń przywiera prostopadle do policzka, jakby nie chciała, by ktokolwiek usłyszał jej słowa. Mężczyzna kiwa głową. Są tego samego wzrostu, podobnej budowy, postawni, zdeterminowani.

Obserwuję ich, czując, jak strach ściska mi gardło.

Z oddali nadjeżdża volvo prowadzone przez Walewską. Obok niej siedzi Wójcik.

Z ust Anny tymczasem wypływa zdanie, które dociera do mnie jednak całkiem wyraźnie:

– Tylko spokojnie.

Szpakowaty mężczyzna patrzy to na mnie, to na dom, dolna warga mu drży, na obszernych policzkach pojawiają się czerwone plamy.

– Co się tam stało? Może mi pani wyjaśnić? – pyta, jeszcze zanim do mnie dochodzą. Jest chyba tak samo zdenerwowany jak ja. Ostatnie sylaby wypowiada wysokim, zdesperowanym tonem, jakby brakowało mu na nie powietrza.

– Jak do tego doszło? – zadaje kolejne pytanie. – Policja mówi, że pani spała.

Zatrzymuje się przed furtką. Wskazuje wielką dłonią na dom.

Spoglądam na drzwi wejściowe, potem na niego. Chcę zdobyć trochę czasu, jakoś oswoić się z tą sytuacją. Wznieść się ponad strach. Ręce mi drżą, gardło mam ściśnięte. Nie jestem pewna, do czego on jest w tej chwili zdolny. Nie znam go. Wygląda na wstrząśniętego tym, co się stało. Czuć od niego też jakąś nieobliczalność.

Mimo wszystko należą mu się wyjaśnienia.

– Spadła z antresoli – tłumaczę. – Też nie wiem, jak do tego doszło.

– Przecież policjanci ci wytłumaczyli – zwraca się do niego córka.

– Ja chcę to usłyszeć od niej.

– Ona ci pewnie nic nowego nie powie – odpowiada mu Anna, a ja słyszę w jej wypowiedzi nutę charakterystycznej dla nastolatków nonszalancji.

Nie zmienia to faktu, że dziewczyna ma udęczonego i słaby głos. Słuchanie go rozdziera mi serce, ale też wzbudza lęk o przyszłość, która już zawsze będzie naznaczona ich cierpieniem. Traktują mnie tak, jakbym to ja była wszystkiemu winna. Staram się przykryć to spostrzeżenie potokiem faktów. Spałam, a Lucyna weszła bez mojej wiedzy do domu. Wspięła się po schodach na górę. Balustrada miała prawidłową wysokość. Mimo to kobieta z niej spadła.

Nie chcę im teraz jednak tego przytaczać, bo pomyślą, że ich atakuję. To nie jest odpowiedni moment na tego typu informacje. Ten mężczyzna cierpi, jest wyraźnie poruszony. Potrzebujemy kogoś, kto stanie między nami. Niech już Walewska wysiada z tego samochodu. Właśnie gasi silnik. Obok niej siedzi Wójcik i patrzy na nasze starcie, marszcząc czoło. Mąż Lucyny tymczasem mówi dalej:

– Nic z tego nie rozumiem, przecież wieczorem byliśmy umówieni ze znajomymi. Po co Lucyna wychodziła z domu?

Wjeżdża palcami w przerzedzone siwe włosy, potem wodzi dłonią po policzku. Patrzy i jednocześnie nie patrzy na kostkę brukową, potem znowu na mnie. Czeka na jakieś słowa.

– Też nie rozumiem, dlaczego do mnie przyjechała – wyduszam z siebie w końcu.

– A ja nie rozumiem, jak pani mogła nic nie usłyszeć. We własnym domu – zarzuca mi.

Walewska wysiada już z radiowozu, obserwując Kosa. Obok niej kroczy Wójcik. Zmierzają w naszym kierunku. Walewska lekko uniesionymi rękami sugeruje mężowi Lucyny, że powinien się uspokoić.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla państwa trudne chwile – mówi donośnym głosem. – Jesteśmy umówieni po południu na komisariacie, wtedy znowu na spokojnie porozmawiamy.

– Ja wiem, dlaczego mama tu przyjechała wczoraj – wypala nagle nastolatka.

– Dlaczego? – pyta Walewska, a ojciec spogląda na nią wyraźnie zaskoczony.

– Chciała jej oddać pieniądze. – Pokazuje głową w moim kierunku. – Zapomniała ostatnio zapłacić za lekcję. Mówiła mi przed wyjściem, że jedzie się rozliczyć z Weroniką.

– To prawda? – pyta Walewska. – Nie zapłaciła pani ostatnio?

– Nie.

– Miała przy sobie portfel – Wójcik znów kiwa głową – ale nie było w nim pieniędzy.

– Sama widziałam, jak wkłada do portfela trzysta pięćdziesiąt złotych – upiera się Anna. – Powiedziała, że jedzie do Weroniki się rozliczyć, a potem na zakupy. Wieczorem, tak jak mówił ojciec, mieli do nas przyjść goście.

– To ciekawe. – Wójcik spogląda na mnie z jakąś analizą w oczach, a policjantka zagląda do notatek.

Przypominam sobie, że w szufladzie w gabinecie mam schowaną gotówkę, być może nawet coś około trzystu złotych. Wszyscy uczniowie płacą mi po lekcjach i odruchowo tam właśnie wkładam pieniądze. Technik wczoraj zaglądał do gabinetu, chyba próbował odtworzyć drogę Lucyny, po tym, gdy weszła na piętro. Nie wiem, czy odsuwał szuflady w biurku, chyba nie był do tego uprawniony, ale kto wie, czy dyskretnie tam zajrzał.

Wójcik wygląda, jakby zastanawiał się, czy mogłam wyciągnąć Lucynie pieniądze z portfela. W szufladzie biurka trzymam też zaległe rachunki, te za wodę oraz wyrównanie za prąd, opiewające na dwa tysiące złotych. Czy to daje mi motyw?

– Proszę się zastanowić, co jeszcze państwo pamiętają z wczoraj – mówi Walewska. – Porozmawiamy po południu na komisariacie.

Andrzej Kos przez kolejnych pięć minut wyklóca się z policjantami o to, czy może zobaczyć miejsce śmierci żony. Innymi słowy, chce przekroczyć próg mojego domu. W końcu odwołuje się do argumentu, że jeśli zobaczy, gdzie Lucyna upadła, to może coś mu się jeszcze nasunąć, może będzie mógł coś podpowiedzieć policji. Dla mnie jest to czysta manipulacja, ale Walewska w końcu odpowiada, że jeśli wyrażę na to zgodę, to rodzina zmarłej będzie mogła na chwilę tam wejść.

Decyzja należy do mnie. Mam ochotę wykrzyknąć „nie!”. Chcę, żeby ten koszmar się już skończył. Mąż pani Lucyny wygląda jednak na zdesperowanego. Odnoszę wrażenie, że jeśli teraz mu odmówię, tym samym wzbudzę jego podejrzenia, zasugeruję, że mam coś do ukrycia.

Patrzy teraz na mnie z uniesionymi brwiami, znowu pochyla się lekko do przodu, tak jak w aucie, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Domaga się zgody, ta zgoda mu się należy. W moim domu zmarła jego żona. Jej ciało przez kilka godzin leżało na deskach podłogi, po której codziennie chodzę.

– Dobrze – odpowiadam w końcu.

Idziemy w piątkę do drzwi wejściowych. Deszcz pada coraz mocniej. Ciężkie krople uderzają o chodnik. Czuję, jak płyną po moich policzkach. W tej chwili tylko sierżant Wójcik zdaje się przejmować tą nieprzyjazną aurą. Wsuwa na głowę kaptur kurtki.

W witrażu drzwi wejściowych majaczą nasze zniekształcone odbicia. Ja z przodu, cienka jak nitka, za mną szerokie ramiona Andrzeja Kosa, obok niego foremna sylwetka córki. Dalej policjanci, niczym więzienni strażnicy.

Otwieram drzwi i wchodzimy do środka. Czuję się tak, jakby to nie był mój dom, ale obce miejsce, do którego zwieziono meble, które gdzieś już kiedyś widziałam. Nic nie kojarzy mi się tu teraz z ciepłem, z bezpieczeństwem. Wszystko jest okrutnie uprzedmiotowione, jakby wczoraj uleciała z domu jego dusza. Została tylko pusta powłoka. Czy tak już będzie zawsze? – zadaję sobie to pytanie, przechodząc z sieni do salonu. Za mną wędruje Andrzej Kos. Słyszę jego oddech, głośny, ciężki, wyczuwam też zapach nikotyny.

– To tu. – Walewska wskazuje dłonią na parkiet obok kanapy.

Słyszę, jak Anna wciąga powietrze, widzę, jak przykłada dłoń do ust. Odwracam od niej wzrok, bo to dla mnie za wiele. Czuję się tak, jakby mój dom zamienił się w muzeum albo pomnik śmierci Lucyny Kos. Ludzie będą tu teraz przychodzić i oglądać moją podłogę. Będą wchodzić do salonu, dyskretnie zerkać na antresolę, a potem przerzucać wzrok na parkiet, pogrążeni w zadumie.

Tak jak teraz cała nasza czwórka.

– Chryste. – Dociera do mnie szept Kosa.

Walewska wkłada rękę do kieszeni i spogląda na antresolę.

– Faktycznie nie jest wysoko – mówi.

Rzuca te słowa lekko, jakby od niechcenia. Choć ma w głowie dokładną odległość od bariery aż do podłogi, teraz woli spojrzeć na to ogólniej. Uświadamiam sobie, że to samo powiedział wczoraj Bruno Lira. „Tam nie jest wysoko”. Mówiąc „faktycznie”, Walewska zdaje się odnosić do jego słów, a mi nasuwa się inna myśl. Przecież Lira nigdy nie był w moim domu. Dlaczego zatem z taką naturalnością stwierdził, że antresola nie jest położona wysoko?

Policjantka zwraca się tymczasem do Andrzeja Kosa:

– Dziś na komisariacie będę chciała porozmawiać z panem jeszcze o ogólnym stanie zdrowia pana żony. Czy może pan wziąć ze sobą wyniki jej ostatnich badań?

– Tak, weźmiemy – odpowiada mężczyzna, wciąż patrząc na miejsce, w którym zginęła jego żona.

Potem podchodzi bliżej, przykuca.

Widać, że to doświadczenie go pokonuje, odziera z sił. Twarz mu blednie, jasne porowate czoło kontrastuje z pełnymi zaróżowionymi policzkami.

Córka kładzie mu dłonie na ramionach, ale on je odpycha. Chce zostać sam na sam z tym, co się stało. Spuszczam wzrok i odchodzę do kuchni. Widok rodziny pogrążonej w żałobie mnie przytłacza. Próbuję opierać się poczuciu winy. Zdaję sobie sprawę, że nie zrobiłam niczego złego, jednak pamiętam też o związku przyczynowo-skutkowym. Gdyby nie moje decyzje, pani Lucyna by żyła. Kiedyś postanowiłam przecież, że będę uczyć angielskiego w domu. Zdecydowałam, że będę przyjmować uczniów w gabinecie na antresoli, choć mogłam przyjmować ich na dole, w przerobionym pokoju gościnnym. Rozważałam to nawet, ale w końcu zrezygnowałam z tego pomysłu. Zostawiłam też przedłużacz na piętze. Lucyna mogła się o niego potknąć. Choć miałam do tego prawo, nie chcę, żeby Kosowie się o tym dowiedzieli.

Po paru minutach Andrzej i Anna opuszczają mój dom. Od męża Lucyny wyczuwam gniew, którego stara się nie uwalniać. Jego dłonie zaciśnięte są w pięści, wychodząc, patrzy przed siebie, jakby otoczenie nie istniało, potyka się w progu moich drzwi wejściowych, ale nie upada. W ostatniej chwili chwytą się klamki.

W domu zostają policjanci, którzy jeszcze coś mierzą, jeszcze obliczają. Wychodzą na ogród przez tarasowe drzwi i patrzą na żywopłot odgradzający teren mojego domu od zagajnika. W zeszłym roku uschło trochę tui po prawej stronie i wymieniłam je na młode krzewy laurowiśni. Z lewej strony wciąż rosną bujne iglaste drzewa.

Deszcz już prawie nie pada. Wszystko jednak jest tam mokre. Wysoka trawa, której nie chciało mi się skosić w weekend, ociera się o nogawki jasnych jeansów Wójcika.

Powoli wracają do domu.

– Żywopłot jest trochę sfatygowany w jednym miejscu, nie wiem, czy zwróciła pani na to uwagę. Czy zawsze tak było? – pyta policjant.

– Gdzie dokładnie?

– Tam, gdzie rosną tuje.

– Nie zauważyłam, żeby był sfatygowany.

– To proszę za mną, pokażę pani – zachęca Wójcik.

Idziemy do tuj rosnących w lewym rogu ogrodu. Są wysokie i gęste, napierają na ledwie widoczną, metalową siatkę za nimi. Jeszcze zanim dochodzimy do drzew, zauważam, że drobne gałęzie dwóch drzew rozpoczynających szpaler są lekko powyginane na zewnątrz.

– Czy zawsze tak było? – Wójcik powtarza swoje pytanie sprzed chwili.

– Nigdy im się nie przyglądałam aż tak dokładnie, wydaje mi się, że nie.
– Siatka jest niska, można łatwo ją przeskoczyć, tylko później trzeba się przedrzeć przez to wszystko – mówi Walewska, wskazując dłonią na drzewa.

Przechodzą mnie ciarki.

– Czy pani sugeruje, że ktoś tu tędy wszedł?

– Oceniam tylko stan ogrodzenia – odpowiada, wodząc kciukiem po brodzie.

Mój dom jest położony w sąsiedztwie niewielkiego zagajnika. Nie ma tam oświetlonej drogi ani kolejnych domów, które stwarzałyby złudzenie bezpieczeństwa. Sąsiadów mam jedynie po bokach, ale obszar za ogrodem jest pusty, porastają go brzozy i leszczyny.

Nigdy dotąd mi to nie przeszkadzało, bo nie czułam się zagrożona. Jednak teraz, gdy w towarzystwie policjantów patrzę na te wygięte gałęzie, dopada mnie lęk. Nie wiem, czego się boję, chyba tylko możliwości, że ktoś naprawdę mógłby tędy przedostać się do mojego domu.

– Uszkodzenia są dość nisko – ocenia Wójcik.

– To prawda – odpowiada mu Walewska.

– Co to może według państwa znaczyć? – pytam.

– Możliwe, że zrobiło to jakieś zwierzę – odpowiada Wójcik.

– Nie mam psa, ale czasem odwiedzają mnie bezpańskie koty. – Wzruszam ramionami. – Dokarmiam je.

Wójcik zapisuje tę informację, po czym zerka na zegarek.

– Na dzisiaj to wszystko, pani Weroniko.

– Jakie będą kolejne kroki? – pytam, odwracając wzrok od żywopłotu.

Nie chcę zatracać się w mrocznych scenariuszach. Muszę trzymać się faktów, konkretów. To na nich wszyscy powinniśmy się skupić.

– Teraz poczekamy na wyniki sekcji zwłok. Mam nadzieję, że ona powie nam najwięcej – informuje Walewska, po czym robi kilka zdjęć żywopłotowi.

Po każdym zgrzycie jej aparatu rozchodzi się po mnie fala dreszczy. „Przecież to tylko kilka gałęzi”, tłumaczę sobie w duchu, „może były już takie wcześniej, a ja tego nie zauważyłam”.

Potem policjanci wychodzą, zegnając się ze mną obietnicą, że pozostaniemy w kontakcie.

Po wyjściu funkcjonariuszy opadam na fotel w salonie i wpatruję się w miejsce, w którym wczoraj leżało martwe ciało kobiety. Dywan został zabrany przez policję. Linie parkietu w miejscu, gdzie spoczywała głowa Lucyny, są jakby ciemniejsze, albo to tylko złudzenie. Być może one też takie były, tylko ja teraz wszystko wyolbrzymiam, jakbym patrzyła na swój dom i ogród pierwszy raz w życiu.

Do tej pory cały czas ktoś mi towarzyszył, przez co miałam poczucie, że dzielę z innymi tragedię, do której tutaj doszło. Czułam, że to też sprawa państwa. Walewskiej, Wójcika, dochodzeniowca, technika. Teraz, gdy zostawiono mnie tu samą, pojmuję, że ci wszyscy ludzie, którzy od wczoraj przewinęli się przez mój dom, byli tylko sztuczną powłoką dodaną przez system do tragedii człowieka. To, co się stało, spoczywa przede wszystkim na mnie. To ja muszę tu dalej mieszkać. Oni zasną dziś w swoich łóżkach, a ja spędzę noc tutaj.

Dostaję powiadomienie z Facebooka. Ktoś oznaczył mnie w komentarzu pod postem. To moja uczennica Judyta. Link przenosi mnie do wpisu Andrzeja Kosa. Zamieścił go dziś rano, wielkie białe litery na czarnym tle.

„Wczoraj wieczorem zginęła moja ukochana żona Lucyna. Upadła z antresoli, w domu swojej nauczycielki angielskiego. Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni”.

Poniżej rozwinął się już sznur komentarzy:

„Współczujemy.”

„Jak to, Andrzeju?”

„Kondolencje od Mariusza z rodziną”.

Jest też wpis od Judyty:

„Weronika Krzycka, to u Ciebie?”

Widząc, że mnie oznaczyła, zapadam się głębiej w fotelu, robi mi się niedobrze. Zobaczą to wszyscy moi znajomi, a także większość uczniów.

Nic nie odpisuję. Oto potęga mediów społecznościowych. Kilkanaście godzin po wypadku wieści o nim już rozchodzą się po Oławie. Aż strach pomyśleć, jak zareagują na to wszyscy mieszkańcy. Czy będą mnie o coś podejrzewać? Przecież nie ma ku temu powodów, spałam, gdy to się stało. Potem przypominam sobie oburzony wyraz twarzy męża Lucyny. Przez głowę przelatują jego zarzuty:

„A ja nie rozumiem, jak pani mogła nic nie usłyszeć. We własnym domu”.

Wyglądał tak, jakby mi nie wierzył.

Po chwili dostaję kolejne powiadomienie. Andrzej Kos odpowiedział na komentarz Judyty.

„Tak, to u niej.”

Patrzę na jego odpowiedź, zastanawiając się, czy powinnam zareagować. Wy tłumaczyć, że nie miałam z tym nic wspólnego. Po chwili namysłu postanawiam zbyć to milczeniem. Obawiam się, że jeśli udzielię się w tej konwersacji, spadnie na mnie lawina pytań, komentarzy, a nie potrzebuję dodatkowego zamieszania. Wylogowuję się z Facebooka. Jeśli Judyta naprawdę jest ciekawa, jak do tego doszło, to zadzwoni lub zapyta mnie o to osobiście przed zajęciami.

Wstaję z fotela i wychodzę na taras. Duże żółte kafle są śliskie od wody, szkielet starej huštawki ogrodowej lekko kołysze się na wietrze. Muszę go stąd zabrać. Może poproszę ojca o pomoc w następny weekend. Rozpiera mnie potrzeba zmian. Wszystko mi teraz przeszkadza, wydaje się niepotrzebnie zajmować przestrzeń. W rogu ogrodu stoi stara czereśnia, jest już spróchniała. Latem jej owoce dojrzewają tylko w upalnym słońcu, by niemal natychmiast popękać. Do niczego się już nie nadaje. Trzeba będzie ją stąd usunąć. Ogród jest zaniedbany. Pełno w nim przesuszonych krzewów, nierówno przyciętych drzewek iglastych. Brakuje tu przejrzystości. Co prawda Idzie na tym zależało. Chciała się schować przed sąsiadami, zawsze lubiła intymność. Ja zresztą też. Teraz jednak samotność zdaje się moim wrogiem, chcę być bliżej ludzi. Nie pozostawać w tym domu zupełnie sama.

Jest co prawda lokator. Wspominam jego lazurowe oczy, którymi zawsze wwierca się we mnie tak intensywnie, że aż robi mi się nieswojo. Chodzi w koszulkach z zakrwawionymi rysunkami, a ciało ma pokryte niepokojącymi tatuażami. Wcześniej mi to nie przeszkadzało, ale teraz, gdy wiem, że policja chce z nim porozmawiać o śmierci Lucyny Kos, wszystkie te spostrzeżenia wydają się większe, ważniejsze, być może zasadne.

Lekkość. Pojawia się w moim umyśle nieoczekiwanie. Odwracam się w kierunku domu i spoglądam na zegar stojący przy ścianie. Dochodzi jedenasta trzydzieści. To jeszcze nie pora na sen. Dziś jednak, po tym wszystkim, co się wydarzyło, jestem bardziej zmęczona niż zwykle. Sen już zaczyna mnie nawiedzać.

Podrzuca mi perły. Cały naszyjnik zaciśnięty na kobiecej szyi, a potem wszystko się rozpryskuje, upada na drewnianą podłogę z nienaturalnym hukiem. Przecieram oczy i znowu jestem tutaj, na tarasie. Patrzę na mokrą trawę.

Widzę ruch za laurowiśnią w oddali. Gałązki kołyszą się na wietrze, jak szkielet huštawki. Coś ostrego kłuje mnie w klatkę piersiową. Strach.

Odwracam się od ogrodu i od siebie, a raczej od halucynacji, w których powoli topi mnie zniecierpliwiony sen. Gdy wchodzę do domu, czuję, że mój umysł balansuje między wspomnieniem naszyjnika z pereł a myślą o komentarzu Judyty pod postem Andrzeja Kosa. Moje imię i nazwisko zapisane niebieską pogrubioną czcionką. Zamykam drzwi tarasowe, idę do drzwi wejściowych i przekręcam korbę zamka, dwa razy. Potem odwracam się do drzwi tarasowych i upewniam się, że są zamknięte. Nigdy dotąd nie zwracałam na to uwagi, ale teraz wydaje mi się to niezwykle ważne. To naprawdę mało prawdopodobne, żeby ktoś z impetem je popchnął, tłumaczę sobie. Poza tym nikt nie wie, że to jest możliwe. Nikt oprócz mnie i Walewskiej, powiedziałam jej dopiero wczoraj. Nawet moi rodzice o tym nie wiedzą.

Nie mam odwagi położyć się w sypialni, nie dziś, nie teraz. Wyciszam telefon i zasypiam na kanapie w salonie.

Wizyta 3

Wiem, że powrót do twojego domu nie jest najlepszym pomysłem, ale to jest ode mnie silniejsze.

Wciąż mam przed sobą jej spowite strachem oczy, a potem to cierpienie malujące się na twarzy, gdy już wiedziała, że spada. Trwam przy tamtym momencie, wciąż odtwarzam go w głowie od nowa, opadł na mnie jak neonowa powłoka i świeci za każdym razem, gdy widzę gdzieś swoje lustrzane odbicie. Najpierw była pewność, że za chwilę po mnie przyjdą, że się domyślą, ale nic takiego się nie stało. Ta nowa warstwa mnie jest najwyraźniej niewidoczna dla innych.

Ty jesteś teraz moim jedynym błędem. Popęlam go wespół z świadomością, część decyzyjności odebrał mi alkohol. Trzeba było się w końcu nim wesprzeć.

Nie wejdę do twojego domu. Choć chwieję się na nogach, a całe otoczenie spowija przyjemna alkoholowa mgiełka, zdaję sobie sprawę, że to byłoby przesadą. Muszę powrócić do ciebie ostrożnie, powoli. Czuję, że twój sen nie jest teraz taki jak zawsze. To, co się stało, z pewnością pozostawiło w tobie ślad. Być może właśnie o tym śniesz, czujniejsza, wrażliwsza na wszystko, co dzieje się wokół ciebie. Wiem, że samo przyjscie do ciebie jest teraz nierozsądne, ale ja nie potrafię się zatrzymać. To, co się stało, zbliżyło mnie do ciebie, chcę przebywać tu jeszcze dłużej i przychodzić tu jeszcze częściej. Czuję, że teraz mogę.

Albo ty, albo nic.

Kolana mnie mrowią, oddech mam krótszy, mniej spokojny. Stoję na tarasie i zaglądam do twojego domu przez szybę. Mam szczęście, zasnął na kanapie na dole. Widzę cię.

Z reguły o tej porze jesteś jeszcze przytomna, ale pewnie wszystko, co wydarzyło się wczoraj, odbiło się na twoim samopoczuciu. Można było się tego spodziewać, stąd zresztą moje odwiedziny. To przeczucie kazało mi do ciebie wrócić. Chcę ci jakoś pomóc, ale nie wiem, co mogę zrobić. Możesz wierzyć lub nie, ale mi też nie jest łatwo.

Twoja twarz jest zwrócona w moją stronę. Jej widok mnie koi, jest jak nagroda za wszystko, co się tu wydarzyło. Wiem, że w tej chwili dużo ryzykuję, ale powtarzam sobie, że ewentualna ucieczka nie zajęłaby mi dużo czasu – maksymalnie parę sekund.

Twój ogród to idealne miejsce do zabawy w chowanego, gdyby nie kilka drzewek owocowych wyglądałyby jak wycinek lasu.

Kładę dłoń na zimnej szybie drzwi. Mogę je popchnąć i wejść, dotknąć cię. Tęsknię za zapachem twojej skóry. Za tobą. Jesteś częścią mojego życia. Już nigdy cię nie opuszczę.

To było morderstwo w imię moich odwiedzin w twoim domu. Będę przychodzić tu dalej.

Od jakiegoś czasu nie mogę się odnaleźć, źle śpię. Chyba powoli staję się tobą. Wiem już, jak się czujesz każdego dnia. Senność oddala od rzeczywistości.

Tak pięknie wyglądałaś, gdy stałaś na tarasie i patrzyłaś na ogród, oplatając się rękami. W ostatniej chwili udało mi się ukryć. A potem pozostało mi tylko liczenie uderzeń serca. Strach przed myślą, że mnie zobaczysz. Kiedyś lekarz powiedział mi, że tacy ludzie jak ja nie wiedzą, co to strach, ale grubo się pomylił. To dlatego znalazł później swoje auto z przedziurawionymi oponami. Nikt mi nie będzie wmawiał, kim jestem, co czuję, a czego nie. Potrafię się bać, choć dla mnie to przyjemny stan, łaskocze mnie w dolnych częściach ciała, napędza do działania. Tak jak przed chwilą, gdy stałaś na tarasie. Właśnie wtedy pierwszy raz pojawiło się we mnie pragnienie, żeby wyjść z ukrycia, podejść do ciebie pewnym krokiem i powiedzieć ci, że to tylko ja, że nie musisz się już o nic martwić. W życiu najgorsze są niepewność, niezdecydowanie. Coś o tym wiem.

Nigdy wcześniej nie było we mnie takich potrzeb. To ty je we mnie obudziłaś. Mam wrażenie, że na mnie czekałaś. Może w istocie tak było. Czasem myślę, że o wszystkim wiesz. Dajesz mi znaki, że mogę się przed tobą ujawnić. To szalona gra, do której mnie zaprosiłaś. Wiedziłaś, że odkryję sposób, żeby do ciebie przychodzić. To dlatego nie wymieniłaś drzwi tarasowych.

Znowu to przyjemne łaskotanie w brzuchu...

Przy tobie staję się lepszym i zarazem gorszym człowiekiem. Na pewno się zmieniam. A zmiana jest tym, czego pragnę najbardziej. Chyba tak działa prawdziwa miłość.

Sprawia, że odkrywamy w sobie nowe możliwości. Ma moc twórczą. Spójrz tylko. Mija już miesiąc, a za nami tyle pięknych chwil. Ubarwiłaś moje życie. Nikt inny nie mógłby tego zrobić.

Na moment odsuwam od ciebie wzrok, patrzę na miejsce, w którym leżała, i znowu opada na mnie ten znajomy ciężar. Potem tłumaczę sobie, że to nie do końca moja wina.

Ta śmierć to początek czegoś wielkiego. Nie mogę tego stracić. Sprawy zaszły już za daleko.

Kładziesz dłoń na podbrzuszu i delikatnie się uśmiechasz. O czym śniesz, moja Weroniko? O mnie? Czy istnieje na to jakaś szansa? Może właśnie odwiedzam cię w twoim śnie? Jesteśmy tam teraz razem, rozbieramy się i... ach, nie mogę o tym myśleć, bo zaraz zrobię coś nierozsądnego. Popcham drzwi, wejdę do środka, a jeśli przez przypadek się obudzisz, nie mogę ręczyć za siebie. Wszystko zależy od ciebie.

Zsuwam dłoń z szyby, odwracam się do ciebie plecami i próbuję zapanować nad pragnieniem. Z trudem oddalam się od drzwi, gotując się w duchu na powrót do tego

nieprzyjaznego świata. Zostawiam cię za sobą, ale obiecuję, że jeszcze do ciebie wrócę. Może przyjdę nocą i uda nam się zrobić to, co kiedyś? Odurzysz się tymi swoimi lekarami, żeby mieć mocniejszy sen, a później rozbiore cię do naga i na chwilę cały świat się zatrzyma. Będziemy tam tylko my. Jeśli pójdzie coś nie tak, zawsze jest plan B. Nie chcesz znać planu B, Weroniko. Powiem ci tylko, że dużo w nim krwi. Lepiej, żeby wszystko poszło po mojej myśli.

Rozdział 6

Słyszę ciche pukanie do drzwi. Odchodzę od stołu, na którym leżą listy słówek dla uczennicy przygotowującej się do certyfikatu FCE z angielskiego. Dotąd próbowałam pracować, choć nie szło mi najlepiej.

Teraz idę do sieni, opatulając się połamami kaszmirowego swetra. W kolorowym witrażu drzwi majaczy cień czyjejś ręki.

Po ramionach przebiegają mi ciarki. Kto to może być?

Kuba ma klucze i zawsze sam wchodzi, nie spodziewam się dziś żadnych innych gości. Zmierzając w stronę drzwi, po drodze zahaczam o pęk kluczy, który upada na podłogę z metalicznym brzdękiem.

– Wera, to ja. – Słyszę głos, który brzmi znajomo.

– Czyli kto? – pytam.

– Mateusz.

Przekręcam korbę zamka i uchylam drzwi.

– Cześć. – Witam się z nim, lekko speszona.

Nie spodziewałam się tej wizyty. Przychodzi na lekcje w poniedziałki i środy, a dziś przecież sobota. Nieśmiałe promienie gasnącego słońca przebijają się przez ciężkie chmury, oświetlają mokrą od deszczu ulicę. Jeszcze chwilę temu padało.

Mateusz stoi przede mną w wilgotnej wiatrówce moro podkreślającej barwę jego tęczy. Muszę zadzierać głowę, jak zawsze, gdy go mam przed sobą.

– Przepraszam za to najście, ale chwilę temu dowiedziałem się, co się stało, i chciałem zapytać, jak się czujesz. Bartek zadzwonił do mnie, gdy wracałem z zakupów, pomyślałem, że wpadnę. Dzwoniłem, ale nie odbierałaś.

– Możliwe, chyba wyciszyłam telefon. – Zamyślam się.

– Pewnie, mi też się zdarza.

– Wejdziesz?

– Nie, Filip został w aucie. – Wskazuje kciukiem za siebie.

Na siedzeniu pasażera w jego samochodzie czeka chłopiec z ciemną burzą loków, takich samych jak u ojca. Chyba przegląda coś w telefonie.

Wychodzę do niego na werandę i zamykam za sobą drzwi.

– A co mówił Bartek? – pytam, bo dociera do mnie, że niebawem będę musiała zmierzyć się z plotkami, jakie niechybnie zaczną krążyć po Oławie.

Bartek to jego przyjaciel, znają się od małego. Pamiętam go ze wspólnych imprez, gdy ja i Mateusz byliśmy jeszcze parą. Odwiedzaliśmy go w mieszkaniu na szóstym piętrze

wieżowca, którego kształt przypominał dwie połączone ze sobą żyłki. Oławianie od zawsze nazywali ten budynek żyłkowcem.

Stoi niedaleko centrum Oławy i zawsze najwygodniej było nam wpaść do Bartka na drinka przed imprezą. Pewnego dnia, gdy byliśmy u niego z wizytą, jakaś dziewczyna rzuciła się z dziesiątego piętra żyłkowca. Zginęła na miejscu. Bartek opowiadał potem wszystkim o jej samobójstwie, za każdym razem zmieniając wersję wydarzeń. Najpierw mówił, że usłyszeliśmy syreny karetki i policji dobiegające z dołu i tak się zorientowaliśmy, co się stało. To była prawda. Potem jednak zmienił wersję i ponoć twierdził, że widział, jak spadała przez okno. Jest typem gaduły lubiącego ubarwiać wydarzenia, dodając im dramaturgii.

– Bartek powiedział, że twoja uczennica popełniła samobójstwo w twoim domu, że rzuciła się z antresoli – mówi Mateusz.

– Poważnie, coś takiego powiedział?

– Tak, a to nieprawda?

– Nie, to znaczy tak. Zginęła, ale nie popełniła samobójstwa.

– To co się tam stało? – pyta powoli i patrzy mi ze skupieniem w oczy, jakby próbował przedostać się do mojego wnętrza i zobaczyć wspomnienie tego wydarzenia.

– Spadła i zginęła, to prawda. Ale to był nieszczęśliwy wypadek. Spałam, gdy to się stało.

Rozpiera mnie potrzeba sprostowania tych kłamstw, które już zaczynają przedostawać się do opinii publicznej. Lucyna Kos była niestety dość znana w mieście. Miała mocny charakter, dużo działała społecznie. Zastanawiam się, czego jeszcze dowiem się o jej śmierci w najbliższym czasie.

– Weszła mi do domu – mówię dalej – przez drzwi tarasowe. Najprawdopodobniej chciała mi oddać pieniądze za ostatnią lekcję. Wspięła się na górę, a później runęła w dół. To nie było samobójstwo. Nie wiem, jak Bartek mógł coś takiego wymyślić.

– Ja też tego nie wiem.

– Pamiętam, że on lubi plotkować, może to stąd – mówię chłodno.

– Nie pomyślałem, że do tego stopnia. Gdy usłyszałem o tym samobójstwie, doszedłem do wniosku, że muszę sprawdzić, jak się trzymasz. Nawet z zawodowego punktu widzenia, wybacz.

– Jasne, rozumiem.

Wyraźnie się rozluźnia.

– Słuchaj, jakbyś potrzebowała czegokolwiek, to dzwoń. O każdej porze, możemy pogadać.

– Dziękuję, na razie się trzymam, po prostu chcę, żeby to jak najszybciej się skończyło.

– Policja zajmuje jakąś część domu? Nie można tam wchodzić?

– Można.

– Czyli lekcja w poniedziałek jest aktualna? – pyta niepewnie, jakby bał się, że jego pytanie jest nie na miejscu.

– Tak – odpowiadam natychmiast. – Oczywiście.

Może brzmi to bezwzględnie, ale muszę trzymać rękę na pulsie, jeśli chodzi o kwestię nauczania angielskiego. Wciąż martwię się, że po tym, jak rozniosą się wieści o śmierci Lucyny, stracę uczniów. Nie mogę sobie na to pozwolić. Ledwo wiązę koniec z końcem.

Mateusz robi krok w moim kierunku i kładzie mi rękę na ramieniu, znowu czuję się niezręcznie, tak jak ostatnio, gdy dotknęliśmy się dłońmi podczas lekcji.

Zagląda mi w oczy, jakby szukał głębszego kontaktu. Pamiętam te jego przeszywające spojrzenia jeszcze z czasów, gdy się spotykaliśmy. Teraz na moment wracam myślami do tamtych chwil, gdy byliśmy parą, a ja paląco pragnęłam wyslizgnąć się już z tej relacji, zrobić to jednak delikatnie, tak by Mateusz nie poczuł się zraniony.

– Mateusz, jest OK.

– Czasem najważniejsza jest świadomość, że mamy kogoś, do kogo możemy się zwrócić. – Jego słowa nakładają się na moje, oddech pachnie miętą i starą kawą. – Pamiętaj, że jestem dostępny.

Wydaje mi się, że to oklepany tekst, którym częstuje każdego pacjenta. Ma opinię świetnego psychologa, specjalisty od traum i urazów psychicznych. Biorąc jednak pod uwagę naszą zażyłość z przeszłości, istnieje szansa, że w jego gościu jest coś osobistego, i na samą myśl o takiej możliwości cała się wzdrygam.

– Dzięki. – Delikatnie się od niego odsuwam.

– Nie ma sprawy.

Pod moją bramę podjeżdża czarne opływowe auto. To Kuba. Na widok jego samochodu czuję się tak, jakbym uchyliła okno w dusznym pokoju. Mateusz natychmiast zabiera dłoń z mojego ramienia.

– Trzymaj się, Wera.

– Cześć.

Zeskakuje po schodach i wychodzi przez furtkę, jeszcze zanim Kuba gasi silnik.

Czekam na niego w progu drzwi, z dłonią zaciśniętą na klamce. Słyszę, jak zegar w salonie wybija siódmą wieczorem. Z reguły o tej porze budzę się po drzemce, ale dziś jest inaczej. Ostatni raz spałam od czwartej do wpół do piątej. Wolną dłonią szukam w smartfonie postu Andrzeja Kosa z rana. Sprawdzam, czy pojawiły się pod nim jakieś insynuacje, jakoby Lucyna Kos popełniła samobójstwo, ale nic takiego nie dostrzegam. Nikt nie odpowiedział na komentarz Judyty, w którym mnie oznaczyła. Nikt też nie pisał nic do mnie w wiadomości prywatnej.

Kuba powoli wychodzi z samochodu. Natychmiast zauważam, że nie wygląda najlepiej.

Wydaje się niezadowolony i trochę zaniedbany. Z reguły jego fryzura lśni od pasty modelującej, gładka cera jest rozpromieniona. Ale nie teraz. Ma wymięte włosy, jakby trzymał je pod czapką, a pod oczami zagnieździły się sińce. Ja pewnie też nie prezentuję się zbyt dobrze. Do głowy wpada mi myśl, że ta sytuacja jest sprawdzianem dla naszego związku. Rano pod blokiem moich rodziców trochę się spięliśmy, ale teraz nasze nieporozumienie wydaje się nieistotne. Najważniejsze jest to, żeby jakoś przetrwać tę trudną sytuację, tak jak powiedział dziś rano mój ojciec.

– Byłeś na komendzie? – pytam, gdy wchodzi na werandę.

– Tak, nie miałem wyboru.

Zbliża się do mnie niepewnym krokiem.

Na widok mojego subtelnego uśmiechu jego ruchy stają się płynniejsze.

Muska ustami mój policzek na powitanie.

– Kto to był? – pyta, zerkając w kierunku drogi.

Mateusz właśnie odjeżdża swoim białym oplem.

– Kumpel, uczy się u mnie angielskiego. Był przejazdem.

Nie chcę mu opowiadać o plotkach, jakie przyniósł mi Mateusz. Sama pragnę o tym jak najszybciej zapomnieć.

– Spoko – kwituję pod nosem Kuba.

Wchodzimy do środka. Patrę, jak ściąga buty i zajmuje miejsce przy stole w kuchni, spoglądając zza ramienia na podłogę w salonie. – Co za patowa sytuacja – wypala, chyba bardziej do siebie.

– Rozmawiałeś z Walewską?

– Tak.

– O co cię pytała? – Siadam naprzeciwko niego, powoli, ostrożnie, jakby krzesło parzyło.

– O moje relacje z Lucyną. – Wzrusza ramionami.

– I co jej powiedziałaś?

– Że były neutralne, właściwie się nie znaliśmy.

– Przecież mówiłaś, że się pokłóciliście.

– Pokłóciliśmy? – Unosi brew i rozsiada się wygodniej w krześle, odginając głowę do tyłu.

Zdążyłam już zauważyć, że kiedy czuje się niepewnie, stara się to zamaskować gestami. Udaje nad wyraz odprężonego.

– Byłeś na nią zły, zagroziła, że pójdzie do twojego przełożonego, jeśli nie wytłumaczysz rozliczeń z podróży służbowych – przypominam mu spokojnie.

Na twarzy Kuby pojawia się cień uśmiechu.

– Przecież nie mogłem powiedzieć czegoś takiego policjantce, nie sądzisz?

– Najlepiej powiedzieć prawdę. – Rozkładałam ręce. – Nie masz nic do ukrycia, a to, co było między wami, i tak wyjdzie na jaw.

– Niby w jaki sposób? – Przechyliła głowę. – Wiedzieliśmy o tym tylko Lucyna, ty i ja. Nikomu nie mówiłem, że się z nią spałem. Nikomu oprócz ciebie, bo tobie akurat ufam.

Rzuca mi przeciągłe spojrzenie, szuka potwierdzenia w moich oczach.

– Chyba mnie nie wydasz – dodaje.

– Kuba, słyszysz siebie? Czy ty masz coś do ukrycia?

– Chodzi mi tylko o te podróże służbowe. Nie chcę, żeby Walewska zaczęła wypytywać o całą tę sprawę w firmie, nie rozumiesz?

– A o co dokładnie chodzi z tymi podróżami?

– Może faktycznie trochę zaszaleliśmy, jak byliśmy z kolegami na wyjeździe w Warszawie. Wydałiśmy trochę więcej, niż było trzeba, podczas imprezy. Za wszystko zapłaciłem kartą służbową. To drobnostka, ale nie chcę mieć przez to nieprzyjemności, a mogę mieć, bo moja firma ma obsesję na punkcie „bycia fair”. – Robi palcami cudzysłówów w powietrzu.

– Nikt w firmie nie wiedział, że się spięliście o coś takiego?

– Mam swój gabinet. Przyszła do mnie i zaczęła marudzić, jak zawsze. Musisz wiedzieć, Wera, że ona nie była taka tylko w stosunku do mnie. Podchodziła do swojej pracy wyjątkowo poważnie, nie odpuszczała nikomu. Idąc tym tropem, każdy z firmy mógłby chcieć zepchnąć ją z tej antresoli.

Wstaję od stołu, jakbym chciała oddalić się od jego słów. Przypominam sobie o tych „sfatygowanych tujach”, które pokazali mi dziś policjanci. Patrę przez okno na ulicę z przodu domu, właśnie zapaliły się latarnie, które – bardziej niż zachodzące słońce – zwiastują nadejście nocy. Drugiej nocy po tym, co się stało. Mam wrażenie, że czas odlicza się teraz od chwili śmierci Lucyny Kos.

– Myślisz, że ktoś mógł ją zepchnąć z antresoli? – pytam niepewnie, patrząc na migoczącą żarówkę w jednej z latarni.

Jej czas najwyraźniej dobiega już końca.

– Na pewno nie, ale rozumiem podejście tej całej Walewskiej. Wydaje się profesjonalna, sprawdza każdy trop. To chyba dobrze, prawda? Sama mi dzisiaj powiedziała, że sprawa jest bardzo nietypowa, ponoć najważniejsze jest to, co ustalą podczas sekcji zwłok.

– O co jeszcze cię pytała?

– To było rutynowe przesłuchanie. Pytała, gdzie byłem wczoraj między osiemnastą a dziewiętnastą.

– Powiedziałaś, że w pracy? Na pewno multum osób może to potwierdzić. Poza tym macie chyba te karty, które odbijacie rano i wieczorem.

– Tak, tak, mamy je. Na pewno to potwierdzą.

Coś w jego głosie mi się nie podoba, jakby nie był pewien, czy w istocie to zrobią.

– Potem zapytała jeszcze, jak często do ciebie przyjeżdżam, jak wygląda nasza relacja, od kiedy się spotykamy. Właściwie za dużo o to wypytywała, jeszcze chwila, a musiałbym jej opowiedzieć o tym, co wyrabiamy w sypialni.

Uśmiecha się szerzej, mam wrażenie, że jego myśli schodzą na lubieżny tor. Chce już tam pójść na górę, jak zawsze, bez względu na to, jak ciężki był dzień.

– Żywopłot jest uszkodzony – zauważam, chcąc go trochę ostudzić.

– Jaki żywopłot?

– W ogrodzie. Policjanci odkryli to dziś rano. Dwie tuje są lekko odgięte.

– A nie były takie wczoraj i przedwczoraj? – W jego głosie pojawia się nuta ironii.

– Tego nie wiem. Nie zwracałam na nie aż takiej uwagi. Nie są zbyt dobrze widoczne z tarasu czy nawet ogrodu. To dwie pierwsze tuje, bardziej w rogu.

– Naprawdę, nie popadajmy w paranoję. Najpierw perła, w którą się wpatrywałaś pół nocy, a teraz żywopłot. Wera, ta sprawa jest bardzo prosta. – Wstaje od stołu, podchodzi do mnie. Słyszę go za swoimi plecami.

– Kobieta weszła ci do domu przez taras. Znając jej temperament, była do tego zdolna. Potem wspięła się na górę, bo tam jest gabinet, w którym uczysz. Potknęła się o przedłużacz i poleciała w dół, bardzo niefortunnie. Zginęła na miejscu. Ludzie czasem nie potrzebują kilku metrów, żeby umrzeć w wyniku upadku. Gina na płaskim podłożu.

– Też chcę się trzymać tej wersji.

– Jest najbardziej prawdopodobna. Wszyscy o tym wiedzą. Pytanie tylko, dlaczego nie przyszła w porze swojej lekcji.

– Ponoć chciała mi oddać pieniądze. Ostatnio mi nie zapłaciła.

– Nic nie mówiłaś.

Opiera brodę na moim ramieniu, jego dłonie splatają się na mojej talii.

– Dowiedziałam się o tym dziś rano. Byli u mnie jej mąż i córka.

– O kurwa.

– Właśnie tak. Na szczęście chwilę później przyjechała policja i zrobiło się lepiej.

Opowiadam mu pokrótce o spotkaniu z Kosami.

Mówi, że gdyby był na miejscu Kosa, też chciałby zobaczyć miejsce śmierci żony. W jego głosie pobrzmiewa współczucie dla tego mężczyzny. Nie wiedziałam, że jest w stanie tak łatwo postawić się na miejscu człowieka, którego nigdy nie widział na oczy.

– Z czasem wszystko się ułoży – podsumowuję, bo na razie nie widzę innego rozwiązania tej sytuacji. Potem odwracam się do niego.

Pachnie piżmem i lasem.

– Biegałeś dziś?

– Tak, musiałem. Po przesłuchaniu pojechałem do lasu, potem wróciłem do domu i pracowałem, ale nie mogłem się po tym wszystkim skupić. Co za parszywy dzień.

Całuje mnie w usta, krótko, ale zmysłowo. Za tym pocałunkiem kryje się zaproszenie do sypialni.

Odwracam głowę i mówię, że teraz nie mam na to energii. Dobrze wie, o co chodzi.

– Jasne – odpowiada. – Rozumiem.

Nie naciska. Przygotowujemy kolację z tego, co mam w lodówce. Wychodzi nam skromna sałatka z kurczakiem. Podczas posiłku znowu rozmawiamy o całej sprawie. Ten temat nasuwa się nam samoistnie. Pozostając w odległości kilku metrów od miejsca śmierci Lucyny, nie da się w tej chwili dyskutować o repertuarze kinowym czy też o sytuacji politycznej w kraju.

– Pobrali od ciebie odciski palców? – pytam.

– Tak. Czuję się jak podejrzany, gdy to robili.

– Ja też. Na drzwiach tarasowych zabezpieczyli dwa typy odcisków. Jedne najpewniej należą do mnie, ale drugie będą musieli dopasować.

– Mogą należeć do każdego. Do mnie, do twojej matki. Z tego, co mówiłaś, twoja mama często się tu zjawia, prawda?

– Tak, chodzi po całym domu, sprawdza, czy gdzieś nie trzeba czegoś poprawić. Potrafi szybko zaścielić mi łóżko w sypialni, gdy jestem w łazience. Często korzysta z drzwi tarasowych.

– Wspominałaś kiedyś, że jest trochę sceptyczna, jeśli chodzi o twoją chorobę.

– Czasem myślę, że dobrze wie, że jestem chora. Że to do niej dotarło, innym razem zachowuje się tak, jakby nie przyjmowała tego do wiadomości. Może to wypiera, bo tak jest jej łatwiej?

– Jak to?

– Matka chce uciszyć swoje wyrzuty sumienia. Gdy byłam młodsza, zawsze miała do mnie pretensje, że tyle śpię. Potem postawiono mi diagnozę i ona w nią nie uwierzyła, bo to było dla niej najwygodniejsze. Chciałabym, żeby choć raz powiedziała: „Nawaliłam, gdy byłaś nastolatką. Przepraszam. Nie zauważyłam, że chorowałaś”. A ona robi jakieś dziwne ruchy, których nie rozumiem. Przychodzi tu i komentuje moje życie. Próbuje ciągnąć mnie do jakiegoś wymyślanego brzegu. Nie wiem, czy rozumiesz. Poprawiając coś po swojemu w moim domu, z jednej strony chce mi pomóc, ale z drugiej sugeruje, że sobie nie radzę. Że nie dopływam tam, gdzie według niej dopłynąć powinnam.

– A ojciec?

– Ojciec jest neutralny i tak jest dużo lepiej. A jeśli chodzi o odciski palców, to nie sądzę, żeby był sens pobierać je od niego. Tato rzadko do mnie przychodzi.

Kuba upija łyk wody ze szklanki, po czym odpowiada:

– Są jeszcze uczniowie.

– Mam nadzieję, że Walewska nie będzie ich męczyć. Nie chcę, żeby kogokolwiek odstraszyła. W końcu żyję z tego, że ich uczę.

Mój widelec cicho brzęczy, gdy odkładam go na talerz, na którym błakają się ostatnie strzępy rukoli.

– To pewnie rozumiesz już, dlaczego nie chcę, żeby wkroczyła do mojej firmy z tym swoim oficjalnym stylem bycia i wpatrywaniem się w każdego, jakby był zbrodniarzem wojennym.

Coś w tym jest. Nagle uświadamiam sobie, skąd kojarzę tę kobietę.

Sięgam po smartfon i wchodzę w wyszukiwarkę. Wpisuję „Edyta Walewska” i ukazują się różne wyniki, niekoniecznie takie, których oczekuję. Widzę pięć niemal identycznych selfie jakiejś blondynki, dalej stare klasowe zdjęcie, jakby pochodziło z lat dziewięćdziesiątych. Poprawiam hasło wyszukiwania, dodając z przodu słowo „aspirant” i teraz jest dużo lepiej. Moim oczom ukazuje się gładka twarz policjantki, włosy związane w kucyk, skupione spojrzenie dużych zielonych oczu. Link przenosi mnie do portalu olawa24. Aspirant Edyta Walewska prowadziła sprawę tajemniczej śmierci małżeństwa Marii i Mikołaja Borewskich. Mieszkali niedaleko mnie. Czasem widywałam tego faceta, jak przejeżdżał koło mojego domu swoim białym terenowym samochodem. Był jednym z tych pasjonatów rycerstwa, stał na czele bractwa ziemi oławskiej. Widziałam go kiedyś, jak wędrował w białym krzyżackim płaszczu wraz ze swoim synem w kierunku zagajnika, który sąsiaduje z moim domem. Obydwaj przystojni w ten wyjątkowo pociągający, niewymuszony sposób. Bystre niebieskie oczy, kilkunastu zarost, który dodaje twarzy jakiegoś animuszu.

Borewski zginął od strzału z broni palnej. Zabiła go dziewczyna, która u nich sprzątała, zrobiła to w obronie koniecznej, żeby pomóc Edycie Walewskiej, którą Borewski zaatakował mieczem rycerskim. Podobno to on stał również za śmiercią żony. Makabryczna historia, którą Oława żyła dobry miesiąc. Jego syn wyjechał do Stanów promować swoją książkę. Niedawno wrócił i mieszka teraz w ich wielkim domu z narożnymi wieżyczkami. Tam dalej pisze swoje brutalne thrillery.

– O czym tak czytasz? – pyta Kuba, przesiadając się obok mnie.

– O Walewskiej, kojarzyłam ją skądś i już wiem skąd.

Przejmuję ode mnie telefon i zagłębia się w znalezionym przeze mnie artykule.

– Nieźle – mówi po minucie. – Chyba mnie wtedy jeszcze nie było w Oławie. Widać, że jest zaprawiona w boju.

– Tak, miała do czynienia z różnymi okropnościami.

Po tym, co przeczytałam, ulegam paskudnemu złudzeniu, że to, co stało się w moim domu, nie jest tak czyste, jak przedstawił to chwilę temu Kuba.

– Ktoś zostawił niezły komentarz pod tym artykułem – mówi. – Jakiś Arti28 napisał: „Zło jest bliżej, niż myślisz”. Zgroza. – Odkłada telefon na stół i wraca na swoje miejsce. W przeciwieństwie do mnie prawie nie ruszył kolacji.

Rozmawiamy jeszcze chwilę o Walewskiej.

– To taka kobieta, która nie da sobie w kaszę dmuchać – podsumowuje Kuba, a potem się śmieje.

Jego śmiech rozbija mi się po głowie przyjemnym echem. Powoli odpływam w sen. Rzadko mi się to zdarza, ale w końcu, tu w kuchni, wszystko znika. Zasypiam przy stole.

*

„Pamiętaj, że jestem dostępny”. Zdanie wypowiedziane przez Mateusza na werandzie mojego domu miesza się ze świstem wiatru, gdzieś niedaleko mnie. Patrzę w oczy mojego byłego, próbując udźwignąć ciężar jego spojrzenia. Mówię:

– Zróbmy sobie przerwę, Mateusz.

– Przecież mi na tobie zależy – odpowiada. – Bezwarunkowo.

Już to słowo „bezwarunkowo” mnie drażni. Jest takie patetyczne, jak cały on.

Odwracam się od niego, ale on ciągnie mnie za rękę.

– Zostań – mówi.

Czuję coś ciepłego i mokrego na płatku ucha. Przykładam do niego dłoń i widzę krew, jest jej coraz więcej. Na nogach mam białe rajstopy. Zaczynam biec, za mną nie ma już Mateusza, słyszę wzburzony głos Andrzeja Kosa. „Nie rozumiem, jak pani mogła nic nie usłyszeć. We własnym domu”.

Odrywam głowę od poduszki, czując, jak serce łomocze mi w piersi. Jestem w sypialni. Na dworze gwiżdże wiatr, granat bezgwiezdneho nieba wypełnia okno. Dochodzi pierwsza w nocy. Czuję się tak, jakbym wynurzyła się z wody.

To tylko wrażenie, które właśnie rozplywa się w powietrzu. Oddala się ode mnie wraz z rozmytymi głosami Mateusza i Andrzeja Kosa.

Kuba pomógł mi wejść po schodach na górę. Byłam bardzo zmęczona, ledwie to pamiętam. Zdołałam jeszcze zsunąć z siebie spodnie i bluzkę, włożyć koszulę nocną. Potem musiałam zasnąć, ale to mi się już rozmywa. Gdzie właściwie jest Kuba?

Zapalam nocną lampkę i patrzę na poduszkę. Tak jak myślałam, zostawił na niej kartkę. Kolejny nawyk z korporacji. Może gdyby nie była rażąco pomarańczowa, nie

kojarzyłyby mi się aż tak z biurową rutyną. Niestety, do papeterii w róże bardzo jej daleko.

Kuba z reguły zapisuje na tych kartkach zadania, które ma wykonać w kolejnych dniach, oblepia nimi laptopa, trzyma je w kieszeniach marynarki i spodni. A teraz przykleił taką samą na poduszce.

„Odpocznij, rano zadzwonię”.

Odrywam ją od bawełnianego materiału i przenoszę na szafkę nocną. Przez głowę przelatuje mi myśl, że nasz związek jednak nie zdaje najlepiej sprawdzianu, jaki podsunął nam los.

Potem myślę o Mateuszu. „Ja cię kocham bezwarunkowo”. Nie wiem, dlaczego przyśnił mi się mój były, ale pamiętam, że właśnie takimi słowami zareagował, gdy wiele lat temu powiedziałam mu, że to koniec. Nie lubiłam tych jego wyświechtanych wyznań. Wciąż zapewniał mnie o głębi swojego uczucia, osaczał mnie nim, choć byliśmy ze sobą bardzo krótko. Był intensywnym partnerem, choć przyjacielem i uczniem jest całkiem porządnym. Sprzyja mi. Aż dziw bierze, że po tych wszystkich niepokojących doświadczeniach z wczoraj przyśnił mi się właśnie on.

Może to przez ten fizyczny kontakt? Położył dłoń na moim ramieniu. Wyczułam jej ciepło. Przeniknęło do mnie przez kaszmir swetra.

Bartek mu powiedział, że Lucyna Kos popełniła samobójstwo w moim domu. A co, jeśli jest w tym ziarno prawdy? Gdy usłyszałam o tym wieczorem, otoczona przyjemną aurą jesiennego słońca, które wreszcie pokonało deszczowy dzień, nie zrobiło to na mnie wrażenia. Teraz jednak, w środku nocy, jego słowa przybierają na sile. Samobójstwo. Dlaczego miałyby to zrobić? Gdy zadaję sobie to pytanie, wspominam zapłakaną Idę pochylającą się nad ciałem Antoniego. Pytała „dlaczego?”, ale zachowywała się tak, jakby znała odpowiedź, i to z jej powodu w rzeczywistości cierpiała.

Po jego śmierci Ida się załamała. Przestała o siebie dbać. To ja dbałam o nią. Nie mogłam jednak przewidzieć wszystkiego. W lewej piersi wyhodowała sobie guza wielkości śliwki. Zmarła rok po jego wykryciu.

Przeniosłam się z pokoju gościnnego na dole do sypialni Idy na górze. Z jej gabinetu zrobiłam swój. Praktycznie zamieszkałam na antresoli. Przebywam tu przez większą część dnia. Może to nie jest najlepszy pomysł? Jestem daleko od drzwi wejściowych, od tarasu. Na dole nikogo nie ma.

Coś trzaska na dworze. Raz, potem drugi. Leżę na wznak na łóżku, wsłuchując się w ten dźwięk, próbując zrozumieć, co to może być. Gałąź drzewa? Odgłos chyba dobiega z ogrodu. Mam w sypialni uchylone okno dachowe. Wszystkie odgłosy docierają do mnie bezpośrednio. Po paru sekundach słyszę coś, co sprawia, że żołądek zwija mi się w supeł. Ciche, rysujące się na wietrze przekleństwo. Ktoś powiedział: „Kurwa”.

Przykładam dłonie do czoła i krótko się nimi masuję, licząc na to, że to jeszcze mająk ze snu. Jestem jednak nad wyraz obudzona. Kiedy czuję się tak jak teraz, nigdy nie ulegam halucynacjom.

Muszę przekonać się, co się dzieje. Jeśli ktoś tam jest, wezwę policję. Nikt nie ma prawa przebywać w moim ogrodzie w środku nocy, to oczywiste. Karmię wystraszonego umysłu tymi hasłami, żeby zapanować nad drżeniem nóg. Wezmę latarkę i sprawdzę, co się dzieje. To w końcu mój dom. Kto ma go strzec, jak nie ja?

„Nie bać się”, powtarzam sobie w myślach, schodząc na dół, uderzając w każdy włącznik światła, jaki napotykam po drodze. Nie wiem, czy to przez te mobilizujące myśli, czy przez ciepłe światło rozplywające się teraz po domu, ale moje kroki są teraz pewniejsze.

Gdy stoję na podłodze pod schodami, po głowie błąka mi się niewyraźna myśl, że to Bruno Lira. Co prawda w warunkach wynajmu jasno zaznaczyłam, że ogród nie jest do jego dyspozycji, ale mógł się do tego nie zastosować. W każdym razie, jeśli to on, to i tak za bardzo mnie to nie uspokoi. Co, u licha, robi w moim ogrodzie o tak późnej porze? Miał być cichym artystą siedzącym cały dzień przy płótnie albo przy komputerze, a nie kimś grasującym wokół mojego domu.

Wyciągam latarkę z szuflady w konsoli. Żałuję, że nie wymieniłam żarówki w lampie na tarasie. Nie mogę tam zapalić światła. Kroczę w kierunku szklanych drzwi, ściskając w dłoni grubą latarkę, którą Ida kupiła jakieś dwadzieścia lat temu. Czuję, jak w jej środku grzechoczą duże ciężkie baterie. Włączam ją na wszelki wypadek jeszcze w domu. Działa.

Otwieram drzwi, biorę głęboki wdech i wychodzę na zewnątrz. Zimny wiatr owiewa mi gołe ramiona, przed sobą mam ciemność, z której wyłaniają się niewyraźne kształty drzew, dalej zagajnik, niczym wielki, kołyszący się ekran góruje nad moim ogrodem. Kieruję snop żółtego światła na szpaler tuż. Ręka mi odrobinę drży, gdy przesuwam ją w prawo. Dociera do mnie, że jestem tu po to, by nikogo nie zobaczyć, by upewnić się, że to przekleństwo nie zostało wypowiedziane w moim ogrodzie. A co z trzaskiem gałęzi? Wodzę szerokim tunelem światła po kolejnych owocowych drzewkach, ich korony nie wyglądają na uszkodzone, ale teraz i tak nie zobaczę wszystkiego dokładnie.

Brzuch mam spięty, nie wiem, dlaczego strach rozgościł się właśnie tam. Może połączył się z głodem. Mało wczoraj jadłam. Sałatka z kurczakiem wypełniła mnie tylko na chwilę, czuję posmak przetrawionego sosu czosnkowego w ustach.

– Halo!

Dziwnie się czuję, wpuszczając to słowo do ciemnego, szumiącego ogrodu, tym bardziej że przeraża mnie możliwość uzyskania jakiegokolwiek odpowiedzi. Na szczęście ogród reaguje tylko szelestem liści, niezmiennym od chwili, gdy tylko wyszłam na taras.

Przerażenie powoli odpuszcza, jakby kleszcze zaciśnięte na żołądku odrobinę się poluzowały. Idę do przodu, czując się jak człowiek, który właśnie postawił kilka kroków na zamrożonym stawie, upewnił się, że lód jest gruby, bezpieczny. Idzie więc dalej, jeszcze się boi, ale mniej. Towarzyszy mu dreszcz strachu wymieszany z ekscytacją.

Światło z latarki kładzie się teraz na kilku ligustrach, potem powoli przesuwam je na laurowiśnię i wracam na drzewka owocowe, przysłonięte prętami huśtawki.

Oddycham coraz głębiej, czuję, że wyjście do ogrodu było dobrym pomysłem. Zmierzyłam się ze swoimi demonami, uciszyłam je.

Zatrzymuję się w trawie, czując, jak jej wilgotne źdźbła ocierają mi się o palce lewej stopy. Na nogach mam tylko plastikowe klapki. Wracam na taras, stamtąd spoglądam ostatni raz na żywopłot. Gdy chcę już opuścić latarkę i schować się w domu, moją uwagę przyciąga jakiś jasny punkt nad krzewami po prawej stronie. Odruchowo wracam tam promieniem światła. I nagle czuję, jak lód, po którym stąpałam, pęka. Pochłania mnie przesywająco zimny potok, paraliżuje ciało, zapiera dech w piersi.

Nad drobnymi liśćmi, które przypominają teraz chmarę poruszających się robaków, widzę twarz. Jest biała jak kreda, nieruchoma, co kontrastuje z drżącym na wietrze krzewem.

Z moich ust wydobywa się jęk przerażenia. Nieświadomie opuszczam rękę, w której trzymam latarkę, potem zbieram się w sobie i ją podnoszę. Wracam światłem nad żywopłot, ale nikogo tam już nie widzę. Mam do krzewów jakieś dwadzieścia metrów, nie odnajduję w sobie jednak odwagi, żeby tam w tej chwili podejść. Odwracam głowę, upewniam się, że drzwi tarasowe są uchylone, mogę w każdej chwili wbiec do domu. Kieruje mną jednak upiorna ciekawość. Wiem, że jeśli teraz stąd odejdę, to do rana nie będę mogła spać, myśląc, co to było lub kto to był. Przełykam ślinę i znowu oświetlam ogród latarką. Opieram się ponuremu wrażeniu czyjejś obecności, choć wciąż nikogo nie widzę.

Nagle słyszę za sobą kroki i czuję się jak w potrzasku. Jakbym była uwięziona w pułapce. Nie pobiegnę do przodu, nie ucieknę już do tyłu. Kroki są coraz bliżej. Na ramieniu wyczuwam dotyk lodowatej dłoni. Odwracam głowę i w tej samej chwili zaczynam krzyczeć.

Wizyta 4

Proszę cię, nie panikuj, bo nie podobasz mi się w takiej odsłonie. Przypominasz zwierzątko, a nie inteligentną, wykształconą kobietę, która lubi sen bardziej niż przeciętny człowiek. Gdy zaczynasz się mnie bać, czar pryska, staje się tylko twoim upiorem, a nie chcę nim być.

Wyrzucasz do góry ręce, jakby ktoś mierzył do ciebie z broni palnej. Latarka uderza o kafle z ciężkim, metalicznym brzdękiem, obawiam się, że któryś mógł pęknąć. Twoje ciało zdaje się drżeć. Nie założyłaś nawet szlafroka. Światło, które zapaliłaś w domu, rozjaśnia subtelnie taras, na którym stoisz. Schylasz się po latarkę, potem się prostujesz. W tej białej prześwitującej koszuli nocnej wyglądasz jak zjawą. Widać ci sutki, sterczą jak dwie piramidy przykryte białą płachtą. Wiem, że zapamiętam cię właśnie taką, a gdy wrócę do siebie, wykorzystam te obrazy i zrobię sobie dobrze.

Cieszę się, że nasz pierwszy raz mamy za sobą.

Pierwszy raz twarzą w twarz, Weroniko. Zobaczyłaś moje prawdziwe oblicze – najwyraźniej ci się nie spodobało. Dobrze, że nasze spotkanie nie miało miejsca w sypialni, tam mogłabyś się wystraszyć jeszcze bardziej. Kto wie, jak by to się skończyło.

Opierasz się o ścianę obok drzwi tarasowych, trzymając dłoń na klatce piersiowej. Właśnie tak, Wera. Wdech i wydech. Na twoją twarz wpływa chyba nawet niepewny uśmiech. Bardzo dobrze. Uspokój się. Lubię, kiedy jesteś spokojna.

Spuszczam dłoń niżej i sprawdzam, czy nóż jest na miejscu. Świadomość, że mam go przy sobie, wzmacnia mnie i osłabia jednocześnie.

Od dziś wszędzie zabieram go ze sobą. Ma stalową rękojeść i grafitową osłonę. Jego falista krawędź tnąca jest wyjątkowo ostra. Sprzedawca chwalił ten model, przyglądając mu się z błyskiem fascynacji w oczach.

Właściwie to nie wiem, jak się go dokładnie używa, ale wielu ludzi, którzy zasztyletowali kogoś pierwszy raz, nie trenowało tego wcześniej, prawda? A jednak im się udało. Zabili. Widocznie te noże są tak skonstruowane, żeby można było dokonać tego bez większych trudności.

Pragnę zrobić coś potwornego i to pragnienie mnie przeraża. Będziesz cierpiała, Weroniko, ale to musi się stać.

Spoglądasz na rozświetlone okna domu, jakbyś chciała tam już wrócić. Możesz to zrobić, dziś już nie będę cię nachodzić. Wszystko poszło nie tak, cóż, wciąż jestem na rauszu i trochę nie panuję nad ruchami. Kto to wiedział, że te stare gałązki leżące na

ziemi tak głośno zatrzeszczą, gdy się na nie nadeptnie? Spadło ich trochę ostatnio z tej spróchniałej czereśni. W ciągu dnia staram się je omijać, ale w nocy nie widzę ich wyraźnie.

Tak czy inaczej, trochę mnie rozczarowałaś. Miałaś wypić swój lek, żeby mocniej spać. Wtedy nic by cię nie ruszyło. Masz ten specyfik ciągle w szafce, pamiętasz jeszcze o nim? To było zabójstwo w imię moich odwiedzin w twoim domu. Nie lekceważ tego. Nie próbuj się przede mną bronić, bo pożałujesz. Tak jak ona.

Rozdział 7

Serce wciąż trzepocze mi w piersi. Trzymam dłoń na klatce piersiowej i patrzę na Brunona Lire, próbując dojść do siebie.

Gdy mnie dotknął, odskoczyłam od niego jak poparzona, mój krzyk przypominał skrzek zranionego ptaka. Okropny dźwięk, którego teraz trochę się wstydzę. Od razu się od niego oddaliłam. Stoję oparta plecami o chłodną, chropowatą ścianę domu i słucham jego tłumaczeń, zła na siebie za tak paniczną reakcję.

Przecież przemknęło mi przez myśl, że może Lira ma z tym jakiś związek, a zareagowałam na niego jak szalona kobieta. W pierwszej chwili jednak, gdy się odwróciłam, a światło latarki rozjaśniło jego twarz od dołu, wyglądał jak wampir. Lira ma mroczną, wyrazistą urodę, szczególnie intrygujące oczy otoczone fasadami gęstych czarnych rzęs.

– Zapewniam panią, że nie chodziłem po ogrodzie – powtarza, gdy mówię mu, że usłyszałam jakieś podejrzanе dźwięki dobiegające z dworu. – Przyszedłem tu, bo usłyszałem pani wołanie. „Halo”, czy coś takiego. Odsłoniłem na moment zasłonę i zobaczyłem światło latarki w ogrodzie.

– Ktoś się po nim kręcił, usłyszałam trzask gałęzi, przekleństwo. Zobaczyłam kogoś.

– Kogo?

– Ktoś stał przy żywopłocie.

– Tu, w ogrodzie?

– Wydaje mi się, że po zewnętrznej stronie.

– Nie, ja nic nie widziałem. – Spogląda na spowite ciemnością nasadzenia. – Usłyszałem tylko panią, ale wcześniej malowałem ze słuchawkami na uszach, dopiero chwilę temu je ściągnąłem. Zaraz potem dotarł do mnie pani głos.

Sięga dłonią pod długą bluzę, chyba sprawdza coś w tylnej kieszeni jeansów. Wygląda, jakby przed momentem je założył. Zauważyłam, że szlufka od paska wisi niezapięta.

Przez moment analizuję, czy to możliwe, żebym to jego twarz ujrzała nad ogrodzeniem. Szybko odrzucam jednak tę opcję, ganiąc się w duchu za to, że nachodzą mnie bzdurne przypuszczenia.

– Co pani dokładnie zobaczyła? – Robi krok w moim kierunku.

– Zobaczyłam kogoś, był blady, nieruchomy, nad krzewami z tyłu ogrodu.

– Czyli możliwe, że ten ktoś był poza ogrodem, nie wszedł tu.

– Mam nadzieję, że tak było.

– Z tego, co kojarzę, za ogrodzeniem jest nieduży park, może ktoś tam był?

– To nie jest park. Przynajmniej nie taki park, o jakim pan mi ostatnio opowiadał.

Unosi brew. Wydaje się zadowolony, że zapamiętałam naszą rozmowę.

– To stary, zapuszczony zagajnik – mówię dalej. – Nikt się po nim nie kręci, nawet za dnia, nigdy. Nie ma tam ścieżek i ławeczek, nie ma tam niczego, tylko zapuszczone krzewy i suche drzewa.

– Pani jednak kogoś zobaczyła.

– Nie jestem pewna, co widziałam. Wydaje mi się, że ktoś tam był. Ale to przecież niemożliwe, żeby od razu zniknął, prawda?

– Może wciąż tam jest? – ścisza głos i kiwa głową w kierunku zarośli. – Sprawdzimy?

Włączam ponownie latarkę. Na szczęście działa. Gdy upadła na kafle, wyturlała się z niej jedna bateria, ale znalazłam ją i włożyłam na miejsce.

– Szkoda płytki – mówi Lira, wskazując dłonią na obtłuczoną krawędź kafla przy zejściu do ogrodu.

Wracam pamięcią do tych jego pytań o paproć z mieszkania i utwierdzam się w przekonaniu, że jest bardzo spostrzegawczy.

– Może da mi pani latarkę? Pójdę pierwszy – proponuje.

– To miło z pana strony, ale ja pójdę pierwsza. Znam lepiej ten ogród.

– Nie jest pani zimno? Może dam pani bluzę? Mam pod spodem jeszcze koszulkę.

Spoglądam w dół na swoją koszulę nocną i widok, jaki dostrzegam, sprawia, że drętwieję z zakłopotania. Nie sądziłam, że materiał jest tak cienki. Chłodny wiatr zrobił swoje. Wyciągam do niego dłoń, bez słowa czekając, aż ściągnie bluzę. Szybko rozpina zamek i zwinnie ją z siebie zdejmuję. Natychmiast się nią okrywam, wciągając zapach jego morskich perfum. Ich woń jest zupełnie inna niż tych używanych przez Kubę. Gdyby nie ciekawość tego, co jeszcze zastanę w swoim ogrodzie, pewnie czułabym się skrępowana świadomością, że mam na sobie bluzę obcego faceta. Tymczasem podwijam za długie bawełniane rękawy i wchodzę do ogrodu, słysząc za sobą kroki Brunona.

Nie wiem, czy ten artysta będzie w stanie zareagować, jeśli wydarzy się coś złego, ale świadomość, że ktoś jest tu teraz ze mną, dodaje mi otuchy. Mój niepokój rozkłada się na dwie osoby.

Potem do głowy wpada mi myśl, że Walewska miała przecież z nim rozmawiać. Coś się policjantce w nim nie spodobało. Wiedział, że antresola „nie jest wysoko”.

Gdy kroczy za mną w kierunku ogrodzenia, myśli na jego temat nie wydają się jednak obciążające. Przesuwają się w mojej głowie jak obłoki płynące po niebie. Nieszkodliwe, oddalone. W tej chwili odnajduję w sobie zaufanie do tego mężczyzny. Nie mam pojęcia, co jest jego źródłem, ale ponoć w sytuacji zagrożenia zawiera się z ludźmi nieme

przymierze. Powiedzmy, że coś takiego, choć bardzo wąskiego, pojawiło się teraz między nami.

– W ogrodzie na pewno nikogo nie ma – mówi.

– W ogrodzie nie ma – powtarzam, akcentując wyrażenie „w ogrodzie”.

Teraz jestem o tym przekonana, choć na pozór nic się nie zmieniło. Wiatr wciąż kołysze przeredzonymi koronami drzew, huśtawka lekko skrzypi, a trawa drażni skórę stóp. Zmierzam jednak do laurowiśni. Do miejsca, w którym zobaczyłam tę jasną jak księżyc twarz.

Chcę sprawdzić teren za nią, czyli odcinek zagajnika przylegający do mojego żywopłotu.

Parę kroków przed krzewem ponownie truchleję. Jakbym zbliżała się do jaskini smoka. Nie przerywam jednak marszu, zatrzymuję się dopiero w chwili, gdy drobne liście krzewu ocierają mi się o bluzę.

Ich nieprzyjemny zapach drażni moje nozdrza, gdy ostrożnie pochylam się do przodu i oświecam latarką białe pnie brzóz zagajnika. Woń nie jest mocna, ale jakby stęchła, kojarzy się z zapachem gorzkich migdałów.

Głowa Liry pojawia się teraz obok mojej i oboje lustrujemy brzeg zagajnika. Pod samą siatką nie ma żadnych zarośli, tylko ziemia przykryta suchymi liśćmi. Samo ogrodzenie jest sfatygowane, ale nie bardziej niż u sąsiada. Postanawiam, że gdy tylko odłożę trochę pieniędzy z wynajmu mieszkania, od razu wymienię siatkę na wyższą i sztywniejszą.

– Zdaje się, że nikogo tutaj nie ma – stwierdza Lira.

– Na to wygląda.

W chwili, gdy wypowiadam te słowa, dostrzegam jakiś ruch, nisko, między wąskimi pniami brzóz.

– Widziałeś? – pytam szeptem.

– Tak.

Ruch się powtarza, przypomina cień o nieregularnym kształcie, zaraz potem dochodzi do niego trzask drobnych patyczków i delikatny szelest, który staje się coraz szybszy. Myśli wypełnia mi demoniczne wyobrażenie bladej twarzy, a dokładnie samej głowy odciętej od reszty ciała, turlającej się po suchych liściach.

Próbuję wycelować wiązką światła w ten cień, ale nie mogę, ciągle pojawia się w innym miejscu. Przedramię mam teraz sztywne, w łokciu czuję mrowienie, przesuwam ręką w prawo, w lewo, skupiając się na tym, by z nerwów nie upuścić ponownie latarki.

– To chyba, to jest... – Słyszę obok siebie głos Liry.

Przeklinam pod nosem. Choć głos mam cichy, to i tak pojawia się w nim drzenie. W końcu cień wyłania się spomiędzy drzew, wpada w światło, którym go śledziłam, a ja

na moment zastygam w bezruchu, by zaraz później odetchnąć z ulgą.

– To sarna – kończy Lira.

Opamiętuję się i gaszę latarkę. Ciemność gęstnieje. Przez chwilę wsłuchuję się w desperacki bieg oślepionego zwierzęcia. Oddala się od nas szybko, z determinacją.

Potem zapada kojąca cisza. Zagajnik wydaje się teraz pusty, bez życia. Dociera do nas, że dalsza jego obserwacja nie ma sensu. To tak, jakbyśmy wpatrywali się w opuszczone kurtyny po zakończonym spektaklu.

Wracamy na taras.

– Czasem w nocy też mam różne wizje – mówi Lira.

– Na trzeźwo?

– Nie, z reguły gdy się czymś wzmocnię.

– Ja się niczym nie wzmacniałam.

Żegnamy się pod moimi drzwiami tarasowymi. Oddaję mu bluzę i dopiero teraz, gdy powoli schodzą ze mnie emocje, czuję, jak zimno jest na dworze. Uszy pieką mnie od uderzeń chłodnego wiatru, kark mam sztywny i obolały.

Wchodzę do domu, zamykam za sobą drzwi. Z jednej strony cieszę się, że w zagajniku nie zobaczyłam niczego niepokojącego, z drugiej – wzdrygam się na wspomnienie tej bladej twarzy ujrzanej nad krzewem. Niestety, od czasu do czasu zdarzają mi się lekkie halucynacje, szczególnie wtedy, gdy źle sypiam. To dlatego tak bardzo pilnuję regularnych drzemek.

Rozdział 8

– To mógł być każdy, Weronika.

– Nigdy tam nikogo nie widziałam.

– Choćby jakiś pijak kręcący się po zagajniku.

Rozmawiam przez telefon z Kubą, jednocześnie szykując się do wyjścia z domu. Matka zadzwoniła rano i zaprosiła mnie na obiad. Często w niedzielę odwiedzam rodziców. Domyślałam się, że dziś będziemy rozmawiać tylko o tym, co wydarzyło się w piątek.

– Sama powiedziałaś, że zawołałaś „halo”. To mogło przykuć czyjąś uwagę – sugeruje.

– Teraz nie wydaje się to już takie przerażające, ale w nocy było inaczej.

– Sprawdziłaś rano ogród?

– Oczywiście, poszłam tam zaraz po przebudzeniu. Nie zauważyłam niczego podejrzanego. To znaczy niczego oprócz tej nieszczęsnej tui w rogu, ale nie wyglądała na bardziej zniszczoną niż ostatnio.

– Mogłem u ciebie zostać, żałuję, że tego nie zrobiłem.

– W porządku, poradziłam sobie.

Próbuję brzmieć obojętnie, ale w rzeczywistości rozczarował mnie tym, że się wymknął, gdy zasnąłam. Co prawda nie miał obowiązku zostać, ale byłoby miło, gdyby jednak to zrobił.

– W to nie wątpię, ty sobie zawsze radzisz.

– Nie mam wyboru.

Podchodzę do lustra i palcami prawej ręki rozcieram na twarzy podkład. Najwięcej nakładam pod oczy, bo zagnieździły się pod nimi sińce. Mam do nich tendencję. Odziedziczyłam to po matce, która wydaje się z tego szczególnie zadowolona. Doradza mi spokojnym ciepłym tonem, co robić ze skórą pod oczami. Plasterki ogórków, okłady z zimnych skórek ziemniaków.

„To normalne u wszystkich kobiet z naszego rodu”. Macha ręką, gdy widzi je na mojej twarzy. „Miała je babcia i jej siostra, mam je ja, a teraz ty”.

Mama akceptuje we mnie tylko te rzeczy, które ewidentnie odziedziczyłam po niej. Może dlatego, że je zna i wie, jak sobie z nimi radzić. A gdy już pojawia się we mnie coś obcego, jest to przez nią natychmiast odrzucane, wypierane.

Barkiem przyciskam telefon do ucha i wiążę włosy w kucyk.

– À propos braku wyboru – mówi. Kuba – Jutro mam ten wyjazd do Warszawy. Chciałem to, cholera, przełożyć, ale nie da się.

– Pamiętam, mówiłeś mi o tym.

Przypominam sobie też to, co powiedział o swoich przełożonych, którzy najpierw składają kondolencje, a po minucie wypytują o wyniki analiz finansowych.

– Wracam za trzy dni.

– OK – odpowiadam dość powściągliwie.

– Mam straszne wyrzuty sumienia w związku z tym wyjazdem, Wera.

– Nie musisz, Kuba, ja...

– Pozwól mi dokończyć – wchodzi mi w słowo. – Wiem, że sobie poradzisz, jesteś silną kobietą. Jeśli jednak zabraknie ci sił, zadzwoń. Pomogę, przylecę. Zrobię, co trzeba.

Przewracam oczami do swojego lustrzanego odbicia. Znowu korpopadka.

– Dzięki, Kuba.

– To ja dziękuję. Wszystko ci wynagrodzę, gdy wrócę – ścisza głos, jak to ma w zwyczaju. Niemal wyszeptuje te słowa do słuchawki rozerotyzowanym tonem. Dobrze wiem, co się za nim kryje.

Jeszcze parę dni temu czułam go w najbardziej newralgicznych punktach ciała, przypominały mi o smaku jego pocałunków, o dotyku jego zwinnych palców.

Dziś jednak jest inaczej. Słuchając go, czuję w sobie opór, jakbym straciła do niego zaufanie. Zanim zaczęłam się malować, wyrzuciłam do śmieci pomarańczową kartkę, którą przykleił do mojej poduszki. Mam przeczucie, że jeśli zwiążemy się na poważnie, wkrótce zaklei nimi całe nasze życie.

– Super – odpowiadam.

– Jesteś zła – osądza po kilku sekundach milczenia.

– Nie, nie jestem.

– Wiem, kiedy jesteś.

– Kuba, mam teraz większe problemy na głowie niż bycie złą.

Wzdycha do słuchawki.

– Przepraszam. Tak bardzo chciałbym z tobą być, wiesz, być bardziej.

– To czemu nie jesteś?

– Nie mogę – mówi to tak, jakby miał ku temu ważny powód. – Jak wrócę, to porozmawiamy, OK?

– Co się dzieje, Kuba?

– Nic. Po prostu chcę ci powiedzieć coś ważnego.

– To powiedz teraz.

– Nie przez telefon.

– Z czym to jest związane?

– Wera, naprawdę nie chcę burzyć tego dnia. Jak powiedziałaś, masz teraz dużo problemów, a ja też muszę się dziś pakować, pozałatwiać jeszcze trochę spraw. Porozmawiamy po moim powrocie, dobrze? Wszystko zrozumiesz.

Jego ton robi się coraz poważniejszy. Pod jego wpływem mam już przed oczami mroczne wizje tego, co chce mi powiedzieć. Wyprowadza się z Oławy, zrobił coś karalnego albo – najgorsze – jest zamieszany w sprawę śmierci Lucyny.

Przełykam ślinę. Zdobywam się już tylko na krótkie:

– W porządku.

– Dzięki za wyrozumiałość. Trzymaj się. Napiszę z Warszawy.

– OK, cześć.

– Cześć.

Odsuwam telefon od ucha i mruczę pod nosem, że wszystko się sypie. Co takiego Kuba chce mi powiedzieć? Najgorzej jest zostawić człowieka w niepewności. Czuję się tak, jakby Kuba otworzył przede mną drzwi, przez które jednak nie wolno mi przejść.

Zamyślona spoglądam na zegarek w telefonie. Dochodzi wpół do dwunastej. Mam jeszcze pół godziny do obiadu. W niedzielę matka podaje zupę już w południe.

Gdy wsiadam na rower pod domem, na policzek spada mi pierwsza kropla deszczu. Po niebie ciągną się posępne chmury przypominające kłęby dymu. Mam nadzieję, że dojadę do rodziców, zanim rozpada się na dobre. Pokonuję tę samą trasę co zawsze – najpierw asfaltową ulicę między domkami jednorodzinnymi. Potem wjeżdżam na szerszą drogę i mijam wąskie wejście do zagajnika sąsiadującego z moim domem – tym razem widzę go z drugiej strony. Szczeciny wysokiej suchej trawy, dalej brzozy i kawałek dużej polany, w tej chwili ledwie widoczny. Przysłania go sucha złamana gałąź.

Zatrzymuję się tu na moment i patrzę na drzewa, odtwarzając w głowie wspomnienia z minionej nocy. Twarz ujrzana nad krzewem laurowiśni zagnieździła się w mojej głowie i ćmi niczym lekka migrena.

Nagle coś zauważam w oddali, na polanie. Ktoś tam stoi, jakiś mężczyzna. Ma gęste czarne włosy, jest średniego wzrostu. Odwraca się w moją stronę i wkracza na ścieżkę prowadzącą do wyjścia, czyli do mnie. Teraz widzę go w całej okazałości. To Bruno Lira.

Na jego widok zaczynam się denerwować. Jakbyśmy w nocy wspólnie zrobili coś niestosownego. Tak teraz odbieram naszą przechadzkę po moim ogrodzie, obserwację zagajnika i strach związany z wędrującą między drzewami sarną.

Najchętniej odjechałabym stąd, nie wchodząc teraz w żadną interakcję z tym mężczyzną, ale nawiązaliśmy już kontakt wzrokowy, Lira nawet niepewnie skinął mi głową na powitanie. Odpowiedziałam identycznym gestem i tym samym nawiązała się między nami nić porozumienia, której po nocnych przeżyciach związanych z tym zagajnikiem nie powinno się przerywać. Poza tym Lira wygląda tak, jakby chciał mi coś

powiedzieć. Czekam zatem z jedną stopą opartą na pedale, drugą mam wbitą w ziemię. To na niej spoczywa ciężar mojego ciała i roweru.

– Dzień dobry – wita się, gdy jest parę kroków ode mnie.

„Ma na sobie tę samą bluzę co wczoraj”, myślę. Zapamiętałam te srebrzyste troczki.

– Dzień dobry – odpowiadam.

Nie odważyłabym się tutaj teraz wejść, ale może jest to związane z tym, co zobaczyłam w nocy.

– Co pan tu robi?

– Nie mogłem się powstrzymać po naszym nocnym śledztwie – wyjaśnia z uśmiechem.

Fakt, że tak swobodnie nawiązuje do minionej nocy, sprawia, że robi mi się lżej.

– Odkrył pan coś ciekawego poza śladami sarny?

Też się uśmiecham, choć głęboko w środku odczuwam lekki niepokój.

– Nawet śladów sarny nie znalazłem. Deszcz i wiatr zrobiły swoje. To miejsce naprawdę wygląda na opuszczone. Można by tu spokojnie zakopać czyjeś zwłoki bez obaw o to, że zostaną kiedykolwiek odnalezione.

Na dźwięk słowa „zwłoki” lekko się wzdrygam.

– Proszę nawet tak nie mówić, i tak mam wystarczająco wrażeń związanych z tego typu sprawami.

– Jasne, przepraszam – reflektuje się. – W ogóle, może przejdziemy na „ty”?

Przypominam sobie, że wczoraj zwróciłam się do niego bezpośrednio, gdy pochylaliśmy się nad laurowiśnią i obserwowaliśmy zagajnik.

– W porządku – odpowiadam. – Weronika.

Podchodzi i ściska mi dłoń.

– Bruno.

Wiatr przywiewa do mnie zapach jego perfum, ogarnia mnie dziwne poczucie bliskości z tym człowiekiem.

– Byłeś na komisariacie?

Pytam o to mimowolnie. Może dlatego, że wypada coś w tej chwili powiedzieć, przykryć chwilową niezręczność związaną z przejściem na bardziej bezpośrednią relację, a może dlatego, że noszę to pytanie w sobie od wczorajszego poranka.

– Tak.

Mruży oczy, pewnie zastanawia się, skąd o tym wiem.

– Policjantka prowadząca śledztwo wspominała, że będzie chciała z tobą porozmawiać.

– Rozmawialiśmy. Nie powiedziałem jej zbyt wiele. – Drapie się po karku. – Chyba nie była w pełni zadowolona, ale co ja mogę wiedzieć. Mieszkam tu od dwóch dni.

– Też jej wspominałam, że dopiero co się wprowadziłeś.

– Myślę, że to wręcz przemawiało na moją niekorzyść. Pytała, dlaczego postanowiłem zamieszkać w Oławie, skoro całe życie jestem związany z Wrocławiem. – Przysuwa podbródek do szyi i wybałusza oczy, jakby był zniesmaczony. – Dziwna kobieta – dodaje.

Wracam myślami do tego, co przeczytałam o Walewskiej wczoraj. Mikołaj Borewski groził jej średniowiecznym mieczem, na jej oczach został zastrzelony.

Mam wrażenie, że przez tego typu doświadczenia Walewska widzi wszędzie zło, nawet gdy nikt inny tego nie rozumie. Potem przeszywa mnie dreszcz strachu. A co, jeśli jej podejście jest właściwe?

– Na pewno podejrzliwa – odpowiadam.

– Zachowywała się tak, jakbym to ja zepchnął tę kobietę z antresoli, przecież to niepoważne. Najprawdopodobniej spadła sama – mówi słabym głosem.

Myśl, że Lira mógłby być zamieszany w jej śmierć, mnie przeraża.

– Ale że od razu zginęła. – Potrzęsa głową.

– Skąd wiedziałeś, że antresola nie jest wysoko? – pytam wprost. – Przecież nie byłeś nigdy u mnie.

– Jak będziesz zadawać takie pytania, uznam, że teraz to ty masz mnie za oprawcę swojej uczennicy.

Spogląda na mnie wymownie, ale po jego ustach znowu błąka się uśmiech. Tym razem go nie odwzajemniam.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś bywał u mnie od lat.

– Widziałem przez okno.

– Jest zasłonięte firaną. Nie widać przez nie niczego wyraźnie.

Bruno patrzy na mnie tak, jakby właśnie dotarło do niego, że już wcześniej rozważałam wszystkie możliwe warianty odpowiedzi na to pytanie.

Jego odczucia są słuszne. Od dwóch dni magluję w głowie sprawę śmierci Lucyny Kos. Chyba każdy na moim miejscu nieustannie by o tym rozmyślał.

– Wyszedłem na papierosa, gdy pojechałaś gdzieś rowerem. Chodziłem po ogrodzie, musiałem się przewietrzyć. Drzwi tarasowe nie są zasłonięte firaną. To przez nie widziałem antresolę. Cały salon właściwie. – Ostatnie dwa słowa wypowiada ciszej. Potem spuszcza wzrok, jakby wstydził się swojej obserwacji. – Pamiętam, że zgodnie z umową najmu nie wolno mi korzystać z ogrodu, ale ciężko mi było się powstrzymać. Jest ciekawy, a ja lubię takie miejsca – tłumaczy się i unosi wzrok.

– Mój ogród jest ciekawy?

Zadaję to pytanie, a potem tego żałuję, bo znowu zaczynam czuć, że wkraczamy na ten cienki, artystyczny grunt, na którym błyskawicznie zwięza mi się wachlarz odpowiedzi. Zaraz pewnie zacznie opowiadać o malarstwie i o tym, jak pięknie

wyglądałaby na płótnie spróchniała czereśnia. Tak jak ten park, w którym są tylko ci, którzy mają w nim być.

– Myślę, że kryje się w nim jakaś ciekawa historia.

Przypominam sobie, jak wiele lat temu wchodziłam na kruche gałęzie czereśni, ignorując prośby Idy, żebym tego nie robiła, zrywałam najładniejsze owoce, lubiłam te niedojrzałe. Antoni czasem do nas podchodził, asekurował mnie z papierosem w ustach. Dużo palił, dużo pił, mówił mało, z reguły tylko obserwował otoczenie. Właśnie to łączy go z Brunonem. Jakaś tajemnica kryjąca się w jego bystrych oczach.

Prawdziwa historia kryje się za drzwiami mieszkania, które wynajmuje ode mnie Lira, ale nie mam odwagi, żeby mu o niej teraz opowiedzieć.

– Wszyscy widzimy to, co chcemy zobaczyć – zauważam.

– Nie inaczej.

Patrzy na moje włosy, jakby śledził każdy ich odcinek, od nasady, aż po końce opadające swobodnie na ramiona. Sunie po nich wzrokiem, co chwilę zatrzymując go niżej i niżej.

Nie mogę znieść tego spojrzenia i wreszcie odwracam wzrok.

– Muszę już jechać – mówię.

– Tak, ja też mam dziś mnóstwo pracy.

– W niedzielę?

– Obraz sam się nie namaluje.

– Co teraz malujesz? – pytam odruchowo, chyba bardziej z przyzwyczajenia.

– Portret. – Wzrusza ramionami, jakby to było oczywiste.

– Portret – powtarzam, po czym, nie dopytując już o szczegóły, ruszam rowerem w dalszą drogę.

*

Matka ściąga pokrywkę z wazy i nalewa mi barszczu do miski. Tato już je, on zawsze dostaje pierwszy. Myślałam, że gdy tylko wejdę do rodziców, zostanę zasypana pytaniami o Lucynę, ale rodzice nie odzywają się prawie w ogóle, jakby w tej chwili najważniejsze było zjedzenie ciepłej zupy. Ten temat wisi jednak w powietrzu, męczy, nie pozwala się odprężyć. Z reguły rozmawiamy przy stole o tym, jak każdemu minął tydzień, tym razem jednak nie mówimy nic. Słysząc tylko brzdęk sztućców i głos komentatora sportowego płynący ze ściszonego telewizora.

Jestem bardziej senna niż zawsze, dobrze wiem, że to przez zarwaną noc i moją wędrówkę po ogrodzie. W jednej chwili wydaje mi się, że trochę sobie to wszystko wyolbrzymałam, w drugiej niemal sięgam po telefon, pragnąc opisać całą tę sytuację

Walewskiej lub Wójcikowi. Nie robię tego, bo nie mam pewności, że ktoś wszedł do mojego ogrodu. Najprawdopodobniej wszystko wydarzyło się poza nim. Tak jak powiedział Kuba, to mógł być jakiś pijak. Co prawda nigdy nikogo nie widziałam w tym zagajniku, ale taka opcja z pewnością istnieje.

– Wczoraj rozmawiałam z Dagmarą, kuzynką Lucyny – mówi nagle matka.

– Z jaką Dagmarą? – pytam. – Nie znam żadnej Dagmary – dopowiadam.

– Ma działkę w alejce sąsiadującej z nami. Nie wiem, czy ją kojarzysz, taka wysoka brunetka. Poznałam ją na spotkaniach w domku działkowca.

Miga mi w głowie szczupła kobieta z krótkimi czarnymi włosami, z dużym pieprzykiem na czole.

– Nieważne – stwierdzam. – Co mówiła?

– Zadzwoiła do mnie wieczorem. Najpierw pytała, co się dokładnie stało, próbowałam jej wytłumaczyć. Powiedziała, że Lucyna zrobiła się ostatnio bardzo nerwowa, dziwnie się zachowywała. Ponoć pokłóciły się tuż przed jej śmiercią.

– O co się pokłóciły?

– Dagmara powiedziała ich wspólnej koleżance, że Lucyna ma problemy w pracy, i Lucyna się o to wściekła. – Matka rozkłada ręce, w prawej trzymając łyżkę. – Wyszła z kawiarni bez słowa, nie zapłaciła nawet za swoją kawę. Dagmara powiedziała, że pierwszy raz widziała ją w takim stanie.

Matka wyciera kciukiem kąciki ust i spogląda w okno.

– Nie wiedziałam, że miała problemy w pracy – ciągnie.

– Nigdy by ci nie powiedziała – wtrąca się nieoczekiwanie ojciec.

– Nie byliśmy aż tak blisko – odpowiada matka.

Słyszając to, wspominam łzę Lucyny toczącą się po policzku podczas ostatnich zajęć, bezsilność wobec nowych zagadnień z języka angielskiego. Mnie wspomniała kiedyś o tym, że boi się stracić pracę. Czy to oznacza, że byłam z nią bliżej niż moja matka?

– Walnięta baba i tyle – podsumowuje tato i macha ręką. – Dbała tylko o pozory.

– Ja tego tak nie odbierałam. Dla mnie była dobrą sąsiadką z działki i to jutro powiem na komendzie.

– Wezwali cię? – pytam, a łyżka wyslizguje mi się z dłoni i upada na krawędź miski.

– Tak – odpowiada matka. – Wczoraj po południu zadzwoniła do mnie sympatyczna policjantka i zapytała, czy nie mogłabym jutro podjechać na komendę.

„Sympatyczna”, powtarzam w myślach. To nie mogła być Walewska.

– Jak się nazywała, pamiętasz?

– Edyta jakaś. Nie wiem, miły, ciepły głos.

– Walewska? – podsuwam.

– O właśnie, fajna dziewczyna.

Na to nic już nie odpowiadam, tylko wracam do jedzenia zupy.

Matka mówi dalej:

– Mam nadzieję, że to rutynowe przesłuchanie. Na zdrowy rozum – śmieje się nerwowo – jaki ja mogę mieć związek z tym, co się stało?

– Przesłuchują wiele osób.

– Najgorsze jest to, że ty nic nie widziałaś – mówi nieco ciszej, nie patrząc na mnie.

– Spałam, kiedy przyszła. Codziennie śpię.

Matka nie odpowiada, słyszę tylko, jak wciąga głośno powietrze.

– Na pewno będą chcieli pobrać od ciebie odciski palców – mówię. – Przygotuj się na to.

– Gdzie ja je niby miałam zostawić? – unosi głos. – Na Lucynie coś znaleźli?

Tato przewraca oczami.

– W domu pewnie jest ich pełno, chcą je wykluczyć – tłumaczy spokojnie.

– To twoje też powinni sprawdzić – odpowiada mu matka. – A ciebie nawet na komendę nie wzywają.

– I bardzo dobrze. – Tato unosi dłonie w obronnym geście. – Jeszcze mnie by tam brakowało.

Matka w przyпіływie jakiegoś niezrozumiałego sprzeciwu wstaje od stołu, z impetem szurając krzesłem.

Do chwili, gdy powiedziałam o tych odciskach palców, była spokojna, później coś się zmieniło. Być może przez tę informację powstało w jej głowie nowe wyobrażenie tego przesłuchania, niestety, mniej przyjazne.

Zostajemy w dużym pokoju z tatą sami. Mam ochotę opuścić już mieszkanie rodziców, wrócić do siebie, zanim znowu zmorzy mnie sen. Zawsze gdy muszę się położyć u rodziców spać, czuję się jak oszustka. Przez to, że matka nie wierzy w moją chorobę, wychodzę na zmanierowaną kobietę, która chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Omijam zatem tę sferę, jeśli to możliwe. Gdy wczoraj rano zdrzemnąłam się tu na chwilę, po przebudzeniu dręczyło mnie poczucie winy. Nie chcę znowu słyszeć komentarzy typu: „Ona wiecznie śpi”.

Zjadam jednak z rodzicami drugie danie, bo po chwili mama wraca z talerzem kotletów, i około trzynastej wyjeżdżam rowerem do siebie, myśląc o tym, czego dowiedziałam się na temat Lucyny. Od roku była nie do zniesienia, zachowywała się nerwowo. Kuba przyjechał do Oławy przed rokiem. Czy jedno z drugim może mieć jakiś niejasny związek?

Znowu czuję się tak, jakbym stała przed otwartymi drzwiami, nie mogąc zrobić ani jednego kroku w ich kierunku. Mam nadzieję, że wszystko niedługo się wyjaśni.

Rozdział 9

„Pani Weroniko, przepraszam, ale dziś mnie nie będzie. W ogóle na razie chciałabym zrobić sobie przerwę”.

Kilkukrotnie czytam wiadomość, którą wysłała mi Judyta, uczennica liceum, ta sama, która oznaczyła mnie pod postem Andrzeja Kosa. W nowym planie lekcji w poniedziałki kończy zajęcia już o 11.30 i umówiliśmy się, że będzie do mnie przychodzić około południa. Długo dyskutowaliśmy nad tym terminem, w zeszłym tygodniu próbowaliśmy znaleźć taki, który będzie dla niej najlepszy.

W odpowiedzi na jej wiadomość mam ochotę zapytać, czy to się łączy z tym, co się stało w piątek, ale w końcu odpisuję tylko „OK”. Pamiętam, że ma nadopiekuńczą matkę, która dzwoni od czasu do czasu, pyta, jakie robi postępy w nauce, być może zabroniła córce do mnie przychodzić. Myśl, że takich wiadomości będzie więcej, mnie mrozi. Ludzie się ode mnie odsuną. Odpycham od siebie ponure wizje. Zjadam muesli z mlekiem, mój pierwszy poniedziałkowy posiłek, choć dochodzi już jedenasta przed południem. Potem dzwonię do matki i pytam, jak poszło przesłuchanie na komendzie. Matka jest zadziwiająco spokojna, mówi, że wizyta przebiegła w miłej atmosferze. „Ta Walewska to naprawdę fajna babka”.

O trzynastej zjawia się u mnie kolejna uczennica, Ewelina. Wita się ze mną normalnie, choć jej sarnie oczy mówią mi, że nie wszystko jest w porządku. Idzie przede mną na górę, ostrożnie, powoli, jakby na kanapie w salonie leżał ktoś, kogo nie chce obudzić.

Czuję do niej dużą sympatię, kiedyś nawet opowiedziałam jej po angielsku o swojej chorobie, co rzadko mi się zdarza. Ewelina jest początkującą copywriterką. Pracuje w dowolnych godzinach. Temat śmierci Lucyny po paru minutach wypływa samoistnie. Jest jak wentyl dla dusznej atmosfery, która rosła między nami w zastraszającym tempie. Ewelina znała się z Lucyną. To Lucyna mnie jej poleciła. Były sąsiadkami z tego samego bloku. Kiwa współczująco głową, gdy opowiadam jej o tym, co się stało. Po krótkiej rozmowie na ten temat lekcja przebiega normalnie. Po wyjściu Eweliny kładę się spać, zadowolona, że w miarę przytomnie dotrwałam do pierwszej drzemki.

Mam straszny sen, w którym ktoś goni mnie nocą przez ogród. Wbiegam do domu, zamykam za sobą drzwi tarasowe, ale ten ktoś napiera na nie z impetem i zamek puszcza. Intruz jest łyсы, z ustami w kolorze bladej skóry, które nie odznaczają się od reszty twarzy. Budzę się chwilę przed budzikiem, złęknona zatapiam się w ciszy otulającej dom, próbuję wyłapać z niej jakieś odgłosy, ale nie słyszę nic podejrzanego –

to działa na mnie zbawiennie. „To był tylko sen”, powtarzam sobie. Powoli się uspokajam. Sięgam po smartfona.

Kiedy spałam, dostałam kolejną wiadomość, dokładnie o czternastej siedem. Napisał do mnie Miłosz. Student informatyki.

„Nie będzie mnie dziś, pani Weroniko, o szesnastej, przepraszam, że tak późno piszę. Możemy nadrobić w przyszłym tygodniu?”.

Drugie zdanie daje mi nadzieję, że to nie jest spowodowane piątkowymi wydarzeniami. Wciąż jestem pod wpływem koszmaru, który mnie nawiedził. Choć bicie serca wróciło do swojego rytmu, moje emocje wciąż są rozchwiane.

Odpisuję mu:

„OK, o jedenastej we wtorek?”.

„Super”.

Schodzę na dół, ubieram się i jadę rowerem do marketu budowlanego oddalonego od mojego domu o jakieś dziesięć minut drogi. Zdażę przed przyjazdem Mateusza, który ma się u mnie zjawić o siedemnastej.

Przemierzając alejkę z zamkami do drzwi, kłódkami i klamkami, czuję się tak, jakbym przekroczyła jakąś mentalną granicę. Chcę zabezpieczyć dodatkowo drzwi tarasowe. Nigdy nie odczuwałam takiej potrzeby. Zamek dość dobrze trzyma, trzeba się postarać, żeby puścić. Ja jednak pragnę się dodatkowo ochronić, jakbym czuła, że naprawdę coś mi zagraża. Uświadamiam sobie, że jakaś część mnie przestaje wierzyć w to, że śmierć Lucyny była wypadkiem, choć właściwie nie ma ku temu racjonalnych przesłanek.

Przez słuchawkę sący się do mojego ucha spokojny głos ojca, mówi, jaki produkt będzie najlepszy. Sam montował coś takiego w altance na działce i zadeklarował, że przyjedzie jutro i mi też założy.

Wracam do domu wyposażona w czarną zasuwę ryglową z mechanizmem sprężynowym.

Zostawiam ją na parapecie, obok drzwi tarasowych. Zaraz potem przychodzi Mateusz.

Na jego widok lekko się spinam, przypominam sobie o tym, z jakim zaangażowaniem proponował mi pomoc w sobotę. To on też powiedział mi o plotce, jakoby Lucyna rzekomo popełniła samobójstwo. Wchodzi do domu i patrzy na parkiet przed kanapą. Jakby dokładnie wiedział, w którym miejscu spadła, choć to miejsce w żaden sposób nie jest oznaczone.

– To tu? – pyta, nie odrywając wzroku od tego miejsca.

– Tak, tu.

Prycha. Nie jest to ani śmiech, ani westchnięcie, coś pomiędzy, jakiś upust bezradności.

– Gdyby spadła na kanapę, pewnie by nie zginęła.

– Możliwe. Ponoć czekają na wyniki sekcji zwłok.

– Weszła przez taras, potem schodami na górę i spadła – mówi, okręcając się na pięcie w kierunku antresoli.

Patrzy na nią teraz, masując się po brodzie.

– Tak. Mateusz, chodźmy na górę. Po lekcji z tobą muszę się położyć spać, a jestem już senna.

Z nim mogę być szczerą, nie muszę udawać, że wszystko jest w porządku. Od piątku moje myśli wciąż krążą wokół jednego tematu.

– To zamek? – Zerka na czarną zasuwkę lśniąca na parapecie.

– Tak.

– Gdzie go chcesz założyć?

– Na drzwiach tarasowych.

– Obawiasz się czegoś?

– Nie, już dawno chciałam go założyć.

– Na drzwiach tarasowych? – uśmiecha się i drapie się po gęstwinie kręconych włosów. – To dość nietypowe.

Nie mam zamiaru mówić mu o tym, że ich blokada jest wadliwa.

– Nieważne – uśmiecham się. – Chodźmy na górę.

Wchodzę na schody, nie czekając na jego odpowiedź, po chwili do mnie dołącza.

– Przepraszam za moją dociekliwość – reflektuje się, gdy siadamy przy stole w gabinecie.

– Nie ma sprawy.

– Po prostu się martwię.

„Zawsze się wszystkim martwiłeś”, myślę i kiwam ze zrozumieniem głową.

Mateusz zsuwa palcem czarnego paprocha, który zawieruszył się na stole. Robi to powoli, w jakimś dziwnym skupieniu. W końcu mówi:

– Ostatnie pytanie i daję ci spokój.

– Tak?

– Nie pytam jako psycholog, tylko jako twój kolega.

– Słucham?

– Czy Kuba ci pomaga? W sensie, czy tu mieszka? Czy przykładowo zamontuje ci ten zamek na drzwiach?

– Wyjechał służbowo do Warszawy, ale spokojnie, to nie jest takie trudne. Trzeba wkręcić sześć śrubek.

Prostuje się w krześle, ściąga łopatki, patrzy przed siebie, niemal tępo, jakby właśnie otrzymał od kogoś cios i był tym nie tyle obezwładniony, ile zaskoczony. Parę dni temu widziałam go pod supermarketem z żoną i synem. Wychodzili ze sklepu z zakupami.

Mateusz wyjął żonie z ręki dużą, wypchaną po brzegi reklamówkę, choć sam niósł już dwie.

– Teraz, kiedy masz na głowie taki problem, on po prostu wyjechał? – dopytuje.

– Ma bardzo absorbującą pracę, zresztą, on już tak ma. Powiedzmy, że jest bardziej zdystansowany.

– Rozumiem, że wasz związek nie jest do końca zrównoważony – mówi.

– A co to właściwie oznacza? – pytam.

Męczy mnie moja niepewna sytuacja z Kubą, świadomość tego, że jednak nie mogę na niego liczyć, gdy naprawdę tego potrzebuję. Wyjechał do Warszawy. Jestem pewna, że gdyby się postarał, nie musiałby tego robić. On jednak, jak zawsze, wybrał pracę.

– Zajmowałem się tym tematem zaraz po studiach: typy związków partnerskich – mówi Mateusz.

– Rozumiem, że teraz jednak powiesz mi coś jako psycholog.

– Zawsze lubiłem twój refleks – odpowiada. – Niestety, nie ucieknę od tego, kim jestem.

– To powiedz mi o tym związku i zaczynamy lekcję. – Spoglądam na zegarek. – Nie chcę, żebyś tracił na mnie czas.

– Nie tracę go, spokojnie. W związku nie zrównoważonym jedna osoba zawsze stara się bardziej niż druga. Zabiega o partnera, choć dostrzega mniejsze zaangażowanie z jego strony. Wierzy, że z czasem to się zmieni, że relacja przestanie się chwiać i dojdzie w końcu do równowagi. Dzieje się to jednak niezwykle rzadko.

Gdy to mówi, przybiera inne oblicze, które znam z jego kanału na YouTube. Nie jest Mateuszem, jakiego pamiętam sprzed wielu lat, ale obcym, dość pociągającym facetem odznaczającym się profesjonalną wiedzą na temat ludzkiej psychiki.

Mam wrażenie, że zajrzał mi do głowy i dokładnie przedstawił to, co dzieje się między mną a Kubą, a właściwie to, co od zawsze działa się w moich związkach z mężczyznami.

– Czasem to jest podyktowane też różnicą osobowości. Jedno jest bardziej zaangażowane, bo ma taki charakter, a drugie mniej – mówię.

– Właśnie w ten sposób tłumaczą to sobie bardziej zaangażowani partnerzy. Różnica charakterów. „On już taki jest”, mówią kobiety. Nie zdają sobie jednak sprawy, że jeśli „on już taki jest”, to będzie taki zawsze, co z czasem może stać się bardzo dokuczliwe. Ludzie podświadomie uciekają od zmian, szczególnie jeśli chodzi o związki. Wolą racjonalizować zachowanie partnera lub wypierać jego niepożądane zachowania, aniżeli zakończyć relację.

– Mam już trzydzieści cztery lata, Mateusz, i ciągle nie mogę ułożyć sobie życia.

– Wiem. – Kiwa głową. – Nie możesz.

– Myślę, że problem nie tkwi w mężczyznach, z którymi się spotykam, tylko we mnie.

– Ja też tak myślę.

Odbieram to jak cios. Dociera do mnie, że oczekiwałam zaprzeczenia. To zaprzeczenie było naturalną kolejną rzeczą, ale Mateusz potwierdził moje słowa. Nasza wspólna przeszłość przybiera nowe, mniej przyjazne oblicze. Do tej pory to ja czułam, że jestem ponad nim, a teraz rozumiem, że z biegiem lat to się zmieniło. Uświadamiam sobie, że on widzi już mnie inaczej, być może w jego odczuciu byłam problemową partnerką, z którą nie dało się dojść do porozumienia.

– Chodzi o narkolepsję, tak? – pytam cicho i wściekam się na samą siebie, gdy zdaję sobie sprawę z tego, jak ważne jest dla mnie to, co odpowie.

On tymczasem kiwa potakująco głową.

– Przejdźmy do lekcji – mówię szybko.

– Weronika...

– Skończmy już ten temat – odpowiadam, patrząc na ćwiczenia z negocjacji cen.

Powietrze staje się ciężkie i gęste, między nami wisi nieznośna cisza, w której słychać tylko skrzypienie krzesła, szelest kartek, mój ciężki oddech, jego szuranie butów pod stołem.

Wyczuwam na sobie jego wzrok, ale udaję, że go nie dostrzegam. „Forma”, powtarzam w duchu, próbując skupić się na kolejnych zdaniach zapisanych pochyłą czcionką na białej kartce. Forma zawsze mnie ratuje. Jest jak drabina wyrzucona z helikoptera, gdy stoję na drżącej ziemi.

Powoli w nią wchodzę, wczuwam się w rytm lekcji, oddalam się od naszej rozmowy. Nie pozwoliłam mu dokończyć, nie chciałam słuchać tego, że choroba może tak bardzo mnie ograniczać. Do tej pory żyłam w przekonaniu, że nadmierna potrzeba snu nie rzutuje na moje relacje z partnerami. Czy, jak to zasugerował, wypierałam rzeczywistość? W tej chwili nie potrafię sobie na to odpowiedzieć. Może gdybyśmy w przeszłości nie tworzyli związku, nie przejęłabym się tak bardzo jego słowami. On jednak powiedział mi to jako psycholog i jako mój były partner. To trochę przytłaczające.

Lekcja przeciąga się do siedemnastej pięćdziesiąt pięć. Potem Mateusz wychodzi. Gdy kładę się spać, w głowie wciąż mam jego skinienie głową, zielone oczy pełne współczucia. Nie chcę dopuścić do siebie możliwości, że to o to w tym wszystkim chodzi. Nie chcę być zależna od czegoś, na co nie mam wpływu.

*

Nazajutrz rano przyjeżdża do mnie ojciec, chce zamontować zamek, ale okazuje się, że brakuje właściwych śrubek. Otwory w zasuwie są większe, niż się spodziewał, musi

przynieść inne, szersze. Wkrętarka leży na parapecie, już naładowana. Tato mówi, że wróci do mnie dziś wieczorem.

Gdy po jego wyjściu robię sobie herbatę w kuchni, dzwoni mój telefon. To Edyta Walewska. Na widok jej imienia i nazwiska lekko się spinam, spokojnie odstawiam szklankę na blat i wciskam zieloną słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, Walewska. Rozmawiam z panią Weroniką?

– Tak.

Chyba siedzi w samochodzie, słyszę szum ulicy, jakiś klakson w oddali.

– Pani Weroniko, czy możemy chwilę porozmawiać?

– Tak.

– Chodzi o drugie odciski palców na drzwiach tarasowych. Jak dotąd nie udało nam się ich do nikogo dopasować.

Wstyd się przyznać, ale tych drzwi nie myłam już dobre dwa miesiące, w ciągu których gościłam w ogrodzie wiele osób.

– Nie wspomniałam o tym wcześniej, ale w lipcu, gdy było gorąco, przyjmowałam uczniów na tarasie. Z reguły to ja obsługiwałam te drzwi, były otwarte wtedy na oścież, ale mogło się zdarzyć, że ktoś ich dotknął. Uzbiera się kilka osób.

– Podała mi pani ich nazwiska na komendzie, czy jeszcze dojdzie ktoś nowy?

– Wszystkich pani podałam, to znaczy nawet więcej niż trzeba, bo podczas wakacji przychodzili do mnie tylko niektórzy.

– Sprawdzanie ich chyba nie będzie miało sensu – mruczy pod nosem.

Zgadzam się z nią w duchu. Nawet gdyby udało jej się dopasować te odciski, to nie wniosłoby raczej nic do śledztwa.

– Czy pani Lucyna też miała lekcje na tarasie? – pyta.

– Tak.

– Może stąd ta śmiałość, żeby w ten sposób dostać się do pani domu. To ważna informacja.

– Tak, istnieje taka możliwość, że dlatego postanowiła wejść od tyłu – odpowiadam z rozmysłem.

– Wciąż nie znaleźliśmy pieniędzy z jej portfela, o których wspominała córka.

– Tego nie umiem pani wyjaśnić.

Policjantka milczy dłuższą chwilę.

– Czy mają już państwo wyniki sekcji zwłok? – pytam.

– Jeszcze nie. Sprawa się przeciągnie do przyszłego tygodnia – odpowiada policjantka.

– Zostały pobrane tkanki do badań histopatologicznych. Rodzina dostarczyła dużo

danych związanych z przebiegiem chorób pani Kos. Nie mogę zdradzać pani szczegółów, ale lekarze muszą sprawdzić kilka rzeczy dokładniej.

– Była chora?

– To wszystko, co mogę pani powiedzieć. Możemy się umówić, że gdy dostaniemy pełną diagnozę, wytłumaczę pani, jaka jest nasza hipoteza, ale teraz niestety nie mogę tego zrobić.

Słyszę w tle, że ktoś ją woła.

– Muszę kończyć, dziękuję za poświęcony czas – żegna się ze mną.

– Do widzenia.

Przymykam oczy i już mam przed nimi sen, choć wciąż jestem tu, czuję twardość krzesła, słyszę swój oddech. Pod moimi powiekami jednak kształtuje się jakaś postać ubrana na czarno, mówi: „Wera”. Głos jest wyraźny, niski, chyba należy do Lucyny Kos. Tak już jest z halucynacjami, szczególnie te słuchowe potrafią być bardzo wyraźne. Choć zdarzają mi się już od tylu lat przed snem lub w trakcie przebudzenia, wciąż się nimi stresuję. Do tych dźwięków i sporadycznych majaków nie da się przyzwyczać. Może dlatego, że gonią rzeczywistość, współgrają z tym, co w danym momencie życia dzieje się wokół mnie. Nie jest to jeden duch, który ukazuje mi się od dziesięciu lat, ale zlepki bieżących wspomnień, nieuchwytnie, wykrzywione, jakby odbijały się w rozbitym lustrze. Rozchylam powieki i wstaję od okrągłego stołu. Nie chcę zasnąć na krześle w gabinecie. Drzwi na dole są pozamykane, sprawdziłam wcześniej. Przechodzę do sypialni i opadam w ubraniu na łóżko. Wtulam się w miękką pościel i uciekam do innego świata.

Wizyta 5

Nie mogę uwierzyć, że chcesz nam to zrobić. Czy to jest naprawdę to, o czym myślę? Miało być tak przyjemnie, a teraz pragniesz odgradzić się ode mnie na dobre. Zamknąć drzwi do tajemniczego ogrodu, zostawić mnie z niczym.

Po tym wszystkim.

Czarna zasuwka połyскуje na szarym parapecie pod oknem jak kawałek onyksu, tuż obok drzwi tarasowych. Dalej są wkrętarka i jakieś śruby. Mam ochotę to zrzucić, wypierdolić do śmieci. Widzę już jakieś ślady ołówka na drzwiach tarasowych, zamontujesz to kurewstwo, żeby czuć się pewniej we własnym domu.

Powiedz mi, czego ty się tak bardzo boisz? Przecież policja już właściwie wykluczyła udział osób trzecich. Ona spadła z tej pieprzonej antresoli sama. Tak myślą. Nic na mnie nie mają. Czemu panikujesz?

Rozumiem, że moja nocna wizyta w weekend była niepotrzebna, ale każdy chyba popełnia błędy, prawda? Ostatnio dużo piję i nie myślę racjonalnie. Tak czy inaczej, nie musisz od razu wykonywać takich agresywnych ruchów, Wera, proszę cię, nie zostawiaj mnie z tym wszystkim.

Tylko u ciebie mogę odpocząć od tego, co się dzieje, a teraz naprawdę nie będę w stanie się do ciebie przedostać. Czy to nasze ostatnie chwile razem?

Wchodzę na górę, po cichu. Nie mam pewności, o której godzinie zasnął. Ostatnio sypiasz mniej regularnie. Choć starasz się pilnować pór drzemek, sytuacja zaczyna cię przerastać. Właśnie wyraźnie mi to pokazałaś. Jakież piętnaście minut temu kręciłaś się jeszcze po salonie, więc wydaje mi się, że dopiero zasnął. Sen powinnaś mieć teraz mocny, mam nadzieję, że jesteś zanurzona głęboko pod powierzchnią rzeczywistości. Z dudniącym sercem wchodzę do sypialni i na twój widok oddycham z ulgą. Rękojeść noża uwiera mnie w biodro. Dopiero teraz dociera do mnie, że to wszystko było bardzo ulotne. Szczęście to szaleństwo, chwila, w której stąkam po linie, nie zważając na to, że w każdej chwili mogę z niej spaść. Próbuję utrzymać równowagę jak najdłużej, ale zawsze pojawia się jakiś problem. Czarna zasuwka.

Podchodzę do twojego łóżka, klękam przy twojej dłoni, przy włosach spiętych niedbale grubą białą spinką i sunę po nich swoją dłonią. Nie reagujesz. Śpisz głęboko.

Przysuwam nóż do twojej twarzy i zastanawiam się, jak wiele jest we mnie odwagi, żeby zakończyć naszą historię tu i teraz. Stawiam się na miejscu tych wszystkich ludzi, którzy zabili z miłości, tłumacząc ofierze:

„Będziesz moja albo niczyja”.

Cały czas jesteś moja, przynajmniej kiedy śpisz, a ty chcesz to bezpowrotnie zakończyć. Grube srebrne ostrze nie pasuje do twojej twarzy, nie potrafię cię nim dotknąć. Przynajmniej na razie. Chyba powstrzymuje mnie nadzieja, że da się to wszystko jeszcze powstrzymać.

Przecież masz jeszcze drugie drzwi. Podnoszę się z kolan. Chowam nóż do pokrowca i z powrotem za pasek jeansów. Schodzę po schodach, wycierając palcami nos. „Jest jeszcze nadzieja”, powtarzam sobie, biorąc do ręki pęk kluczy. Masz tylko jeden zamek w drzwiach zewnętrznych, w środku zamykany pokrętkiem, a na zewnątrz otwierany za pomocą klucza. Który to klucz? Otwieram drzwi i dyskretnie, wysuwając tylko rękę, próbuję po kolei. Trafiam dopiero za czwartym razem. Złoty klucz z czerwoną osłonką. Szukam w szufladach zapasowego, musisz przecież gdzieś coś takiego mieć, prawda? Mieszkaliście tu z ciotką. Powinny być przynajmniej dwa klucze. Znajduję kilka, ale uzębienie wciąż nie pasuje. Gdzie jeszcze możesz to mieć? Zaczynam się coraz bardziej denerwować. Czas ucieka, zaraz muszę zniknąć, obawiam się, że gdy wrócę tu następnym razem, to się do ciebie nie dostanę. Odgradzisz się ode mnie na dobre.

Nie mogę do tego dopuścić. Wracam na górę. Idę do twojego gabinetu. Gdy odsuwam szufladę w biurku, słyszę twoje westchnienie dobiegające z sypialni. Spoglądam na zegarek na ręce. Minęło dopiero piętnaście minut. Przespałaś maksymalnie dwadzieścia pięć, może trzydzieści. Mam jeszcze czas. Czy nie?

Kolejny dźwięk to skrzypienie sprężyny, a potem chrząknięcie i twój zaspany głos mówiący:

– Moja głowa.

Wychodzisz z sypialni. Nie wierzę, że to się dzieje. Ciało cierpnie mi w jednej chwili, mięśnie karku boleśnie się napinają. Przez kilka sekund nie mogę poruszyć szyją. Ty naprawdę się obudziłaś. Zaraz mnie zobaczysz. Patrę na wnękę pod biurkiem, zastanawiając się, czy się zmieszczę. Odpowiedź jest oczywista. Nie, ale spróbuję, bo tylko to mi pozostaje. Twoje delikatne kroki kojarzą mi się z szelestem liści na wietrze, podobnym do tego z tej felernej, sobotniej nocy. Nasłuchuję chwilę i pojmuję, że oddalasz się od gabinetu i sypialni, schodzisz na dół. Nie muszę w tym momencie mierzyć się z tą ograniczoną przestrzenią pod biurkiem. Myślę, że gdybyś tu weszła, to i tak byłby koniec. Mała, wielka śmierć. Teraz słucham twoich kroków na schodach, czując się tak, jakby coś wwierało mi się w żołądek. Jednocześnie patrę na złoty klucz błyszczący w szufladzie biurka. Uzębienie wydaje mi się podobne do oryginału, który został na dole, wpięty w pęk. Chyba leży na komodzie, trochę przesunięty w prawo. Wcześniej był centralnie na środku, ale mam nadzieję, że nie zauważysz.

Jesteś już na parterze, a ja sięgam po znaleziony klucz. Potem chowam go do kieszeni jeansów.

„Najwyżej cię zabiję”, w mojej głowie pojawia się taka myśl. Niech ta męczarnia wreszcie dobiegnie końca. Jeśli mnie nakryjesz, jeśli mnie zobaczysz, to zakończę to tu i teraz. Myślę, że jakaś część mnie chce, żeby to się skończyło.

Słyszę narastający szum. To chyba czajnik elektryczny. Robisz sobie herbatę albo kawę. Musisz być w kuchni. Albo włączyłaś wodę i po cichu się stamtąd wymknęłaś. Jesteś lekka jak piórko. I nagle ten monotony ciągły dźwięk przebija pisk rozbitego szkła. Coś upadło ci na podłogę.

– Kurwa mać! – Dobiega moich uszu.

To przekleństwo przebija mnie jak strzała. Ostro, brutalnie. Ty naprawdę używasz takich słów? Do tej pory wydawałaś mi się eteryczna niczym zjawą, a tu proszę – mocne, polskie „kurwa”.

Łapię się na tym, że gdy jesteś obudzona, wydajesz mi się zupełnie obca. Jakbyś zmieniała się w inną kobietę. Nie jesteś Weroniką, na którą patrzę, wypychając sobie od czasu do czasu dłoń w majtki. Stajesz się kimś zimnym i obojętnym, mniej pociągającym.

Wypieram szybko to spostrzeżenie, bo jest dla mnie zbyt bolesne. Znam cię. Znam cię bardzo dobrze. To, co nas łączy, kiedy śpisz, jest niepodważalne. Ta bliskość ma swoje odbicie w rzeczywistości. Widzę to w twoich pięknych oczach, gdy się spotykamy. Patrzą na mnie i patrzą, jakby próbowały coś zrozumieć. To coś jest zamknięte za drzwiami twojej sypialni.

Najciszej jak się da zasuwam szufladę biurka. To stary mebel i prowadnice nieprzyjemnie skrzypią, na szczęście ty jesteś teraz skupiona na zmiataaniu szkła. Słyszę, jak raz za razem szura po podłodze. Może to dobry moment na ucieczkę?

Gdy powoli wychodzę z gabinetu, czuję między udami intensywny impuls. Odkrywam, że jest naładowany erotycznym ładunkiem. Jeszcze nigdy granica naszej konfrontacji nie była tak cienka.

Wciąż zmiatasz szkło, gdy staję na pierwszym stopniu schodów. Nóż pali mnie w biodro, kładę na jego rękojeści dłoń i stawiam stopę na niższym schodku, plecami przywierając do szorstkiej ściany. To jakiś rodzaj tynku ozdobnego, ale nie podoba mi się ani trochę.

Woda w czajniku bulgocze, wyłącznik strzela. Chyba otwierasz szafkę. Pewnie będziesz sobie robić herbatę lub kawę, mam nadzieję, że przez chwilę będziesz stała przodem do blatu, tyłem do salonu i do drzwi tarasowych. Słyszę szelest folii, jakbyś otwierała nowe opakowanie. Schodzę parę stopni niżej, mój staw kolanowy głośno strzela. Szelest ustaje. Zapada nieznośna cisza, jakbyś usłyszała ten nieprzyjemny dźwięk i pozostając w bezruchu, nastawiała uszu w oczekiwaniu na kolejny odgłos wzbudzający twój niepokój. Zatrzymuję się zatem i czekam, patrząc w dół, na podłogę pod schodami,

a dokładnie na mały dywanik kończący się tuż pod ścianą. Mam przeczucie, że zaraz cię zobacze. Przyjdiesz tu szybkim krokiem i po prostu na mnie spojrzysz. W tak banalny sposób zakończą się moje wizyty w twoim domu.

W pewnej chwili unoszę głowę i mówię sobie w duchu, że co ma być, to będzie. Powraca do mnie ta myśl sprzed chwili, o zabijaniu. Robię zatem następny krok, potem następny, a ty wracasz do szeleszczenia folią.

Jeszcze krok i będę na dole. Waham się parę sekund, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że podłoga płonie i jeśli na niej stanę, to się poparzę. Do tej pory chroniła mnie ściana przy schodach, a parkiet na dole jest odkryty i dostrzegalny z kuchni. Przez chwilę będziesz w stanie mnie zobaczyć. Chyba że jest tak, jak łudzę się, że jest. Stoisz przodem do blatu. Tyłem do salonu. Wchodzę na podłogę. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Oddalone o parę metrów drzwi tarasowe kołyszają mi się przed oczami, wyciągam do nich dłoń, próbując palcami w nie wymierzyć, żeby dojść do nich szybko, sprawnie. Idę. Nie liczy się już to, gdzie jesteś, co robisz. Już nic nie słyszę, a to, co widzę przed sobą, rozmazuje się jak obraz namalowany akwarelami, na który spadło parę kropel wody. Wychodzę cicho, zamykając za sobą drzwi. Zbiegam po schodach. Słyszę rozmowy sąsiadów z boku. Nie mają tarasu, ich dom jest niżej, zasłaniają go tuje.

Biegnę przed siebie, wpadam między krzewy, przeskakuję przez siatkę i upadam na ziemię, zachłystując się powietrzem. Potem się opamiętuję, to nie czas na odpoczynek. Odwracam się przodem do twojego ogrodu i powoli się podnoszę, ale nie tak jak w nocy z soboty na niedzielę. Moja głowa nie wystaje ponad siatkę. Patrę przez szpary między liśćmi laurowiśni, jak wychodzisz na taras z rękami splecionymi na brzuchu. Patrzysz na tuje, a potem powoli, jakbyś się bała, przesuwasz wzrok w moim kierunku. Udaje mi się odchylić w ostatniej chwili. Rzucam się do ucieczki, naciągając na głowę kaptur. Nie wiem, czy mnie zauważasz, to już nieważne, biegnę ile sił w kierunku drzew. Potem omijam jeden biały pień za drugim, jakby były przeszkodami w zawodach. Precyzyjnie, szybko, nie mogę w żaden uderzyć. I wybiegam na drogę. Zwalniam. Zsuwam z głowy kaptur, potem ściągam bluzę, bo ciało mi się topi pod bawełnianym materiałem. Jeszcze nigdy nie było mi tak gorąco. Idę szybkim krokiem przed siebie, czekając na moment, w którym rzeczywistość przestanie kołysać mi się przed oczami. I nagle opadam z sił. Kolana robią mi się miękkie, twarz drętwieje. Schodzę z ulicy, pochłania mnie pole kukurydzy, toruję sobie drogę między przesuszonymi kolbami. W końcu kładę się na nich, przygniatając do ziemi kilka twardych łodyg. Kolby wbijają mi się w plecy, ale to nieważne. Jest mi dobrze, lekko. Patrę na drobne szare obłoki, które wyglądają jak rybie łuski.

Przypominam sobie dzień, kiedy wracaliśmy z Opola samochodem. Ich twarze pogrążone w smutku. Pięknie wyglądali. Byli tacy skupieni na swoim cierpieniu. Pytali,

dlatego ich to spotkało. Wiedzieli już, że nie da się tego powstrzymać. Lekarz był z nimi do bólu szczery.

Dobrze wiem, że nie da się zrobić nic. Ja nie mogę zrobić nic, tylko dać się ponieść przyjemnej fali, odurzającej jak narkotyk.

Rozdział 10

To była prawda czy to było tylko echo kończącego się snu? Będąc w kuchni, usłyszałam trzask drzwi tarasowych. Wyszłam do ogrodu, ale nic teraz nie wzbudza moich podejrzeń. Idę jednak przed siebie, krążę między krzewami, potykam się o pręt huśtawki i prawie upadam, w ostatniej chwili łapię się wbitego w ziemię ceramicznego bociana. Wszystko wygląda normalnie.

Głowę mam ciężką i toporną, ręce zwiotczałe, a nogi drętwe, z trudem stawiam kroki. Spałam niecałe pół godziny, nie mogłam dłużej, bo umysł mam już w miarę przytomny, tylko ciało za nim nie nadąża. Wszystkie dźwięki płynące z rzeczywistości wydają mi się spotęgowane, przed oczami co jakiś czas pojawiają się podłużne cienie, stanowią ciemną ramę dla wszystkich widoków. Z reguły, gdy to się dzieje po przebudzeniu, zostaję jeszcze w łóżku, ale tym razem musiałam wstać. Czułam się dziwnie zagrożona i wydawało mi się, że ruch jest jedynym sposobem na to, by odzyskać poczucie bezpieczeństwa.

Znowu mi się śniło, że goni mnie jakiś człowiek, a ja nie mogę zamknąć się przed nim w domu, bo drzwi tarasowe są zepsute. Ten sen jeszcze nie ulotnił się ze mnie na dobre. Jeszcze tli się w zakątkach umysłu. Nie widzę innego wyjaśnienia.

Będę musiała skontaktować się z panią doktor. Może mi jakoś pomoże? Dobrze wiem, że głównym powodem moich zaburzeń jest to, że ostatnio źle sypiam w nocy. Może muszę wspomóc się środkami nasennymi wieczorem? Mam je w szafce w kuchni. Problem jest taki, że gdy je zażywam, to tracę w nocy kontrolę, a po przebudzeniu nie pamiętam nic z tego, co się działo. Raz obudziłam się w łazience. Doszłam do wniosku, że musiałam wstać w nocy z łóżka, pójść do toalety, a później tam zasnąć.

Po takich nieprzytomnych nocach jednak zawsze lepiej mi się funkcjonuje w ciągu dnia. Umysł jest mimo wszystko wypoczęty i nie potrzebuje tyle snu, nie ma halucynacji. Choć nie mam kontroli nad nocą, zyskuję jej więcej w ciągu dnia. To jest teraz dla mnie bardzo ważne.

Słyszę dziwny jęk dobiegający zza żywopłotu, a dokładnie zza tuj. Klękam przy nich, bo mam wrażenie, że dźwięk płynie z dołu. Za siatką błyska mi para blisko osadzonych oczu. To kot, jest czarny, z przegowanym na rudo pyszczkiem.

Patrzy na mnie wymagająco, wygląda, jakby był głodny. Zerka w dół, a potem znowu zagląda mi w oczy.

– Poczekaj, zaraz ci coś dam – mówię, po czym wstaję. Idę do domu i po chwili wracam do ogrodu z plastikową miską, na której ułożyłam kilka plasterów szynki.

Czasem dokarmiam koty. Nieraz jakiś się przypała i zostaje ze mną na dłużej. Nigdy jednak nie wpuszczam ich do domu, bo mam uczulenie. Gdy przebywam w ich pobliżu w zamkniętym pomieszczeniu, to zaraz wyskakuje mi na rękach pokrzywka.

Kiedy przemierzam ogród z miską w dłoni, w dalszym ciągu rozglądam się czujnie na boki, mam wrażenie, że jestem obserwowana. Unoszę wzrok na okna mieszkania wynajmowanego przez Lire. Zastłony są zaciągnięte. Nigdy ich nie odsłania. Żyje tam jak w jaskini.

Klękam znowu przy tujach. Kot ufnie czeka tam, gdzie go zostawiłam. Zwierzęta są mądre i bez trudu wyczuwają ludzkie intencje. Bez względu na to, czy są dobre czy złe.

Odginam druty siatki na dole i przesuwam pod nimi miskę. Kot od razu wysuwa język i zaczyna lizać plaster szynki. Moją uwagę teraz przyciąga coś innego. Pod drutami siatki widzę coś jasnego i okrągłego. Podnoszę to z ziemi.

– Perła – mówię do siebie i przełykam ślinę.

Wcześniej jej nie zauważyłam, musiała być przysypana drobnymi gałązkami, ale teraz mieni się głębokim szlachetnym blaskiem. Oczyszczam ją palcem z drobinek ziemi i przyglądam się jej uważnie. Jest duża, ma nieregularny kształt, wydaje się unikatowa. Dostrzegam w niej jednak dziurki, dzięki którym można nawlec ją na łańcuszek lub na żyłkę. Wstaję z nią z ziemi i idę szybkim krokiem do domu, do szuflady w kuchni, gdzie włożyłam tę, którą znalazłam w sobotę w łóżku. Tak jak myślałam, są podobne.

Biorę telefon do ręki i dzwonię do Walewskiej. Muszę jej o tym powiedzieć, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie dla przebiegu całej sprawy, ale w tej chwili drżą mi ręce, chyba zaczynam się bać. Znalazłam tę perłę pod tują, o którą policjantka pytała mnie kilka dni temu. A pierwsza leżała pod poduszką w mojej sypialni. Wydaje mi się, że należy to sprawdzić. Walewska nie odbiera. Wybieram zatem numer Wójcika. Słyszę jego głos już po dwóch sygnałach.

– Wójcik.

– Dzień dobry, tu Weronika Krzycka.

– Dzień dobry, z Lustrzanej, tak?

– Tak. Chciałam coś zgłosić. Wcześniej wydawało mi się to nieistotne, ale parę dni temu, a dokładnie rano, po tym, jak pani Lucyna zginęła, znalazłam pod poduszką perłę.

– W sensie koralik? – dopytuje policjant.

– Tak. Jedną perłę, przedziurawioną. Myślałam, że to nic takiego, ale dziś pod tą sfatygowaną tują, o którą państwo pytali, znalazłam drugą, bardzo podobną.

Policjant przez chwilę milczy. Potem pyta:

– Nie wie pani, jak te perły znalazły się w pani domu?

Słowo „perły” wypowiada z dziwnym naciskiem.

– Właściwie nie – odpowiadam, w głowie obracając wspomnienie naszyjnika otrzymanego od Kuby.

Tamte perły były inne, mniejsze. Nie będę o tym wspominać, żeby mu nie mieszać.

– Dobrze, czy będę mógł je od pani przejąć?

– Jasne.

– Dziękuję. To podjadę po nie około osiemnastej, możemy się tak umówić?

– W porządku. Będę czekać.

– Do zobaczenia.

Po tym jak wyrzucam z siebie te wątpliwości, z jednej strony czuję się spokojniejsza, a z drugiej zastanawiam się, czy nie robię z igły widel.

Przed oczami nie mam już tych męczących cieni, słuch też się stabilizuje. To powinno być dla mnie teraz najważniejsze. Dopuszczam do siebie myśl, że te perły mogą nie wniesić nic do śledztwa, ale jednak lepiej mi ze świadomością, że jeszcze dziś przekażę je policji. Teraz zamierzam coś zjeść, potem mam wolne, bo kolejny uczeń odwołał lekcję. Ten chłopak akurat wyjeżdża na dwa tygodnie, o czym informował mnie już wcześniej, więc nie martwię się, że to przez obawy związane ze śmiercią Lucyny.

Przed osiemnastą pojawia się u mnie tato z dobrymi śrubami i montuje na drzwiach tarasowych zasuwkę. Udaje mu się to zrobić już bez większych problemów. Wójcik przyjeżdża o umówionej porze, gdy wypuszczam tatę z domu. Policjant jest sam. Nie ma z nim Walewskiej. W chwili, gdy przekazuję mu perły, czuję się tak, jakbym wręczała mu prezent, którego on nie chce przyjąć, bo nie jest w jego stylu i go nie potrzebuje. Bierze go ode mnie, bo należy to zrobić. Nigdy go natomiast nie użyje. Ma w głowie inną wizję. Może to być jednak tylko złudzenie. Przynajmniej w to staram się wierzyć, gdy zamykam za nim drzwi i dwukrotnie przekręcam korbę zamka. Potem patrzę na zaciągniętą zasuwkę na drzwiach tarasowych i dopada mnie przyjemna lekkość, coś na kształt chwilowego spełnienia. Robię wszystko co się da, żeby trzymać się na powierzchni. Jakbym podświadomie czuła, że pod nią czeka na mnie coś niebezpiecznego.

Rozdział 11

Słońce świeci dziś od rana, dzieci jeżdżą po ulicy na hulajnogach, bez troski i wolne. Jem risotto w kuchni i podglądam ich zabawę przez okno. Niedawno wstałam po pierwszej drzemce. Świat dziś wygląda lepiej niż wczoraj, mam dobry nastrój. W nocy spałam dobrze, choć muszę przyznać, że wspomogłam się środkami nasennymi. Nie chciałam ich brać, ale po pierwszym epizodzie snu, który trwał do dwudziestej trzeciej, obudziłam się i nie mogłam już zmrużyć oka. Przypomniały mi się perły. Myśl o nich wróciła do mnie ze zdwojoną siłą, jak wszystkie problemy, które nocą nabierają mroczniejszego oblicza. Kuba machnąłby ręką i stwierdziłby, że ta druga perła też pochodzi z naszyjnika. Mogła wczepić mi się we włosy, wyniosłam ją w nich do ogrodu i wturlała się pod tuję, albo leżała tam od lat, a fakt, że pasuje do tej pierwszej, to przypadek.

Tak czy inaczej, teraz myślami jestem już przy rozmowie z Kubą. Dzwonił rano. Pytał, czy może przyjechać do mnie o czwartej, czyli za pół godziny. Gdy rozmawialiśmy, wracał już z Warszawy. Zgodziłam się. O tej porze z reguły byłam w trakcie zajęć z Lucyną. Nie wpisałam jeszcze nikogo nowego na jej miejsce, zresztą w tym tygodniu mam mniej lekcji.

Kuba przyjeżdża szybciej. Za dziesięć czwarta parkuje na podjeździe mojego domu, a ja, widząc go za kierownicą, czuję ciepło rozlewające się po całym ciele. To chyba stres. Nie widzieliśmy się parę dni. Pożegnał się ze mną kilkoma słowami napisanymi na kartce przyklejonej do poduszki.

Otwieram drzwi wejściowe, a on na mój widok uśmiecha się szeroko, potem teatralnie przykłada dłoń do klatki piersiowej i już z oddali mówi:

– Jak ja za tobą tęskniłem.

Podchodzi i całuje mnie w policzek na powitanie, w dłoń wpychając figurkę warszawskiej syrenki. Na spodzie jest metka z ceną. Dwadzieścia pięć złotych.

– Dzięki.

Wchodzimy do środka.

Przeciąga się, idąc do salonu. W domu unosi się teraz zapach jego perfum. Są chyba nowe, nie znam ich. Nuty cedru i pieprzu, przyjemne. Dopada mnie pragnienie, łaskocze w podbrzuszu. Mam ochotę pójść z nim na górę, ugasić je. Kuba wygląda tak, jakby też miał na to ochotę. Nie ulegam jednak pokusie. Przypominam sobie, jak się poczułam, gdy zobaczyłam notatkę na poduszce. Jakbym co najwyżej była jego koleżanką z pracy. Szybko proponuję:

– Może usiądziemy w ogrodzie?

– W ogrodzie?

– Chciałeś o czymś ze mną porozmawiać. Przez telefon brzmiałeś tak, jakby to było ważne.

– Bo to jest ważne, Wera, ale myślałem, że kamienie milowe zostawimy sobie na koniec – odpowiada z rezygnacją.

Potem patrzy na mnie tak, jakby zastanawiał się, skąd we mnie ta zmiana. Z reguły, gdy spotykaliśmy się po kilku dniach rozłąki, witaliśmy się namiętnymi pocałunkami, które prowadziły nas do sypialni.

– Wolałabym teraz. Od paru dni zastanawiam się, o co ci chodziło, i chciałabym już się dowiedzieć.

– Dobrze, chodźmy – zgadza się, opierając dłonie na biodrach.

Wychodzimy do ogrodu. Na trawie jest nieduży plastikowy stolik i dwa składane krzesła. Nie pomyślałam o tym, żeby przetrzeć meble ogrodowe, więc teraz wracam pospiesznie do domu po ścierkę. Gdy podchodzę z nią do stołu, Kuba strzepuje kurz z krzesel.

– Daj mi to – mówi i wyciąga do mnie dłoń.

Przekazuję mu szmatkę, a on starannie wszystko wyciera. Potem kładzie ścierkę w trawie i lokuje się na krześle, kładąc stopę w lśniącym bucie na kolanie. Rozpina guzik pod kołnierzykiem czarnej koszuli i patrzy na dom. Wygląda jak deweloper przyglądający się budynkowi, który jego firma ma zamiar wyburzyć.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – pytam i siadam naprzeciwko niego.

– Może powiem to szybko. Będzie jak oderwanie plastra.

– W porządku, mów.

– Podejrzewają u mnie neuroboreliozę. Niedługo będą mi robić szczegółowe badania.

– Neuroboreliozę?

Kiwa głową i spuszcza wzrok, a ja patrzę na niego oniemiała. Opalone czoło przecinają płytkie poziome zmarszczki, oczy błyszczą jak dwa ciemne bursztyny. Gdyby ktoś przyprowadził tu jeszcze czterech innych mężczyzn, prosząc, bym wskazała, który spośród całej piątki cierpi na jakąś poważną chorobę, mój wybór na pewno nie padłby na Kubę. Wygląda jak okaz zdrowia.

– Robiłem już dwukrotnie badania przeciwciał, miałem też robioną tomografię komputerową.

– Kiedy robiłeś? Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Bo to świeża sprawa. – Unosi wzrok. – Ty miałaś inne zmartwienia. Ostatnio skupialiśmy się na tobie.

– Słyszałam, że borelioza rozwija się po ukąszeniu przez kleszcza. – Wbijam w niego wzrok.

Nie kojarzę, żeby coś takiego przytrafiło mu się ostatnimi czasy.

– Tak, i parę lat temu w istocie wbił mi się kleszcz w ramię, podczas joggingu w lesie. Zbagatelizowałam to, choć pamiętam, że zrobił mi się lekki odczyn. Potem przeszło i nie było tematu. Lekarz powiedział, że czasem objawy boreliozy pojawiają się dopiero po kilku latach. To choroba wielonarządowa i możliwe, że w moim przypadku bakterie zaatakowały układ nerwowy.

Podchodzę do niego i go przytulam. To jest ode mnie silniejsze.

– Jest OK, Wera, nie przejmuj się mną – mówi.

– Jak mam się nie przejmować?

Czuję się jak ostatnia egoistka. „Ostatnio skupialiśmy się na tobie” – w uszach dźwięczą mi jego słowa.

– Chcę ci pomóc. Co mogę zrobić?

– Być dla mnie bardziej wyrozumiała – uśmiecha się blado.

– Zapomnij o tym, co było, teraz najważniejsze jest twoje zdrowie. To chyba rzadka choroba, prawda?

– Bardzo rzadka. Nie wiem, co mnie czeka. – Rozplątuje nogi i rozpiera się w krześle.

– Oczywiście, naczałam się już w internecie, choć lekarz mówił, żebym tego nie robił, bo każdy przypadek jest inny, ale to było ode mnie silniejsze. Piszą, że grozi mi zapalenie opon mózgowych i korzeni nerwów rdzeniowych, zaburzenia chodu, mowy. To oczywiście ekstrema, mimo wszystko ostatnio ciągle to wałkuję w głowie.

– Przestań – przerywam mu. – Lekarz ma rację, nie powinieneś czytać tego, co piszą w internecie. Nie rozumiem, jak mogłeś mi nie powiedzieć wcześniej.

Ucieka ode mnie wzrokiem.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że się tak przejmiesz – mówi. – Ty masz teraz większe zmartwienia, nie chciałem ci dokładać.

– Wiesz wszystko o mojej chorobie. Nie ukrywałam jej przed tobą.

– Ja mojej też nie, to świeża sprawa. Pierwsze badania zrobiłem trzy tygodnie temu. W poniedziałek mam się położyć na kilka dni do szpitala w Gdańsku. Tam ordynatorem oddziału neurologii jest znajomy lekarz, który zajmie się mną jak trzeba.

– W Gdańsku – powtarzam słabo.

– Tak, muszę wyjechać na jakiś czas.

Pochyliła się w moim kierunku, kładzie dłoń na moim kolanie.

– Ale wrócę. – Patrzy mi prosto w oczy. – Obiecuję.

– Musiałeś się źle czuć, skoro zrobili ci te badania.

– Ostatnio wieczorem bywałem senny. Może nie tak jak ty – uśmiecha się smutno – ale dochodziły do tego zawroty głowy, problemy z koncentracją. Poszedłem się przebadać na wszelki wypadek. Nie spodziewałem się tak złych wyników.

– Kuba, bardzo mi przykro.

– Nie myśl o mnie.

– Może pojedę tam z tobą?

Rozchyła usta, ale nic nie mówi, jakby szukał odpowiednich słów.

– Daj spokój. Ty musisz być tutaj, na miejscu.

Mam wrażenie, że wszystko między nami się zmienia. Informacja o tym, że jest chory, sprawiła, że postrzegam go inaczej. Czuć od niego słabość i dobre chęci, których przez chorobę nie może w pełni manifestować. Mam do siebie pretensje, że ostatnio byłam dla niego taka chłodna. Myślałam tylko o sobie. Kartka przyklejona do poduszki to teraz błahostka. Liczy się tylko on. To, żeby lekarze jak najszybciej mu pomogli.

– Pamiętam, jak ja się diagnozowałam. Gdy pierwszy raz usłyszałam słowo „narkolepsja”, poczułam ulgę. Okazało się, że jest ktoś, kto potrafi to nazwać. Z diagnozą było mi łatwiej. Spróbuj na to w ten sposób spojrzeć.

Mruży oczy, przygląda mi się z jakimś rozmarzeniem.

– Mam dużo szczęścia, że cię poznałem.

– Naprawdę mogę pojechać z tobą do Gdańska.

– Nie, nie zrobiłbym ci tego. Nie możesz się dla mnie tak poświęcać. Będzie ze mną brat.

– Piotrek, tak?

– Tak. – Unosi brwi. Wydaje się zaskoczony, że zapamiętałam jego imię.

Rzadko wspomina o swoim bracie. Pamiętam jednak, że mieszka z żoną i córką w Gdańsku i jest od Kuby dwa lata starszy.

– Właściwie to on zna tego ordynatora, który ma się zająć moją sprawą. Chcę mieć to jak najszybciej za sobą. – Drapie się po szyi. – Usłyszeć, co dokładnie mi jest, jak powinienem się leczyć i co dalej.

Sama nie wiem, kiedy zaczynamy się całować. Po policzkach płyną mi gorące łzy. Płacę nad nim i nad sobą. Nad tym, jak wiele problemów piętrzy się wokół nas, podczas gdy inni ludzie żyją spokojnie, bez żadnych zakłóceń, a i tak tego nie doceniają.

Wywabiłam go do ogrodu, bo chciałam uniknąć zbliżenia, jednak po tym, co powiedział, moje nastawienie do niego się zmieniło. Rozumiem już, dlaczego tak się zachowywał w ostatnich dniach.

Gdy dowiedziałam się, że jestem chora na narkolepsję, myślałam tylko o sobie. Szukałam dla siebie nowego miejsca w rzeczywistości. Moja choroba została

zdefiniowana, czułam, że powinnam zrobić to na nowo z całym swoim życiem. Może Kuba też nosi w sobie teraz takie potrzeby?

Bierze mnie na ręce i wchodzimy do domu, nie rezygnując z pocałunków. Rozłożyste drzewa dobrze osłaniają ogród przed sąsiadami. Tylko Lira mógłby coś zobaczyć przez okna, ale on ukrywa się za zasłonami, jak artysta stojący za kulisami. Teraz ważny jest tylko Kuba. Całuję go po szyi, pozwalam mu wsunąć dłoń pod bieliznę jeszcze na schodach prowadzących do sypialni. Ręce drżą mu z podniecenia, wydaje się pogrążyć w jakimś amoku. Popycha mnie na łóżko i przez kolejną godzinę zatracą się we mnie jak jeszcze nigdy dotąd. Dochodzę, czując jego oddech na karku, wsłuchując się w aksamitny szept, którym prosi, żebym mu wybaczyła.

– Nie musisz mnie przeproszać za to, że jesteś chory – mówię, gdy potem leżymy obok siebie w rozkopanej kołdrze.

Włosy ma rozczochrane, oczy drżące, jakby chwilę temu wybiegł z płonącego budynku. Nic mi nie odpowiada, tylko całuje mnie w czoło. Potem na powrót przywiera głową do poduszki i chowa twarz pod długimi wilgotnymi palcami, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w rzeczywistości chce się ukryć przed samym sobą.

Rozdział 12

Kolejne dni są do siebie dziwnie podobne. Kuba przyjeżdża każdego wieczoru, jemy kolację, kochamy się. W weekend zostaje na noc, a potem, w niedzielę rano, wyjeżdża do Gdańska. Bardzo go żałuję, gdy całujemy się pod moim domem na pożegnanie. Wierzę jednak, że wszystko będzie dobrze. Planuje wrócić do Oławy w następny poniedziałek. Nie snuję już planów na przyszłość, staram się nie myśleć o tym, jaka jest natura naszej relacji. Teraz zdrowie Kuby jest najważniejsze. W domu zrobiło się jakby spokojniej. Nie przesładują mnie już żadne nocne odgłosy. W ciągu dnia sytuacja też wydaje się stabilna. Wójcik nie odzywa się w związku z tymi perłami, biorę to za dobrą monetę, może faktycznie trochę przesadziłam.

We wtorek dzwonię do swojej neurołożki i opowiadam jej przez telefon o tym, co mnie spotkało, jak teraz wygląda mój obraz snu w ciągu dnia i w nocy. Dostaję od pani doktor kod do recepty na nowe środki nasenne, których mogę używać wieczorem przed zaśnięciem. Zapasy, które miałam w domu, powoli się kończą. Muszę się lepiej wysypiać. Sen w narkolepsji jest lekarstwem i chorobą jednocześnie.

Wciąż męczy mnie sprawa sekcji zwłok Lucyny. Zastanawiam się, czy policja dostała już jej wyniki. Chciałabym wiedzieć, co wykazały badania. W tym przypadku nie potrafię odpuścić. W końcu mam prawo wiedzieć, co było przyczyną jej śmierci. Zginęła w moim domu. W środę dzwonię do Walewskiej. Okazuje się, że wyniki niedawno do nich spłynęły. Policjantka pyta, czy nie mogłabym podjechać na komendę. Umawiamy się późnym popołudniem, przez co muszę odwołać lekcję z Mateuszem. Z reguły opisuje „OK”, ale dziś pyta: „Dlaczego?”. Tłumaczę mu, że mam spotkanie z policją. Po tej wiadomości nie dostaję już od niego żadnej odpowiedzi.

Gdy wchodzę na komisariat, Walewska stoi przy recepcji i rozmawia z kimś przez telefon. Przysłuchuję się temu przez jakąś minutę i wnioskuje, że po drugiej stronie jest najprawdopodobniej Andrzej Kos.

– Tak, to pewne, sekcja zwłok pana żony została przeprowadzona przez profesjonalistów i nie będziemy podważać jej wyników. Przykro mi.

W pewnej chwili policjantka zerka na mnie. Kosmyk włosów wysunął się z jej kucyka, przykleił się do policzka. Unosi palec wskazujący i kiwa głową.

Mrugam porozumiewawczo i siadam na plastikowym krześle.

– Proszę pana, ja nie zamierzam. – Wzdycha i przykładła dłoń do czoła.

Podchodzi do szyby i patrzy przez nią na ulicę. Krzywi się, potem odciąga telefon od ucha, jakby nie dowierzała, że padają takie, a nie inne słowa.

Choć siedzę w odległości jakichś czterech metrów od niej, słyszę wzburzony głos Kosa, wydobywające się z niego co chwilę słowa „ja” i „wy”.

– Muszę kończyć – stwierdza policjantka, jeszcze chwilę trzyma telefon przy uchu i wreszcie chowa go do kieszeni jeansów.

Potem podchodzi do mnie.

– Zapraszam za mną – mówi i idziemy razem wąskim korytarzem do jej gabinetu. Gdy siadam przy jej biurku, dopada mnie déja`vu.

Powraca uczucie niepokoju, jakie towarzyszyło mi tu ostatnim razem, kiedy czułam się tak, jakbym była o coś podejrzana. Walewska zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Po chwili do gabinetu wchodzi Wójcik.

Za nami w głębi jest jeszcze jedno biurko. Policjant wita się ze mną i podchodzi tam, szuka czegoś w szufladzie, a później opuszcza gabinet.

Okienko na kalendarzu tym razem pokazuje dzisiejszą datę.

– Pani Weroniko, mamy już wyniki sekcji zwłok Lucyny Kos. Zanim jednak powiem pani, na co one wskazują, chcę się upewnić co do przebiegu wydarzeń w pani domu, trzeciego września.

Kiwam głową, czując, jak po przetyku rozlewa mi się fala ciepła.

– Dowiedziałam się kilku ciekawych rzeczy o narkolepsji. Oczywiście udało mi się skontaktować z pani lekarką i potwierdziła, że jest pani chora. To niepodważalne. Jednak dowiedziałam się też, że czasem u chorych na narkolepsję dochodzi do zaników pamięci, szczególnie gdy jakieś wydarzenie ma miejsce tuż przed zaśnięciem.

– Co pani ma na myśli?

– Mówiła pani, że robi sobie dwie drzemki każdego dnia.

– Tak?

– Czy zdarzają się jeszcze jakieś dodatkowe momenty, gdy pani przysypia?

– Czasem tak, na chwilę przymknę oczy, nie wiem, kwadrans przed dziesiątą czy przed dwunastą. Na pewno nigdy nie pozwalam sobie na to podczas zajęć z uczniami.

– Czyli wydłuża pani maksymalnie czas, w którym pani nie śpi.

– Dzięki temu kontroluję każdy dzień. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, bo nie rozumiem – niecierpliwie się.

– Chodzi mi o to, że przed tymi dwiema drzemkami musi być pani już bardzo zmęczona i może pani nie pamiętać tego, co się dzieje.

– Pamiętałabym fakt, że ktoś zleciał z antresoli.

– A to, co wydarzyło się wcześniej?

– To też bym pamiętała – odpowiadam pewnie, choć zdaję sobie sprawę, że w słowach policjantki jest dużo prawdy.

Czasem umykają mi ostatnie chwile przed zaśnięciem. Czuję się wtedy tak, jakbym była w całości zanurzona w wodzie. Jestem jednak przekonana, że wszystkie sytuacje potencjalnie niebezpieczne zapadłyby mi w pamięć, ocuciłyby mnie.

– Z ciała pani Lucyny pobrano tkanki do badań histopatologicznych – odpowiada policjantka. – Ich wyniki wskazują na ostre niedokrwienie, innymi słowy, mamy podstawy, by twierdzić, że przed śmiercią pani Lucyna przeszła zawał serca. To by tłumaczyło, dlaczego nie miała w sobie odruchów obronnych przed upadkiem. Nie wyrzucała rąk, nie ratowała się, uderzyła głową o parkiet.

– Czyli weszła na górę i dostała zawału?

– Na to wskazują wyniki sekcji zwłok i stan zdrowia pani Lucyny sprzed zdarzenia. Miała już wcześniej problemy z sercem. Pytanie tylko, czy w pani domu nie wydarzyło się coś, co mogło ten zawał serca wywołać, przykładowo jakaś szokująca sytuacja. To chciałabym ustalić, żeby mieć pewność co do przebiegu zdarzeń.

– Przecież często jest tak, że do zawału serca dochodzi samoistnie – mówię.

Bronię tej czystej, bezpiecznej dla mnie wersji wydarzeń, dobrze mi z nią. Nie chcę, żeby Walewska zaśmiecała ją swoimi domysłami. Lucyna dostała zawału, spadła z antresoli. Nikt nie przyczynił się do jej śmierci.

– Tak, oczywiście, że takie sytuacje się zdarzają, ale tu mamy do czynienia z wyjątkowym zbiegiem okoliczności. Nie sądzi pani? Dostała zawału w chwili, gdy była przy balustradzie, możliwe, że dodatkowo zahaczyła nogą o kabel i runęła w dół. Miała pani oddać pieniądze. Często nie rozliczała się z panią od razu po zajęciach?

– To był pierwszy raz – odpowiadam. – Zawsze mi płaciła, co pani sugeruje?

Mierzę ją z dołu do góry, koszulka klei mi się do oparcia krzesła.

– Nic nie sugeruję, próbuję tylko to wszystko sobie poukładać – mówi Walewska. – Ma pani zaburzenia snu, część rzeczy pani ucieka, pani zeznania, choć dość spójne, wydają się niepełne, rozdarte snem.

– Całe moje życie jest rozdarte snem. Zeznania nie będą się od niego różnić.

Opuszcza ramiona, przez jej twarz przebiega cień uśmiechu.

– Dobrze, dziś już chyba nie będę miała do pani więcej pytań.

– Czy sierżant Wójcik przekazał pani znalezione przeze mnie perły? – pytam.

– Tak – odpowiada niechętnie. – Sierżant Wójcik wczoraj zadzwonił do pana Szejmy i zapytał o nie. Pan Jakub powiedział, że niedawno kupił pani naszyjnik z pereł, który uległ zniszczeniu w sypialni. – Odchrząkuje.

Czuję, że płoną mi policzki. Kuba nie wspomniał o tym telefonie ani słowem.

– One były inne – próbuję brzmieć spokojnie. – Nie mam już tamtych, ale pamiętam, że były mniejsze.

Walewska nie komentuje już mojego tłumaczenia. Chyba to zignorują.

Gdy wychodzę z komisariatu, zaczynam rozumieć, jakie podejście ma do mnie teraz Walewska. W jej odczuciu jestem niewiarygodna, moje zeznania są niepełne. Informacja, że czasem nie pamiętam niektórych rzeczy, uprzedziła ją do mnie na tyle, że podważa teraz każde moje słowo. Pocieszające jest tylko to, że poznałam już wyniki sekcji zwłok Lucyny Kos. To był zawał serca, co koi moje nerwy.

Zanim wsiadam na rower, dzwonię do Kuby. Chcę go zapytać, dlaczego nic mi nie powiedział o tym, że rozmawiał z Walewską. Wiem, że jest teraz w szpitalu, ale to przecież bardzo ważne. On jednak nie odbiera. Zrezygnowana jadę do domu rodziców i opowiadam im o mojej wizycie na komendzie, o tym, co było przyczyną śmierci Lucyny. Tato wyraźnie rozluźnia się, ale mama zdaje się nie wierzyć w tę wersję wydarzeń. Nie miała pojęcia, że Lucyna miała problemy z sercem, ale skąd miała o tym wiedzieć? Nie były przyjaciółkami.

Kiedy wracam rowerem do domu, zaczyna padać. Wsuwam kaptur na głowę i mknę długą drogą rowerową przecinającą przejazd kolejowy. Po chwili leje już jak z cebra, a posępne niebo rozpruwa pierwszy, jaskrawy piorun, po którym roznosi się w powietrzu mocarny huk. Wokół mnie rozkładają się parasolki, ludzie biegną, osłaniając dłońmi głowy lub podtrzymując kapuzy cienkich kurtek. Dojeżdżam do domu, ciężkie krople deszczu bulgoczą na betonowej ścieżce prowadzącej na werandę. Wilgotna bluza i mokre jeansy lepią się do mojego ciała.

Zanim jednak otwieram furtkę, zauważam coś białego na trawie pod metalową skrzynką na listy. To chyba kartka. Jest cała mokra, przez co też miękka i cienka, jakby zaraz miała się rozerwać. To pewnie ulotka reklamowa podrzucona przez jakiegoś nastolatka. Podnoszę ją i wkładam do kieszeni bluzy, a potem zostawiam rower pod bramą garażową i wchodzę do domu.

Ściągam z siebie mokre rzeczy i zanoszę je do pralni. Na razie nie chce mi się spać, choć dochodzi już czas drugiej drzemki. Postanawiam wziąć najpierw gorący prysznic, a potem może dotrwam już do tej dwudziestej i wtedy zasnę na noc. Sen będzie dłuższy, być może nie będę musiała wspomagać się środkami nasennymi. To brzmi jak dobry plan.

Gdy wychodzę z kabiny prysznicowej, owinięta ręcznikiem, po domu niesie się pukanie do drzwi, ciche, niepozorne, choć nieprzerwane.

Schodzę na dół, czując, jak z włosów kapią mi krople wody.

– Kto tam? – pytam.

– Bruno. – Słyszę lekko skrepowany głos.

Przekręcam korbkę i naciskam na klamkę, a potem wsuwam głowę między drzwi a futrynę.

– Słucham.

Patrzy na mnie w cichym oniemieniu, a dokładnie przygląda się moim mokrym włosom i szyi, po której spływa cienka strużka wody.

Deszcz wciąż pada, ale już nie tak napastliwie jak wcześniej. Lira nie wygląda na zmoczonego, ma na sobie cienki zielony T-shirt, szczęśliwie czysty, bez żadnych rysunków, i spodnie moro.

– Nie ma u mnie prądu, Weronika. Widzę, że u ciebie jest – wyrzuca z siebie i spogląda na rozświetlony witraż w drzwiach.

– Tak, u mnie jest. – Poprawiam ręcznik. – Może włączyłeś za dużo urządzeń i wybiło korki? Sprawdzałeś w skrzynce?

Kręci przecząco głową.

– Pokazywałam ci przecież, jak się wprowadzałeś. Trzeba otworzyć kluczykiem i sprawdzić. Jest obok drzwi wejściowych do twojego mieszkania, w przedpokoju.

– Nie mam kluczyka.

– Leży cały czas nad skrzynką.

– Sprawdzałem, nie ma go.

– Niemożliwe – uśmiecham się. – Poczekaj chwilę.

Ściągam z wieszaka cienki beżowy płaszcz i wsuwam go na siebie. Zapinam wszystkie guziki i przewiążuję się paskiem w talii. Potem zakładam adidas.

– Chodźmy.

Po wejściu do pogrążonego w mroku mieszkania Liry okazuje się, że kluczyk jest dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, we wnęce nad skrzynką, po prawej stronie. Niemal natychmiast wyczuwam go pod palcami. Lira świeci swoim telefonem na skrzynkę, otwieram ją i okazuje się, że wajcha głównego bezpiecznika faktycznie opadła.

Podnoszę ją i po mieszkaniu natychmiast rozlewa się ciepłe światło.

– Sprawdzałem, nie wiem, jak to możliwe – tłumaczy się.

– Nie przejmuj się, klucz jest dość cienki i płaski, mogłeś go nie wyczuć.

Odwracam się do niego, a potem patrzę na sztalugę z obrazem rozstawioną na środku dużego pokoju i odruchowo robię krok w jej kierunku. Jest ustawiona bokiem do mnie i widzę tylko fragment malowidła, na pewno są na nim długie czarne włosy i blada dłoń, która ich dotyka. Nie wiedzieć czemu na ten widok odczuwam dreszcze.

Lira szybko podchodzi do sztalugi i przesuwa ją tak, że teraz nie widzę już nic, tylko drewniane belki połączone ze sobą na górze i tył naciągniętego na prostokątną ramę płótna.

– Co malujesz? – pytam.

– Obraz jest jeszcze niegotowy – odpowiada, opierając się delikatnie o sztalugę. – Przepraszam, nie mogę ci go pokazać. Nigdy tego nie robię przed końcem pracy.

– A pokażesz?

- Jeśli wyjdzie tak, jak sobie wyobrażam.
- A jeśli nie wyjdzie?
- Nie chcę nawet o tym myśleć – uśmiecha się tajemniczo.

Mimo wszystko mam ochotę podejść bliżej, zobaczyć, jak wygląda jego niekompletne dzieło. Już dawno nic tak mnie nie ciekawiło.

Po chwili jednak otrząsam się, bo zdaję sobie sprawę, że zbyt długo mu się przyglądam. Spuszczam wzrok na szklaną butelkę po małej coli stojącą na podłodze i styropianowe pudełko z jedzeniem na wynos. W samym mieszkaniu jednak nie jest brudno. W rogach kanapy leżą szare ozdobne poduszki – nie moje, musiał je tu przynieść. Dywan jest zwinięty w rulon i ustawiony pod ścianą. Granatowe, połyskujące zasłony są za długie i ciągną się nieestetycznie po ziemi. Zdaję sobie jednak sprawę, że to kwestia gustu i istnieją ludzie, którzy uznaliby to za przejaw wyrafinowania.

Paleta farb leży na parapecie, opiera się o nią mokry pędzel.

- To przyjemnej pracy – mówię.
- Dziękuję – uśmiecha się znowu.

Ostatni raz kieruję wzrok na sztalugę, a potem odwracam się do niej i do Liry plecami i wychodzę z mieszkania.

W domu opada ze mnie adrenalina. Przymykam oczy na dłużej, niż powinnam, jeszcze przed schodami prowadzącymi do sypialni. Czuję, jak drętwieją mi mięśnie szczęki, gdybym musiała teraz coś powiedzieć, pewnie z moich ust wydobyłyby się niezrozumiały bełkot.

Nie pamiętam drogi do samego łóżka, bo w pewnym momencie zanurzam się w półśnie. W nocy śnią mi się straszne rzeczy. Widzę obraz Liry, który ukazuje Lucyne Kos, z jej ucha sączy się krew, szyję owija naszyjnik z pereł. Budzę się dopiero o pierwszej. Koszmar sprawił, że jestem nieznośnie przytomna. Schodzę zatem na dół po środki nasenne. Zażywam niedużo, potem wracam na górę, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że ktoś jeszcze jest w moim domu, słyszę strzykanie stawów, jakiś szmer dobiegający z sieni. Uciekam od tych odgłosów na piętro, zrzucając to na karb halucynacji przysennych. Zamykam się w sypialni. Tu jest cicho i spokojnie. Opadam z powrotem na łóżko. Czekając, aż środki zaczną działać, przeglądam internet w telefonie. Wpisuję w wyszukiwarkę hasło „Bruno Lira” i oglądam jego prace. Czuję, jak płoną mi uszy, gdy zauważam, że na jednym obrazie, który namalował niecały rok temu, smutna brunetka ma na sobie perłowe kolczyki. Dotyka jednego długim, białym jak mąka palcem, chce chyba dyskretnie zasłonić czerwony ślad na policzku. Ktoś chyba ją w niego uderzył. Zastanawiam się, czy malując to, wiernie oddał rzeczywistość. Czy zobaczył kiedyś taką skrzywdzoną kobietę? A może to ukryty autoportret i to on sam kryje się za tą postacią? Przeglądam jego inne prace, szukam kolejnych pereł, mając

nadzieję, że ich nie znajdę. Na szczęście na żadnym innym obrazie ich nie ma. Z uszu różnych kobiet zwisają pawie pióra, ich szyje zdobią diamentowe naszyjniki. Widocznie perły pojawiły się na pierwszym ujrzanym przeze mnie dziele zupełnie przypadkowo, stanowiły jedynie ozdobę portretowanej osoby, nic poza tym. Gdy przeglądam obrazy Liry, dociera do mnie, że ten mężczyzna zaczyna mnie fascynować. Podoba mi się to, że można odkrywać go na różne sposoby. Oglądając jego prace, rozmawiając z nim. Inne obrazy są pogodniejsze. Odnajduję nawet taki, na którym kobieta się uśmiecha, co prawda delikatnie, ale na ten widok zapominam o smutnym wrażeniu, jakie zrobiło na mnie oblicze uderzonej w twarz brunetki.

Moje ciało robi się toporne, spowalniam. Środki zaczynają działać szybciej, niż zakładałam. Odkładam telefon na szafkę i po chwili już mnie nie ma.

Rozdział 13

W czwartek rano chcę zrobić pranie. Podnoszę z kosza na brudy wilgotne ubrania, które wczoraj, po powrocie od rodziców, zawiesiłam na jego krawędzi. Z kieszeni bluzy wystaje biały zmięty rulon, jest jeszcze lekko wilgotny. Przypominam sobie, że to kartka, którą zauważyłam pod skrzynką na listy.

Ostrożnie ją rozwijam, prostuję na pokrywie pralki, potem otwieram, bo jest zgięta na pół, chyba wyrwana z jakiegoś zeszytu, tłoczy ją niebieskawa kratka, miejscami rozmyta deszczem.

W środku widzę kilka słów napisanych pochyłym pismem. Duże litery wypłukała częściowo woda, jednak bez trudu można je odczytać.

„SZEJMA CIĘ ZDRADZA. SŁAWA, RÓŻANA 7”.

Ręce zaczynają mi się trząść. Przez chwilę nie mogę złapać tchu. Czuję się tak, jakbym patrzyła na ranę wyciętą w ciele ostrym nożem. Kto mi to zostawił? Czy to prawda? Wyciągam z kieszeni telefon i próbuję dodzwonić się do Kuby, ale w dalszym ciągu nie odbiera. Ostatnio rozmawialiśmy w poniedziałek. Mówił, że jest w szpitalu, nie mógł długo gadać, bo zaraz miała rozpocząć się lekarska wizyta. Piszę do niego wiadomość:

„Kuba, możesz do mnie zadzwonić?”.

Nie odpisuje. Biorę do ręki kartkę i wychodzę z nią z pralni. Próbuję odtworzyć w głowie przebieg naszego ostatniego spotkania. Czy coś wzbudzało moje podejrzenia? Co prawda gdy się żegnaliśmy, był niespokojny i przybity. Odebrałam to jako przejaw lęku przed pobytem w szpitalu. A teraz sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Dręczy mnie jeszcze pytanie, od kogo dostałam tę kartkę. Choć wiadomość, którą ktoś mi przekazał, jest neutralna, wydaje mi się, że ta osoba nie kieruje się moim interesem. Patrzy na mnie z góry, chce, żebym cierpiała. Drugie zdanie to chyba jakiś adres. Wchodzę do sieci i go sprawdzam. Szybko okazuje się, że to dom do wynajęcia trochę na uboczu, między drzewami, oddalony od sławskiego jeziora o dwa kilometry. Duży płaski dach, pomalowana na biało elewacja, zadbany ogród z miejscem na grilla.

Czy mógłby mnie aż tak oszukać?

Siadam na krześle w kuchni i patrzę na budzący się za oknem świat. Dzieci wędrujące z plecakami na przystanek autobusowy, samochody sunące leniwie drogą, prowadzone przez ludzi kryjących się za okularami przeciwsłonecznymi. Mogę to zignorować i poczekać na kontakt z Kubą. Niech mi to wytłumaczy. Czy jednak powie mi prawdę? Przypominam sobie o tej kartce przyklejonej do poduszki. O tym, jak zostawił mnie

samą po tragedii, która wydarzyła się w moim domu. Potem, gdy oddaliłam się od niego, natychmiast stwierdził, że chce mi o czymś powiedzieć.

Czy mógłby skłamać w tak ważnej sprawie? Kto robi takie rzeczy?

Dostaję odpowiedź od Kuby:

„Niedawno wstałem, zaraz ma przyjść lekarz”.

Przecież zobaczył moje nieodebrane połączenie, dlaczego nie oddzwonił? Wolał odpisać tylko na wiadomość.

Przez cały dzień dręczą mnie pytania zarówno o nadawcę tej wiadomości, jak i o Kubę. Nie udaje mi się z nim porozmawiać przez telefon. Wciąż wymiguje się badaniami i rozmowami z lekarzami. Istnieje jeszcze szansa, że jego zachowanie jest związane z diagnozą, którą dostał. Jednak nawet wtedy powinien do mnie w wolnych chwilach dzwonić.

Po południu zahaczam Brunona, gdy idzie do domu z zakupami.

Pytam, czy widział wczoraj kogoś kręcącego się przy skrzynce na listy. Oczywiście nic nie kojarzy. Żyje w tym domu jak w bunkrze.

Wieczorem dzwonię do Aśki i opowiadam jej o tej wiadomości.

– Ale kto ci ją zostawił? – pyta przyjaciółka.

Chyba jedzie samochodem. Słyszę szum silnika, pewnie rozmawia ze mną przez Bluetooth w drodze powrotnej z pracy.

Zajmuje wysokie stanowisko w dużej amerykańskiej korporacji. Jest menedżerką wciągniętą w wir wielogodzinnych telekonferencji, kolacji służbowych i dodawania slajdów do prezentacji, zupełnie jak Kuba.

– Nie mam pojęcia.

– Może twój lokator coś widział.

– Nic nie widział, pytałam go.

– Na twoim miejscu zapytałabym o to Kubę, niech się tłumaczy.

Aśka od początku go nie lubi. Choć widzieli się tylko raz, stwierdziła, że coś jej w nim nie pasuje. Od czasu do czasu ironizuje, że to „chodzący ideał”. Czasem podejrzewam, że krytykuje go, bo sama nie ma partnera, a odkąd się z nim spotykam, mam mniej czasu dla niej. Teraz jednak obawiam się, że być może ma co do niego rację.

– Najgorsze jest to, że nie mogę się do niego ostatnio dodzwonić. Wysłała mi tylko wiadomości.

– A wcześniej mogłaś?

– Raczej tak. Z reguły szybko odbiera. Nie wiem, co się dzieje.

– Podejrzana sprawa.

– Wiem.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, a właściwie więcej milczymy przy słuchawce, chyba obydwie analizujemy w duchu tę nietypową sytuację.

Myślałam, że rozmowa z przyjaciółką mnie uspokoi, ale w rzeczywistości zasiewa we mnie jeszcze większy niepokój. Aśka dała mi do zrozumienia, że wierzy w ten donos. A przynajmniej istnieje wiele powodów, dla których można w niego wierzyć.

W piątek budzę się nad ranem z mocno bijącym sercem. W sypialni jest szaro i chłodno, stopy mam na poduszce. Schodzę na dół i robię sobie kawę. Potem ubieram się i zaczynam sprzątać w kuchni, żeby zająć czymś myśli. Kartka z wiadomością leży na ławie w salonie. Nie mogę już na nią patrzeć. Około wpół do ósmej wysyłam wiadomość do Aśki.

„Może tam pojedziemy?”

Daję tym samym upust pragnieniu, które tliło się we mnie od wczorajszego poranka. Wepchnęłam je jednak w najdalsze zakątki świadomości, bo graniczyło z szaleństwem. Teraz jednak myślę, że jeśli tego nie sprawdzę, to i tak oszaleję.

Odpowiedź przychodzi już po chwili:

„Właśnie miałam ci to zaproponować”.

Dzwonię do niej.

– Hej, hej, Wera – wita mnie zaspanym głosem.

Chyba jest jeszcze przed kawą. Słyszę jakieś „dzień dobry” w oddali i stukot obcasów, może weszła do firmy.

– Wciąż nie mogę się do niego dodzwonić – żalę się.

– Myślałam o tym dużo wczoraj w nocy – odpowiada Aśka. – Nawet jak go zapytasz, to może cię okłamać i nie dowiesz się już, jaka jest prawda. Do Sławy z Wrocławia są jakieś dwie godziny drogi. Jakbyśmy wyjechały o piątej, to byłybyśmy tam po siódmej. To nie tak źle, prawda? Podaj ten adres – prosi.

– Różana siedem.

Słyszę, jak powtarza kilka razy „czekaj”, a potem odpowiada:

– OK, pod tym adresem jest dom na wynajem.

– Tak, sprawdzałam już go. Myślisz, że on naprawdę mógłby mnie tak oszukać?

– Dobrze wiesz, co o nim myślę.

– Wiem, wiem.

– Wera, powiedz, czy ty możesz dojechać do mnie do Wrocławia? Zgarnęłabym cię z PKP, jakoś około siedemnastej.

To się naprawdę dzieje. Pojedziemy tam.

– Jasne, przyjadę, jest pełno połączeń.

Śmieje się do słuchawki z jakimś niedowierzaniem.

– To jedziemy śledzić twojego lubego.

– Nie mów tak – odpowiadam, choć na mojej twarzy też pojawia się uśmiech. – Mam nadzieję, że to głupi żart.

– O, ja też, oczywiście.

– Oczywiście – przedrzeźniam ją.

– To widzimy się później.

– Dzięki, Asia.

– Nie ma sprawy. Może wynajmiemy sobie coś od razu nad jeziorkiem, nie mam żadnego pomysłu na weekend, a ty?

– Ja też nie.

– To się dobrze składa.

– Poszukam czegoś – proponuję.

– Opijemy tam twoje nieszczęście albo pośmiejemy się z głupiego żartu – mówi Aśka.

– Jasne, na razie.

– Cześć.

Ten dzień ciągnie się w nieskończoność. Po południu mam tylko jedną lekcję, którą muszę odwołać, a dokładnie przesunąć na przyszły tydzień. Zwykle miałam dwie, ale kolejna uczennica zrezygnowała tymczasowo z zajęć. Staram się już tego nie analizować. Nie zastanawiać się, czy ma to jakiś związek ze śmiercią Lucyny.

*

Asia przyjeżdża po mnie pod wrocławski dworzec kolejowy równo o piątej. W jej czarnym audi jest jak zawsze czysto, na kokpicie świecą się niebiesko-białe przyciski, wielki ekran rozcina mozaika numerów telefonicznych. Przyjaciółka spogląda na mnie porozumiewawczo i przykłada palec wskazujący do ust, a potem wypowiada kilka zdań po angielsku, dziwnym obcym mi tonem. Jakbym słuchała nieznanym ubranej w taki sam czarny kostium od Calvina Kleina, jaki nosi moja przyjaciółka. Chyba żegna się z uczestnikami telekonferencji. Potem wciska czerwoną słuchawkę na ekranie i mówi:

– Długo czekasz?

– Nie, chwilę.

Wyjeżdżamy z miasta dopiero przed szóstą, uzmysławiając sobie, że nie powinno się sprawdzać czasu przejazdu między Wrocławiem a jakimkolwiek miastem rano, gdy nie ma korków. O tej porze podróż zajmie nam pół godziny dłużej. Gdy już jesteśmy w drodze, zastanawiamy się, kto mógł napisać mi tę wiadomość. Kuba przecież pochodzi z Gdańska, nie ma zbyt wielu znajomych w Oławie.

– To musi być ktoś z jego pracy – stwierdza Aśka, rozpuszczając ciasno upiętego koka i wdychając z ulgą.

- Też tak myślę. Z tym że ja nie znam już nikogo, z kim mógłby pracować.
- Może to się jeszcze okaże, jak dojedziemy na miejsce.
- Oby nie – odpowiadam, podziwiając jej gęste brązowe włosy.

Aśka bardzo się zmieniła od czasów studiów. Kiedyś była przy kości, teraz ciężko odnaleźć na jej brzuchu choćby jedną fałdkę tłuszczu. Regularnie chodzi na siłownię, od dawna ostrzykuje się botoksem, jej usta wypełnia kwas hialuronowy, na szczęście nieprzesadnie, w granicach normy. Nie przypomina już nieśmiałej brunetki, z którą uczyłam się historii literatury angielskiej czy fonetyki. Po studiach zrobiła podyplomówkę z zarządzania i postawiła na karierę w korporacji. Walczy o siebie i walczy ze sobą. Niewiele osób wie, że pochodzi z patologicznej rodziny. Gdy miała dziesięć lat, jej matka próbowała popełnić samobójstwo. To Aśka ją znalazła, zgiętą nad zlewem w kuchni, z rozciętymi żyłami. Potem matka zarzuciła zamiar odebrania sobie życia. Zaczęła jednak obwiniać o wszystkie życiowe niepowodzenia Aśkę. Tak naprawdę miała jej chyba za złe, że Aśka tak bardzo się od niej różniła. Była ambitna. Dobrze się uczyła, potem poszła na studia i wyrwała się z biedy i domu wypełnionego alkoholem. Nie potrafi jednak ułożyć sobie życia z żadnym mężczyzną, źle wybiera. Tak samo jak ja. Myślę, że nosimy w sobie podobne braki. To dlatego tak dobrze się rozumiemy.

Dojeżdżamy do Sławy około wpół do ósmej, gdy słońce zachodzi na różowawym niebie. Dopiero gdy mijamy tabliczkę z nazwą miejscowości, zaczynam się poważnie denerwować. Czuję się tak, jakbym minęła granicę między światami. Niepokój, który do tej pory czekał w oddali, teraz wyszedł na przód, rozplywa się po mojej klatce piersiowej nieprzyjemnym mrowieniem.

Aśka też zamilkła, chyba udzielają się jej moje emocje. Przed wyjściem z domu spałam godzinę, w drodze też udało mi się zdrzemnąć, potem wypłam kawę na stacji benzynowej. Teraz serce wali mi młotem, jestem aż nadto przytomna.

Nawigacja wskazuje, że do miejsca docelowego mamy już tylko pięć minut. Przełyk zaczyna mnie nieprzyjemnie piec, oddech lekko drży. Chciałabym, żeby ten dom z czarnym płaskim dachem był zamknięty na cztery spusty. Ten widok z pewnością rozluźniłby moje napięte ciało. Mogłybyśmy spokojnie pojechać do pensjonatu, rozpakować się w zarezerwowanym pokoju, spędzić tam miło czas, śmiejąc się z naszego spontanicznego wypadu.

- Co zrobimy, jak on tam naprawdę będzie z jakąś laską? – pyta nagle Aśka.
- W jej głosie słyszę lęk, przez który jeszcze bardziej się denerwuję.
- Podejdę do niego i strzelę mu w twarz.

Aśka kiwa głową. Wjeżdżamy na zwirową drogę, między wielkimi ogołoconymi z liści kasztanami, które przypominają potężne szkielety z uniesionymi rękami.

- Uderzyłaś kiedyś kogoś? – pyta.

– Nie.

Ostre dźwięki gitary elektrycznej płynące z głośników dźgają mi teraz uszy, widocznie jej też, bo po chwili wyłącza radio. Żwir szura pod kołami samochodu. Przyglądam się kolejnym mijanym domom położonym w dość dużej odległości od siebie. Wysokie płoty, duże ogrody, wszystko podobne do miejsca, które widziałam rano na zdjęciu. „Co my robimy?“, pytam samą siebie w duchu. Przyjechałam do Sławy pod adres odczytany z jakiejś kartki w kratkę, którą ktoś zostawił pod moim domem. Ta myśl jest jak uderzenie obuchem, upadek na śliskiej, błotnistej ziemi, wykolejenie się. Dopiero teraz wypadam z toru, którego trzymałam się od rana. Racjonalna część umysłu walczy z intuicją o prym. To ta druga przywiodła mnie tutaj.

„Miejsce docelowe jest po prawej stronie” – informuje uprzejmy męski głos płynący z urządzenia nawigacyjnego.

Moim oczom ukazuje się dom z ogłoszenia. Na żywo wydaje się mniejszy i bardziej zaniedbany. Czarny dach kontrastuje z różowoszarym niebem, na którym dogasa słońce. W wielkich rozświetlonych oknach parteru poruszają się co jakiś czas szarawe, koronkowe firanki. Do panelowego płotu przykręcona jest tabliczka z adresem: „Różana 7”.

– To tu – mówi Aśka.

Spuszczam szybę. Do auta wpływają dźwięki muzyki techno. Niezbyt głośne, ale świadczące o tym, że w domu trwa impreza. W ogrodzie zauważam jakiegoś łysego mężczyznę w koszulce i jeansach. Rozmawia przez telefon, mocno gestykulując. Dochodzi do niego kobieta w T-shircie i krótkich skórzanych szortach. Trzyma w dłoni butelkę z piwem.

Potem pojawia się następna, ubrana w bluzkę i obcisłą spódnicę za kolano z dużym rozcięciem kończącym się w połowie uda. Narzuca sobie na ramiona duży biały szal. W ogrodzie jest pełno świerków, dalej oczko wodne, po którym pływają lilie.

W oknach, za firanami, mającą kolejne sylwetki, łącznie może pięć, sześć osób. Odpinam pas i wychodzę z samochodu. Aśka robi to samo. Zbliżając się do otwartej na oścież furtki, czuję ulgę i ciekawość jednocześnie. Mój pesymistyczny scenariusz zakładał, że zobaczę tu Kubę obejmującego atrakcyjną kobietę, podziwiającego zachód słońca. Tymczasem trwa tu jakaś impreza i na razie nigdzie go nie widzę. Może już nie zobaczę. Pod tym „może” tli się niezaspokojona ciekawość.

Zauważa nas szatynka w skórzanych szortach. Rzuca nam oceniające spojrzenie, dopiero gdy widzę ją centralnie, przed sobą, zauważam, że jest wstawiona i chwieje się na nogach. Ma ręce skrzyżowane na piersi, wąskie usta rozciągają się w lekkim uśmiechu.

– Dzień dobry, czy jest tu Jakub Szejma? – pyta Aśka, aż nadto oficjalnym tonem, podobnym do tego, którego używała, gdy kończyła telekonferencję.

Szatynka początkowo nie odpowiada, spogląda na mężczyznę rozmawiającego przez telefon. Towarzysząca mu kobieta z szalem przysłuchuje się jego słowom. Nie zwracają na nas uwagi. Chyba zamawiają pizzę na wynos.

„Dwie z salami, dwie diabolo i wino. Nie można wina, kurwa”.

– Wie pani, czy jest tu Kuba Szejma? – powtarzam pytanie Aśki.

– Jakiś Kuba jest, ale nie wiem, jak ma na nazwisko – odpowiada w końcu.

– Brunet, ciemne oczy, wysportowany? – pyta szybko Aśka.

– No, mniej więcej. Czekaście.

W gardle mi zasycha. Patrzę na przyjaciółkę, a ona na mnie. Ma uniesione brwi, po jej twarzy błąka się niedowierzanie. Ja z kolei czuję się tak, jakbym czekała na ważną diagnozę w szpitalu.

Kobieta wchodzi do domu. Po chwili słyszę jej zachrypnięty krzyk, który unosi się nad jednostajnym dudnieniem basów:

– Marcin!

– No?! – odpowiada jej jakiś facet.

– Gdzie jest Kuba?! Jak on ma na nazwisko?!

– Szejma chyba, a co?!

Nie czuję kolan, jakbym straciła część ciała od pasa w dół. Wciąż jednak stoję na ścieżce z drobnych kamyczków i patrzę na półotwarte drzwi tarasowe, przez które chwilę temu przeszła ta kobieta.

– Wera – mówi Aśka współczującym tonem, jakbyśmy właśnie dowiedziały się, że jestem śmiertelnie chora.

Kręcę niewyraźnie głową i biorę głęboki wdech.

Wraca do nas szatynka w szortach.

– No, nie ma go nigdzie, wyszedł jakiś czas temu, mówił, że idzie pobiegać.

– Co wy tu robicie? – pyta Aśka.

– Imprezę. – Wzrusza ramionami.

– Długo trwa ta impreza?

– To wyjazd jest, z grupy. Od poniedziałku siedzimy. Wy od Kuby, tak? Mówił, że jakieś dziewczyny od niego mają jeszcze przyjechać. Elwira jest też od niego, znacie ją?

– Jakie dziewczyny? – pytam uniesionym głosem. – Co tu się dzieje?

Szatynka robi krok do tyłu, chyba dociera do niej, że nie należymy do ich „grupy”.

– Nikomu nie robimy krzywdy – odpowiada cicho.

Potem widzę, jak łysy mężczyzna zaczyna całować się z kobietą w szalu, namiętność rośnie między nimi w błyskawicznym tempie. Wchodzą objęci do domu.

– Gdzie on pobiegł? W którą stronę? – pyta tymczasem Aśka.

– Nie wiem, chyba do lasu. – Kobieta wskazuje dłonią na prawo.

Ten dom jest ostatni na ulicy, zaraz za nim zaczyna się szeroka ścieżka pośród drzew, którą tłoczą głębokie ślady opon samochodowych.

– Chodźmy – rozkazuje Aśka. – Dorwiemy drania.

Nie mogę oderwać stóp od ziemi. Wciąż patrzę na ludzi poruszających się za firanami w oknach, zauważam kolejną całującą się parę. Tym razem chyba dwóch mężczyzn. Mam wrażenie, że ktoś, kto zostawił mi wiadomość o tym, że Kuba mnie zdradza, jest gdzieś tutaj.

Wszyscy ci ludzie jednak wydają się tak obcy, jakby należeli do innego gatunku, jakby nadawali na nieznanym mi falach. Są obojętni na otoczenie, skoncentrowani na sobie, odurzeni alkoholem i być może narkotykami. Niepokoi mnie niejasne podobieństwo, które wyczuwam między nimi a Kubą. On też potrafił taki być, szczególnie za zamkniętymi drzwiami sypialni.

Ruszamy z Aśką w kierunku lasu, rozbite. Przyjemna atmosfera, jaka unosiła się między nami podczas podróży, ustąpiła miejsca złości i lękowi. Co się, u licha, dzieje? Kim tak naprawdę jest mężczyzna, z którym spędziłam tyle czasu?

Drobne gałęzie strzelają mi pod stopami, w powietrzu unosi się zapach mchu. Podążam prawą stroną drogi, Aśka lewą.

– Może wrócimy po auto? – proponuje w pewnej chwili przyjaciółka.

– Nie wiem, czy to wszystko w ogóle ma sens – odpowiadam ze złością w głosie.

Idziemy jednak dalej. Co jakiś czas o ramiona ocierają mi się liście krzewów. Wypatruję neonowej koszulki Kuby. Z reguły biega w tego typu ubraniach, żeby „być widocznym na drodze”. Nie wiem jednak, czy założyłby coś takiego do lasu. Co właściwie mu powiem, gdy go zobaczę? Jak to wszystko wytłumaczyć?

Jeszcze dwadzieścia minut temu byłam niemal przekonana, że przyjazd tu to szaleństwo, a teraz idę oszołomiona przez las, próbując udźwignąć prawdę na temat Kuby.

„Szejma chyba”, ryknął chwilę temu jakiś Marcin.

Kuba Szejma przebywa na wyjeździe z „grupą”, w Sławie, a nie w gdańskim szpitalu. Żeby to odkryć, musiałam zrobić coś szalonego. Przyjechać tu po anonimowym donosie.

W pewnym momencie dostrzegam w oddali migające niebieskie światło. Chyba stoi tam radiowóz policyjny. Przyspieszam kroku.

– Co jest? – pyta Aśka.

– Nie wiem.

Podążamy w kierunku światła, powoli dostrzegam coraz więcej szczegółów. Wysoki policjant uspokaja jakąś starszą kobietę w szarym dresie trzymającą się za klatkę

piersiową, obok niej stoi dwóch chłopców, chyba są to bliźniacy. Zauważam też niedużą karetkę pogotowia, stoi za radiowozem. Dwóch sanitariuszy pochyla się nad człowiekiem leżącym na trawie, ułożonym bokiem. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Ma czarne włosy, a ubrany jest w intensywnie zieloną koszulkę, widzę jego zgarbione plecy, z wielką ciemną plamą na środku. Kolana zaczynają mi drżeć.

– To chyba on – mówię niemal bezgłośnie, ale Aśka słyszy.

– Chryste – wydobywa się z jej ust.

Zwalniamy kroku, jakbyśmy bały się podejść bliżej. Nie przerywamy jednak marszu w kierunku makabrycznego widoku.

Po chwili nie mam już wątpliwości, że to Kuba. Poznają choćby po białej plamce z tyłu głowy, wokół której jak w wirze układają się gęste włosy. Jego koszulka z białymi lampasami, bezwładne opalone ręce i plama krwi na plecach. Robi mi się niedobrze. Muszę na chwilę się zatrzymać. Policzki mnie mrowią, brakuje mi tchu. Czuję na ramieniu lepką dłoń Aśki.

– Chodźmy – zarządzam i wyrzucam przed siebie nogi.

Powietrze dziwnie gęstnieje, walczę z nim, stawiając kolejne kroki. Z prawej strony, obok leżącego na ziemi Kuby, stoi jakaś nastolatka, trzymająca na smyczy jamnika. Dziewczyna patrzy na pracę sanitariuszy z dłonią przyłożoną do ust. Czuję się tak, jakbym zbliżała się do trumny, wokół której zebrali się żałobnicy. Atmosfera jest jak na pogrzebie.

Jeszcze parę dni temu składał gorące pocałunki na moich ustach, a teraz leży we krwi, przy szerokim pniu porośniętym mchem.

– Tak, to atak nożownika. – Słyszę męski głos.

Próbuję odgadnąć, kto to powiedział. To ten wysoki policjant, który uspokajał starszą kobietę. Rozmawia teraz z kimś przez telefon. Wracam wzrokiem do pleców Kuby. Jesteśmy już z Aśką jakieś dziesięć metrów od niego. Podchodzi do nas policjantka z krótkimi brązowymi włosami ulizanymi na bok.

– Proszę się nie zbliżać. To nic przyjemnego.

– Znam go – tłumaczę.

Wraca do mnie to, co niedawno powiedziała mi Walewska na komendzie. Informacja o tym, że zna się rannego, często nasuwa się ludziom samoistnie. To prawda.

– Proszę przejść ze mną na bok – mówi policjantka.

Podaję jej swoje dane i dane Kuby, pytam, w jakim jest stanie. Kobieta mówi, że stracił dużo krwi. Ktoś go zaatakował ciosem w plecy, ostrze noża najprawdopodobniej przebiło płuco. Starsza kobieta w szarym dresie zauważyła go leżącego już na ziemi, gdy spacerowała z wnukami po lesie. To ona zadzwoniła pod numer alarmowy.

Słucham policjantki, patrząc jednocześnie, jak sanitariusze wciągają Kubę na nosze, po których spływają białe przewody, maska tlenowa przywiera do jego ust. Jest nieprzytomny. Zabierają go do karetki.

– W którym będzie szpitalu? – pyta Aśka.

– Karetka przyjechała ze Wschowy – odpowiada funkcjonariuszka.

Policjanci rozwijają między drzewami biało-niebieską taśmę. Ten widok mrozi mi krew w żyłach. Ktoś naprawdę zaatakował Kubę. Nie mam pojęcia kto i dlaczego, ale czuję, choć to przerażające, że może to mieć związek z kartką, którą znalazłam w środe pod skrzynką na listy.

Opowiadam o niej policjantom dopiero na komisariacie we Wschowie. Nie wzięłam jej ze sobą. Została w domu, chyba w sypialni. Pakowałam się na ostatnią chwilę, po drzemce, i w pośpiechu zupełnie o niej zapomniałam. Proszę, żeby przekazać ją funkcjonariuszom z Oławy. Oni mają ją zabezpieczyć i przekazać do Wschowy. Biorą też dokładne dane od nas. Potem wypytują o szczegóły naszej podróży. O której godzinie przyjechaliśmy do Sławy, czy robiłyśmy jakieś postoje po drodze. Zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej jakieś czterdzieści kilometrów przed miejscem docelowym. Myślę, że gdyby chcieli, mogliby sprawdzić monitoring, aby upewnić się, że mówimy prawdę. Oni jednak chyba nie chcą tego robić. Przesłuchanie ma charakter formalny. Nie czuję się podczas niego podejrzaną.

Siedzimy na komendzie we Wschowie do dwudziestej drugiej. Potem jedziemy do szpitala, ale nie chcą nam tam nic powiedzieć. W świetle prawa jestem dla Kuby nikim. Rezygnujemy z noclegu w sławskim pensjonacie. Spędzamy noc w hotelu we Wschowie.

Rozdział 14

Aśka przynosi do stołu dwie kawy i siada obok mnie, mówiąc, że salę naprzeciwko szykują do wesela. Jemy śniadanie w hotelu, w zamku królewskim we Wschowie, a przynajmniej staramy się je jeść. Był to jedyny hotel dostępny na Bookingu. Siedzimy obok filaru obłożonego cegłą, przy ciężkim drewnianym stole, który rozjaśnia światło płynące z mosiężnego kinkietu w stylu prowansalskim. Na środku stołu błyszczy ciemnozłoty świecznik, bez świeczki, ale z odrobiną wosku na krawędziach. Wmuszam w siebie połówkę croissanta posmarowaną dżemem. Każdy kęs staje mi w gardle. Gdy zamykam oczy na dłużej, mam pod powiekami widok zakrwawionych pleców Kuby.

Odkładam pieczywo na talerz i biorę łyk kawy. Aśka grzebie w muesli, wyciągając z niego wszystkie rodzynki.

- Zjedz przynajmniej tego rogalika, co ty wczoraj jadłaś? – dopytuje.
- Pomidorową o trzynastej.
- Po niej już nic?
- Nic.

Stół obok nas zajmują chyba jacyś Włosi, którzy przyjechali tu w interesach. Jest sobota, ósma rano, a oni mają na sobie marynarki i koszule, ich smartfony świecą obok talerzy wypełnionych warzywami, bo co chwilę do nich zagląдают.

Zanurzam dłonie we włosach i opieram łokcie o blat.

- Weź, Wera.
- Co się dzieje, Aśka? Co tu się dzieje?

Unoszę wzrok na przyjaciółkę. Dziewczyna rozgląda się na boki, jakby nie była pewna, czy to właśnie jej zadaje to pytanie, albo jakby zastanawiała się, co tu robi. Nie musiała ze mną jechać. Być może teraz tego żałuje. To miał być niewinny wypadek nad jezioro. W najgorszym wypadku miałyśmy przyłapać mojego faceta na zdradzie, a znalazłyśmy go zakrwawionego w lesie.

Przeżycia z wczorajszego wieczoru wpełzły do mojego życia jak robaki, oblażyły je. Wszystko teraz wydaje mi się obce, brudne. Wszędzie widzę zło, potencjalne zagrożenie. Jestem podenerwowana, mam też spóźniony refleks, bo źle spałam w nocy.

– Przecież pamiętasz, co mówiła ta policjantka. Mają przesłuchać wszystkich uczestników imprezy. O jakiejś Elwirze rozmawiali. Mówili, że nie było jej w tym domu, wcześniej ponoć była gdzieś z Kubą. Pytali, czy ją znamy.

Jej słowa rozplývają się w powietrzu, gdzieś przede mną. Nie mam siły się do nich odnosić. Mówię to, co dla mnie w tej chwili jest najważniejsze:

- Muszę dowiedzieć się, jak on się czuje. Muszą mi coś powiedzieć w tym szpitalu.
- Wiem. Nie wyobrażam sobie, że mógłby...

Nie kończy. Chyba obydwie boimy się tego słowa. On musi żyć. Nie chodzi już nawet o moje uczucia do niego, ale o to, że potrzebuję jakiegoś światła, które spłynie na to, co zobaczyłam w lesie. Czegoś, co załagodzi to potworne doświadczenie, jakiejś pozytywnej wiadomości, która wzniesie mnie trochę wyżej. Informacja o jego śmierci będzie jak skok w przepaść. Czuję się tak, jakbym teraz stała na jej krawędzi.

Kończymy śniadanie, nie rozmawiając już za wiele. Po głowie chodzą mi dzikie myśli. Co jakiś czas odpływam do miejsca, w którym nad nimi nie panuję. W umyśle mnożą się wtedy obrazy jak ze snu, choć oczy mam otwarte. Jest Lucyna w białych rajstopach, jest blada twarz nad krzewami w zagajniku. Co jakiś czas orientuję się, że te wizje pochodzą już z innego źródła, należącego do mojego sennego „ja”. Wtedy wracam do „tu i teraz”. Patrzę, jak Aśka wsuwa łyżkę z muesli do ust. Przyglądam się kelnerce sprzątającej sąsiedni stolik po Włochach. Pragnę już znaleźć się w szpitalu, zrobić cokolwiek. Najpierw jednak muszę się chwilę przespać.

Wracamy z Aśką do pokoju. Kładąc się do łóżka, mamrocę jeszcze, że jest świetną przyjaciółką, i dziękuję jej, że ze mną tu przyjechała.

- Daj spokój – dociera do mnie, a potem już śpię, twardo i mocno.

Budzę się po godzinie i wtedy jedziemy do szpitala.

Gdy Aśka parkuje auto pod wiekowym budynkiem szpitala z czerwonym dachem i ceglanyścianami, wciąż zastanawiam się, co dokładnie przywiodło Kubę do Sławy. Z tego, co udało nam się wczoraj podsłuchać i częściowo też dowiedzieć od policjantów, odbywała się tu jakaś impreza grupy z jakiegoś internetowego forum. Ludzie znali się tylko z sieci. W Sławie pierwszy raz zobaczyli się na żywo.

Już nie łudzę się, że był w ogóle w Gdańsku. Oszukał mnie. Nie wiem nawet, czy to, co mówił o swoich problemach ze zdrowiem, jest prawdą. Wydaje mi się, że nie mógłby mnie aż tak okłamywać. Neuroborelioza. Parę lat temu wbił mu się kleszcz w ramię, być może bakterie zaatakowały układ nerwowy, miał tomografię komputerową, badania przeciwciał. Uwierzyłam mu od razu i ani przez moment nie zwątpiłam w ten precyzyjny opis choroby.

Aż do momentu, w którym zobaczyłam tę kartkę. To dzięki niej skonfrontowałam się z rzeczywistością, przyjechałam tutaj, a potem zobaczyłam to, co zobaczyłam. Wszystko dzięki zmoczonemu przez deszcz świstkowi papieru.

Wchodzimy już do szpitala.

– Chyba na wewnętrznym, nie? – pyta Aśka, gdy zatrzymujemy się przed tablicą informacyjną.

- Nie widzę innej możliwości – odpowiadam.

Wchodzimy po schodach, potem zatrzymujemy się przed szklanymi drzwiami z białą tabliczką z napisem: „Oddział chorób wewnętrznych”.

– Powiem im, że jestem jego żoną – mówię. – Dziś już powinni być inni lekarze niż wczoraj, nie będą mnie pamiętać.

– To chyba jedyne wyjście – wspiera mnie Aśka.

Gdy już mamy wejść na oddział, drzwi się otwierają, wychodzi przez nie mężczyzna o siwych gęstych włosach, które wyglądają na dawno nieczesane. Przez szyję przełożony ma stetoskop, obok niego kroczy wysoka blondynka w beżowym swetrze i w jeansach. Włosy ma niedbale upięte, jej twarz jest szarawa, nieskażona makijażem. Policzki ma sprószone piegami, zlewającymi się w niektórych miejscach w przebarwienia. Oczami w kształcie migdałów zdaje się patrzeć z dystansem, może wyniośle.

Przysłuchuję się rozmowie tej kobiety z lekarzem. Próbuję coś zrozumieć, czując, jak na przedramiona wychodzi mi gęsia skórka.

– A ja mu przywiozłam wodę, soki, mówili przez telefon, że jest przytomny. Przecież ma otwarte oczy, dlaczego nie reaguje? – Głos jej drży, na zmianę krzyżuje i rozplątuje ręce, jakby nie mogła znaleźć dla nich odpowiedniej pozycji.

– Jak już pani tłumaczyłem, mąż przeszedł udar niedokrwienny. Ostrze noża przebiło duże naczynie krwionośne. Wyciek krwi sprawił, że mózg nie pracuje tak, jak powinien, ale to się może cofnąć. Potrzeba czasu.

To ostrze zdaje się przebijać teraz również mnie. Rozmawiają o Kubie, to pewne. Jaka jest szansa na to, że do tego małego szpitala przywieźli jeszcze jednego mężczyznę, który został zraniony nożem? Spoglądam na Aśkę, która wędruje spojrzeniem ode mnie do rozmawiającej pary, próbuje coś rozumieć na własną rękę, ale nie jest w stanie.

A ja z powrotem spoglądam na tę kobietę i mam wrażenie, że za moimi plecami miała miejsce jakaś chora rozgrywka. Jej fragment krystalizuje mi się teraz przed oczami.

– Ile czasu? – pyta kobieta.

Lekarz wydyma usta.

– Tydzień, dwa. Poczekajmy. Młody organizm potrafi się regenerować.

– Kuba był silnym, zdrowym mężczyzną.

– Tym bardziej proszę być dobrej myśli.

Lekarz spogląda na zegarek, kiwa głową na powitanie do przechodzącej obok pielęgniarki. Zahacza ją, odchodząc od kobiety. Ona wpatruje się jeszcze chwilę w mężczyznę, który wraca na oddział. Wygląda na skołowaną, rozbitą. Mobilizuję wszystkie siły i do niej podchodzę, czując, jak sztywnieją mi ramiona i cały kark.

– Dzień dobry – witam się z nią, czekając, aż na mnie spojrzy.

Wydaje się pogrążona w swoim świecie. Ręce ma teraz splecione na piersi, patrzy tępo przed siebie.

W końcu spogląda na mnie nieobecny wzrokiem.

– O Boże, to ty – wypala.

Czuję w piersi żelazny uścisk.

– Pani mnie zna? – wydobywam z siebie to pytanie, zmrożona.

Masuje się po ustach ze spuszczonego wzrokiem. Przymyka oczy, jakby myślała, że to dla niej za wiele. Potem jednak zbiera się w sobie i zaczyna grzebać zadbaną dłońią w torebce, wyciąga z niej telefon.

– W takich okolicznościach mi przyszło to robić – mruży do siebie, odblokowując ekran. – Wiedziałam, że mnie okłamał, wiedziałam. Całe życie kłamie.

Gdy pokazuje mi telefon, widzę, jak bardzo trzęsą się jej ręce.

– Powiedzieli mi na komendzie, że była tu kobieta, która zna go z Oławy. To byłaś ty, podałaś się za jego partnerkę – mówi.

– A ty jesteś jego...

Nie jestem w stanie dokończyć.

Ona też tego nie robi, tylko kiwa niewyraźnie głową.

– Nie powiedział ci o mnie, prawda? – pyta z jakąś rezygnacją w głosie, jakby już znała odpowiedź.

– Nie.

Pokazuje mi na telefonie zdjęcia mojego domu, mnie w czapce bejsbolowej wyprowadzającą rower przez furtkę, matka czeka na mnie na chodniku. Pamiętam ten dzień. Tego wysokiego blondyna, który robił mi zdjęcia, stojąc po drugiej stronie ulicy.

Odruchowo robię krok do tyłu.

– Znalazłam prywatnego detektywa. Nawet gdy pokazałam Kubie te zdjęcia, wszystkiego się wyparł – tłumaczy. – Powiedział, że wynajmuje u ciebie drugie mieszkanie, dlatego jego auto czasem całą noc stoi pod twoim domem.

Wzdycha ciężko i zamyka oczy.

– Uwierzylam mu, idiotka – podsumowuje. – Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, mamy dom w Gdańsku.

Przykładam dłoń do ust, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że podłoga drży mi pod stopami.

Kobieta spogląda na ławkę przy ścianie naprzeciwko. Właśnie podnosi się z niej staruszek w szarej piżamie, próbuje chwycić kule. Aśka podchodzi do niego i mu pomaga. Mężczyzna uśmiecha się słabo w podziękowaniu i powoli wraca na oddział.

Idziemy do tej ławki z żoną Kuby. Patrzą na beżowy pasek ciągnący się przez środek ściany, niepewna tego, co zaraz usłyszę. Nagle żałuję, że tu przyjechałam. I że zaufałam informacji z kartki, którą ktoś zostawił mi pod skrzynką. Choć chcę też poznać prawdę.

Kobieta pociąga nosem, wydaje się skupiona. Z przykrością stwierdzam, że pachnie tak samo jak Kuba. To te nowe perfumy sprzed jego wyjazdu. Nuty cedru i pieprzu, być może jakiś uniseks. Nie wiem, czy to przez tę woń czy przez bijącą od niej energię, ale uświadamiam sobie, że tę kobietę i Kubę łączy nieoczywiste podobieństwo, charakterystyczne dla związków z wieloletnim stażem. Dyskretna elegancja, spokój i pewność siebie, podobne gesty, jednakowy błysk w oczach.

Aśka została przy szklanych drzwiach. Chyba nie wie, co ma ze sobą zrobić. Patrzy na nas, przestępując co jakiś czas z nogi na nogę.

Siedzimy teraz obok siebie, obserwując drobne plamki na żółtawej, żywicznej podłodze.

– Masz na imię Weronika, prawda? – pyta.

– Tak, skąd wiesz?

– Najpierw powiedział mi to detektyw, a dziś rano policjanci na komendzie.

– A ty jak masz na imię? – pytam.

Spogląda na mnie tak, jakby chciała powiedzieć, że to bez znaczenia, ale odpowiada:

– Beata.

– Mówił, że jest z Gdańska – bąkam – że ma tam dom, ale nie wspominał o tobie.

– Mamy ośmioletnią córkę.

Ramiona mimowolnie wędrują mi w dół. Ręce zaczynają ciążyć. Kładę je na kolanach i milknę. W tej chwili nie myślę o niczym, jakby mnie odcięło od własnego umysłu. Patrzą na Aśkę i próbuję przekazać jej spojrzeniem to, co właśnie usłyszałam. Odepchnąć to od siebie albo przynajmniej podzielić się tym z drugą osobą. Aśka patrzy na mnie z ciekawością, rozumie, że padły teraz ważne słowa. Mimo to nie podchodzi. Nie chce spłoszyć Beaty.

– Nie wiedziałam – wyduszam z siebie w końcu.

– Zdradzał mnie od lat. Ma poważny problem.

– Jaki problem?

– Jest seksoholikiem.

Niewypowiedziana tajemnica, która spowijała mój związek z Kubą i z której istnienia nie zdawałam sobie sprawy, nagle staje się oczywistością. Zawsze nalegał na seks. Chciał się kochać nawet po tym, jak Lucyna zginęła w moim domu. Gdy zaczęłam mu odmawiać, na kilka dni zniknął.

– Trzy lata temu skończyliśmy terapię małżeńską. Uwierzyłam, że panuje nad chorobą. Później jednak w jego firmie doszło do restrukturyzacji i dostał propozycję nie do odrzucenia. Albo praca w oddziale oławskim, albo zwolnienie. Przed rokiem zaczął pracować w Oławie. Coraz rzadziej przyjeżdżał do Gdańska, zorientowałam się, że może mieć kogoś na stałe gdzieś niedaleko firmy. To byłaś ty.

– Nie wierzę, że dałam mu się tak omotać.

Zerka na mnie czujnie, jakby chciała ustalić, czy mówię prawdę.

Potem odpowiada, ostrożnie, powoli:

– Jest doskonałym manipulatorem. Widocznie już się tobą znudził, tak jak kiedyś mną. Wrócił do swoich nawyków. Przyjechał do Sławy, żeby uprawiać niezobowiązujący seks. Przed laty też zdarzało mu się organizować takie wyjazdy. To nie pierwszy wypad. Wynajął nawet ten sam dom. Właścicielem tego obiektu jest jego znajomy z Gdańska. Dałam mu szansę. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Byłam naiwna. Zadzwoniłam do niego, kiedy detektyw powiedział mi o tobie, pytałam. Kłamał jak zawsze.

Wzbiera we mnie gniew. Na Kubę i na siebie. Już nie czuję, że prawda jest dla mnie nie do udźwignięcia. Nie walczę z nią. Pozwalam jej rozplýwać się wokół mnie, jak wzbierającej wodzie.

– Rozwióde się z nim – mówi dalej Beata. – Mam dość. Teraz jednak chcę, żeby odzyskał przytomność. Niech policja złapie tego, kto mu to zrobił.

– Przyjechałaś z Gdańska?

– Nie, byłam we Wrocławiu, w interesach. Mam firmę konsultingową. Wera została w domu z babcią.

– Wasza córka ma na imię Weronika?

Przytakuje.

Choć ze wszystkich rzeczy, jakich dowiedziałam się właśnie o Kubie, ta jest najmniej istotna, to właśnie po niej coś we mnie gaśnie, opadam z sił. Mam wrażenie, że jeśli wstanę, to nie zdołam utrzymać równowagi.

Ona tymczasem mówi dalej:

– Nawet nie wiesz, jaki on jest perfidny. Nie kręci go tylko seks. Kręci go cała ta zabawa w ukrywanie się przede mną, w planowanie wyjazdów po seks, w uprawianie seksu w sieci. On się tym karmi od lat. Ale kocha naszą córkę, chciał się dla niej zmienić. Teraz jednak wiem, że udawał.

– Powiedział mi, że podejrzewają u niego boreliozę, jej specyficzny rodzaj – mówię. – Miał teraz spędzić tydzień w szpitalu w Gdańsku.

– Neuroboreliozę? – Beata unosi brew.

– Tak.

– Jego brat to ma. Podpiął się pod jego historię. Dzięki temu kłamstwo wydawało się realne. To jego stary numer. Zna się na łganiu jak mało kto.

– Wszystko odwrócił. Mówił, że brat ma mu pomagać.

– To on pomagał kiedyś bratu. Piotrek nie ma nikogo, ani żony, ani dziecka. Ma tylko nas. – Znów kręci ze zdziwieniem głową. – Zrobił sobie z ciebie nową mnie. Teraz

podniecało go ukrywanie się przed tobą ze swoimi zdradami. Ja byłam daleko i nie mogłam na niego tak oddziaływać.

Pewność, z jaką wypowiada się na temat przyzwyczajień Kuby, mnie przytłacza. Do tej pory wierzyłam, że to ja go znam najlepiej, ale teraz widzę, jak bardzo się myliłam. Siedzę obok kobiety, której jest dużo bliższy. Mają razem dziecko. Dopiero teraz pojmuję, że nasza relacja była dla niego tylko wygodną formą spędzania wolnego czasu.

– Słyszałam, jak lekarz ci mówił, że przeszedł udar – mówię, żeby odsunąć się już od tego tematu.

– Tak, nie ma z nim kontaktu. Weszłam, przywitałam się z nim, a on spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem i zamknął oczy. Nie jest w stanie nawet poruszyć głową.

W jej oczach pojawiają się łzy.

– Ponoć to może się cofnąć, tylko trzeba zaczekać – ciągnie. – Zostawię go, już ostatecznie. – Zaciska pięści. – Niech tylko dojdzie do siebie.

W tej desperackiej obietnicy dostrzegam wewnętrzną walkę, którą sama dobrze znam. Odejście od Kuby wiąże się ze zrzuceniem z siebie dziesiątek pnączy, jakimi obleka kobietę. Nie daje się łatwo odtrącić, to trudny przeciwnik. Gdy tylko wyczuwa, że coś w podejściu partnerki się zmieniło, natychmiast działa, by ją odzyskać.

Potem myślę o czymś innym. Może to ona dźgnęła go w plecy? Czuć od niej nienawiść, krzywdę, jeszcze większą niż moja. W końcu mają razem dziecko.

– Przesłuchiwali cię? – pytam.

– Tak, nic mi nie mogą udowodnić.

– Nie pytam, czy ci coś udowadniają.

Raptownie wstaje. Strzepuje niewidoczny pyłek ze spodni, poprawia pasek torebki na ramieniu.

– Przepraszam, ale to i tak dla mnie za wiele – mówi. – Muszę... – nie kończy, tylko spogląda wymownie w stronę drzwi.

Aśka podchodzi do nas, widząc, że Beata zbiera się do wyjścia.

– Proszę, daj mi znać, gdy jego stan się zmieni. Na pewno do ciebie zadzwonią – uspokajam ją. – Mogę ci zostawić swój numer telefonu?

Kiwa niechętnie głową. Gdy dyktuję jej kolejne cyfry, czuję się tak jak w chwili, gdy wręczałam Wójcikowi perły znalezione w domu. Daję komuś coś, czego nie chce ode mnie przyjąć.

– Zostały u ciebie jakieś jego rzeczy? – pyta, gdy kończę.

– Tak.

Nie odrywając ode mnie wzroku, puszcza mi sygnał.

– Odezwę się – mówi, a potem odchodzi bez słowa pożegnania.

– Co mówiła? – pyta Aśka, gdy tylko Beata znika nam z zasięgu wzroku.

Opowiadam przyjaciółce o wszystkim. Próbuję wiernie odtworzyć to, co usłyszałam od tej kobiety.

– Czuję, że to ona go załatwiła – wyznaje Aśka, gdy wchodzimy do samochodu, a ja kończę swoją opowieść.

– Naprawdę?

Aśka spogląda na mnie bojowo, po czym tłumaczy:

– Na komendzie udało mi się zamienić kilka zdań z tą starszą kobietą, która go zobaczyła jako pierwsza. Ciebie już wtedy wzięli na przesłuchanie. Chyba ci tego nie mówiłam, wczoraj tyle się działo – przerywa i masuje się po zamkniętych powiekach. – W każdym razie jeden z wnuków tej starszej kobiety widział jakiegoś człowieka biegnącego między drzewami. Nie umiał powiedzieć, czy to mężczyzna czy kobieta. Ponoć znaleźli też ślady butów o rozmiarze około czterdzieści jeden, czterdzieści dwa obok pnia z mchem. Nie pytali cię o rozmiar buta?

– Pytali, domyśliłam się, że chodzi o jakieś ślady.

– Ty chyba masz trzydzieści dziewięć, Wera, nie?

– Tak.

– Ja mam trzydzieści siedem – odpowiada Aśka. Ciekawe, jaki rozmiar ma ta Beata. Jest dość wysoka, może być większy.

W bagażniku samochodu są już nasze walizki. Spakowałyśmy się tuż przed przyjazdem do szpitala. Teraz wracamy do Oławy, snując rozmaite scenariusze tego, co mogło się stać w lesie. Policja ze Wschowy na razie nie miała do nas więcej pytań, wzięli od nas dane. Muszę tylko przekazać im ten donos, który znalazłam pod skrzynką na listy. Policjant, który mnie przesłuchiwał, stwierdził, że to dla niego ważne, i bardzo prosi o załatwienie tematu jeszcze dzisiaj.

Rozdział 15

Dojeżdżamy do mojego domu chwilę przed trzynastą. Aśka pomaga mi wyciągnąć walizkę z bagażnika.

– Może wejdiesz na jakąś kawę? – proponuję.

Przespałam się godzinę w drodze powrotnej, Aśka za to wygląda na senną. Wolę, żeby zrobiła sobie przerwę przed powrotem do Wrocławia. Upierałam się, żeby zostawiła mnie na wrocławskim dworcu PKP, ale chciała koniecznie odwiedzić mnie do domu.

– Nie, wracam do siebie – mówi, spoglądając na mój dom tak, jakby był opuszczoną posiadłością, w której straszy.

Wydaje mi się, że chce już odpocząć od wczorajszych doświadczeń. Moja bliskość jej to uniemożliwi. Pragnie wrócić już do swojego świata, wolnego od zbrodni, zdrad i tajemnic. Rozumiem ją. Też chciałabym się od tego odsunąć.

– W porządku, tylko uważaj na drodze.

– To blisko, Wera – uspokaja mnie i składa pocałunek na moim policzku. – Trzymaj się. Zadzwonię wieczorem, pogadamy.

Wsiada do auta i odjeżdża, zostawiając mnie samą z kotem błakającym się przy furtce. Ociera się o jej zielone pręty z naprężonym ogonem. To ten sam zwierzak, którego ostatnio karmiłam w ogrodzie. Wygląda na to, że znowu jest głodny.

– Zaraz coś ci dam – zwracam się do kota, po czym wchodzę do ogrodu. Otwieram drzwi, odrobinę zdziwiona, że zamek tak szybko puszcza już po jednym pełnym obrocie klucza. Z reguły przekręcam dwa razy, szczególnie gdy wyjeżdżam na dłużej. Nie pamiętam jednak dokładnie chwili, gdy zabezpieczałam wczoraj zamek. Ludzie często po wyjściu z domu zachodzą w głowę, czy w ogóle zamknęli drzwi na klucz. To ucieka, jak sny, których parę chwil po przebudzeniu nie pamiętamy. Co innego, jeśli chodzi o koszmary. A jeszcze inaczej jest, gdy koszmarem staje się rzeczywistość.

Siadam na ławce pod lustrem i ściągam buty. Do podeszwy prawego przyczepił się suchy liść ze sławskiego lasu. Odrywam go i kładę na podłodze. Potem patrzę na ściemniałe czubki swoich adidasów, dając się ponieść dziwnym myślom. Zastanawiam się, który z moich znajomych albo uczniów może mieć rozmiar buta 41–42. Czy to ten sam człowiek, który podrzucił mi wiadomość, że Kuba mnie zdradza? Muszę znaleźć ten donos.

Zostawiłam go chyba w sypialni. Idę tam z duszą na ramieniu. W tej chwili przeraża mnie ta kartka, być może jej autorem jest nożownik ze sławskiego lasu. Sam fakt, że jej dotykałam, wzbudza we mnie pragnienie, żeby wziąć długi prysznic, porządnie

wyszorować ręce. Zmyć z siebie tę obcą energię, która wpełzła niepostrzeżenie do mojego życia. Jestem już w sypialni, zmierzam do czarnej nocnej szafki. Jej blat jest pusty. Wydawało mi się, że to tu zostawiłam tę kartkę. Przysiadam na zaścielonym łóżku, odsuwam szufladę w szafce, ale widzę tylko książkę, której nie mogę skończyć od trzech miesięcy, choć jest bardzo wciągająca. Niestety za każdym razem po przeczytaniu kilku stron zasypiam. Z okładki zerka na mnie roześmiana kobieta z czerwonymi koralami na szyi. Patrzyłam na jej twarz już tyle razy, że w końcu stała się dla mnie kimś w rodzaju znajomej.

Kartki jednak nigdzie nie ma.

– Musi być – mówię, podnosząc się z łóżka.

Zaglądam pod materac, potem zbiegam na dół i zaczynam jej szukać w coraz mniej prawdopodobnych miejscach. W szufladach kuchennych szafek, w szczelinach między poduszkami kanapy w salonie, za pralką, a nawet na tarasie, bo wypłam tam kawę wczoraj rano.

Nigdzie jej nie ma. Może jednak wzięłam ją ze sobą? Rozsuwam zamek walizki i wysypuję jej zawartość na podłogę w salonie. Jest nawet jednoczęściowy strój kąpielowy. To uzmysławia mi, jak bez troski były moje plany, gdy pakowałam się na ten wyjazd. Tymczasem nawet nie wzięłam w Sławie prysznic, nawet nie umyłam zębów. Zostałam naznaczona cierpieniem tego zdrajcy.

Mogłam ją stracić w pociągu, albo wsiadając do samochodu Aśki. Było trochę zamieszania. Stała w niedozwolonym miejscu, otwierałam drzwi w pośpiechu, słysząc za sobą klaksony samochodów.

Przez głowę przelatuje mi myśl, że ktoś mógł ją zabrać z mojego domu. W tej samej chwili spoglądam czujnie w kierunku drzwi tarasowych. Zasuwka jest dociśnięta do blokady.

Kto ma klucz od mojego domu? Właściwie tylko mama. Dzwonię do niej, chyba jest na działce. Gdy odbiera, słyszę ćwierkanie ptaków w tle, jej sapanie, jakby właśnie oderwała się od plewienia grządek z marchewką. Tam rośnie najwięcej chwastów.

– Halo.

– Cześć, mammo.

– Cześć.

– Czy byłaś u mnie w domu wczoraj albo dzisiaj?

Już zadając to pytanie, czuję, że jest nie na miejscu. Jakbym chciała ją sprawdzić. Ton mam nieufny i trochę zląkniony. Przebija przez niego obawa, że mama tę nieufność wyczuje.

– Nie było mnie, a co się stało?

– Nic, tak pytam. Wyjechałam na krótko nad jezioro, ale już wróciłam.

– Z kim pojechałaś?

– Z Aśką.

Mama nawet nie zna Kuby. Nigdy z nim nie byłam u rodziców. Nie nalegał na takie spotkanie, mi też na tym szczególnie nie zależało. Mama wie, że się z kimś spotykam, ale nigdy nie dopytuje. Nie będę teraz zrzucać na nią tego, co na mnie spadło wczoraj. Ona nadaje z innej planety. I tak mnie nie zrozumie. Nie pomoże.

– Jak już jesteś, to może przyjedziesz na działkę trochę mi pomóc przy zbieraniu ogórków? Dużo ich, kręgosłup mnie boli.

– Nie dam rady. Jestem zmęczona po wyjeździe – odpowiadam.

– A czym się tak zmęczyłaś?

– Niczym, mamó, nie dam rady przyjechać. Może w poniedziałek, OK?

– Nie wiem, jak chcesz.

Brzmi tak, jakby się obraziła. Już wiem, co przetacza się teraz po jej głowie. „Jak zawsze jej się nie chce”, „Jest leniwa, pewnie zaraz pójdzie spać”.

Wtem dostrzegam na ekranie wiadomość o oczekującym połączeniu od Walewskiej.

– Muszę kończyć, mamó, na razie.

Nawet nie odpowiada, tylko się rozłącza. Czasem tak robi. Odbieram drugi telefon:

– Halo.

– Dzień dobry, Walewska.

– Dzień dobry.

Siadam na krześle. Jej aksamitny, melodyjny głos kojarzy mi się z samymi ciężkimi przeżyciami.

– Koledzy z komendy wschowskiej poinformowali mnie, co się stało wczoraj w Sławie – mówi policjantka.

– Tak.

– Pan Szejma został zraniony nożem przez nieznanego sprawcę.

– Tak, byłam tam. Wiem, co się stało – odpowiadam z nutą irytacji.

Nie musi mi tego powtarzać.

– Właśnie, była tam pani. Zostałam poproszona o zabezpieczenie kartki, którą ktoś pani zostawił. Ponoć na niej były zarówno informacje oskarżające pana Szejmę o to, że... – tu robi krótką przerwę, jakby krępować się dokończyć, po chwili jednak to robi szybciej, bardziej nerwowo – ...o zdradę, jak i adres, pod którym przebywa.

Sposób, w jaki to przedstawia, nie przemawia na moją korzyść. Dostałam wiadomość, że mnie zdradza, a niedługo później on zostaje odnaleziony – ranny.

– Tak, jeśli chodzi o tę kartkę – zaczynam, czując się beznadziejnie z myślą, że ją zgubiłam.

Ta informacja jakoś nie może mi przejść przez gardło.

– Tak, co z nią? – dopytuje policjantka.

Mam wrażenie, że dotarłam do ściany. Prędko szukam jakiejś drogi ewakuacji. Myśli jednak zwalniają. Kot, którego miałam nakarmić, pokazuje mi się w drzwiach tarasowych. Chyba miauczy, ale nie dociera do mnie ten dźwięk. Patrząc w jego małe żółte oczy, czuję, jak coś przeskakuje w moim umyśle, otwierając na moment przestrzeń, która do tej pory była niedostępna. To uczucie przypomina *déjà vu*, ale nie jest z nim tożsame. Podrywam się z miejsca, ożywiona, znowu silna.

– Proszę poczekać – mówię.

Z telefonem przy uchu biegnę na górę, w głowie tli się wspomnienie z chwili, gdy wczoraj po południu zasypiałam tuż przed drzemką. Jest jak punktowe światło na końcu ciemnego tunelu, uparte, precyzyjne. Kartka leżała na szafce, wciągnęłam ją pod poduszkę, jakbym chciała ją przed kimś ukryć. Kierował mną instynkt obronny, jakiś upiorny lęk. To wspomnienie jest niczym fragment snu, o którym właśnie sobie przypominałam. Powiew niosący ulgę. Wpadam do sypialni i podnoszę poduszkę. Nie widzę kartki, ale potem pochylam się bardziej i zaglądam do szpary między materacem a wezgłowiem. Jest. Biorę ją do ręki, otwieram, rozmyte przez wodę słowa znowu rosną mi przed oczami, z jednej strony straszą, z drugiej – przynoszą ukojenie.

– Tak, mam ją – mówię, czując, jak serce skacze mi w piersi.

– To dobrze – odpowiada Walewska z wahaniem w głosie. – Podjadę, zabiorę.

– W porządku, jestem w domu.

Walewska przyjeżdża pół godziny później i przejmuje ode mnie kartkę. Stoimy na werandzie mojego domu. Kobieta opiera się plecami o betonowy filar. Jej ciemne włosy są rozpuszczone, bije od nich zdrowy blask. Chyba przyjechała do mnie prywatnie, choć służbowym autem.

– Co się z nią stało? – pyta, wsuwając kartkę ostrożnie do worka strunowego. – Jest zniszczona.

– Gdy ją znalazłam, mocno padało. Leżała w trawie pod skrzynką. Mam nadzieję, że uda się wam zrobić z nią coś sensownego.

Policjantka kiwa głową, wyraźnie niezadowolona ze stanu otrzymanego ode mnie listu.

– A pani jak się trzyma?

– A jak mogę się trzymać? Jestem w szoku. W ostatniej dobie wydarzyło się wiele złego – odpowiadam, osłaniając dłońią oczy przed mocnym słońcem.

– Kolega ze Wschowy nakreślił mi mniej więcej sytuację. Podzieliłam się z nim moimi przemyśleniami.

– Jakimi przemyśleniami?

– Na temat pana Szejmy. Rozumiem, że dowiedziała się pani, dlaczego był w Sławie – odpowiada spokojnie.

– Tak, a pani wiedziała? – pytam, słysząc, że w moim głosie podryguje niedowierzanie, graniczące z oburzeniem.

– Nie, ale w przebiegu czynności śledczych zdołałam ustalić, że jest żonaty. Prosił mnie na komendzie, żeby nic pani nie mówić. – Wzrusza ramionami, a potem patrzy na kartkę, jakby nie potrafiła spojrzeć mi w oczy. – Mówił coś o terapii, o tym, że sam się pani do wszystkiego przyzna. Uznałam, że to nie moja sprawa.

– Nie zdążył mi się przyznać. Wszystko powiedziała mi jego żona.

– Właśnie, co z nią? – podchwytuje Walewska, ponownie łapiąc ze mną kontakt wzrokowy. – Ponoć była niedaleko Wschowy, gdy doszło do ataku na pana Jakuba.

– Robiła jakieś interesy we Wrocławiu. Przesłuchiowano ją we Wschowie.

– Tak, wiem.

Ściąga brwi, wygląda na zamyśloną. Potem jednak mówi, jakby zmieniając temat:

– Ja zobowiązałam się do tego, żeby ustalić, kto mógł podrzucić pani ten list.

– Też ciągle się nad tym zastanawiam.

– A co z lokatorem? – ścisza głos.

– Nic nie widział.

– Pytam, czy dopuszcza pani myśl, że on mógł to zrobić.

– Nie – odpowiadam automatycznie. – Skąd mógłby o tym wiedzieć? Przyjechał tu z Wrocławia, musiałyby znać Kubę, a chyba nawet się nie widzieli. Siedzi na górze, zasłony ma zawsze zaciągnięte. Czasem wyjdzie tylko na dół zapalić papierosa, ale rzadko. Jaki miałby w tym właściwie interes?

– Widziała pani jego obrazy? – nie odpuszcza.

Kiwam niewyraźnie głową.

– Dość mroczne, nie sądzi pani? – drąży.

– Beksiński malował dużo mroczniejsze.

Wodzi dłonią po ustach, patrząc w prawo, zapewne na schody prowadzące do domu Liry.

– Dobrze, dziękuję. Rozejrzę się, popytam sąsiadów. Może coś widzieli.

Para staruszków mieszkająca dwa domy dalej przestała mi już odpowiadać na „dzień dobry”. Ponoć znali Lucyne, pomogła im kiedyś uzyskać pozwolenie na rozbudowę domu, miała znajomości w urzędzie miejskim. Przechwalała mi się nimi podczas jednej z lekcji. Teraz ci sąsiedzi patrzą na mnie tak, jakbym była winna jej śmierci. A przynajmniej tak to odbieram.

Żegniam się z policjantką i wracam do domu. Zamykam drzwi wejściowe. Morzy mnie sen, który jest teraz dla mnie ratunkiem. On odciąga mnie od koszmarnej rzeczywistości.

Idę na górę, czując, jak niepokój ustępuje miejsca subtelnemu bezwładowi, a potem odpływam stąd. Odpływam stąd jak najdalej.

Rozdział 16

– Nie wiem, mam, czego może od ciebie chcieć.

Przekładałam słuchawkę do prawej dłoni, żeby lepiej słyszeć odpowiedź matki. Mówi cicho, jej głos jest niepewny i słaby.

Choć jest poniedziałek, nie mam dziś lekcji, bo je odwołałam. Tylko dziś – staram się w to wierzyć. Jutro spróbuję wrócić na właściwy tor. Teraz nie mogę się na niczym skupić. Wciąż myślę o Kubie. Brak wieści ze Wschowy działa na mnie destrukcyjnie, a teraz jeszcze dochodzi do tego nowy problem.

– Chce się ze mną spotkać i porozmawiać. Pytanie: o czym? Nigdy go nie lubiłam – szepcze prawie mama, jakby bała się, że mąż pani Lucyny może ją usłyszeć.

– Znałaś go? – pytam. – Z tego, co kojarzę, nie przychodził na działkę.

– Przychodził czasami. Zawsze z pretensjami, bo Lucyna kazała mu coś robić. A to pompę naprawić, a to folię wymienić w szklarni. Nigdy nawet „dzień dobry” nie powiedział. Ja mu się pierwsza kłaniać nie będę.

Słucham jej, patrząc przez szybę drzwi tarasowych na ogród. Wiatr targa gałęziami drzew owocowych, co jakiś czas jabłko spada na trawę. Na dworze jest szaro i smutno, jakby zbliżał się wieczór, choć dochodzi dopiero dziesiąta rano.

Zmarzły mi stopy. Boli mnie też wewnętrzna strona uda, bo w nocy chyba naciągnęłam sobie mięsień.

– Wera, wszystko dobrze? Czemu nie odpowiadasz? – Jej głos nagle nabiera mocy, ton się podwyższa, jakby wpadała w panikę.

– Tak – odpowiadam natychmiast, próbując ukryć irytację. – Kiedy ten Kos chce się z tobą spotkać? – wracam szybko do sedna.

– Dziś o siedemnastej na działce.

Czas się nagle rozciąga. To jeszcze siedem godzin. Wyobrażam sobie, jak bardzo będzie się do tego czasu denerwować. Nie ma pracy, większych zainteresowań. Żyje tym, co „tu i teraz”, a to nie wygląda obecnie za ciekawie.

– Lepiej by było, gdybyś nie była tam sama.

Wzdycha.

– Poprosiłam tatę, żeby ze mną poszedł. Może uda mu się wyrwać z pracy, miał dziś zaplanowane nadgodziny. Taka stresująca sytuacja...

– Mam, to nie jest stresująca sytuacja – mówię, patrząc na ściemnienia w szczelinach parkietu pod antresolą. – Przynajmniej nie powinna być taka dla ciebie. Jeśli nie chcesz, to się z nim nie spotykaj, i koniec. Nie masz takiego obowiązku.

– Nie wiem dlaczego, ale czuję, że mam. Powinnam się z nim spotkać. Jestem mu to winna.

Choć nie mówię tego głośno, rozumiem ją doskonale. Ja czułam coś podobnego, gdy wpatrywał się we mnie lekko pochylony do przodu i domagał się, żebym wpuściła go do domu, bo chce zobaczyć miejsce, w którym zmarła jego żona.

– Jak się zachowywał, gdy ty z nim rozmawiałaś? – dopytuje mama.

– Właściwie za wiele z nim nie rozmawiałam, bo przyjechała policja i to z nimi więcej obydwójce rozmawialiśmy. Na pewno był skołowany, przybity, załamany. To chyba naturalna reakcja.

– Tak, naturalna – zamyśla się. – Lucyna miała trudny charakter – ścisza znowu głos do konspiracyjnego półszeptu. – Była chłodną kobietą i zawsze stawiała na swoim. Kiedyś zrobiła na działce awanturę sąsiadowi z naprzeciwka, bo puszczał disco polo. Z mężem też dużo się kłóciła. Parę razy słyszałam, jak się do siebie nieprzyjemnie odnosili. Dziwna rodzina.

Przypominam sobie o tym, co mi powiedział Kuba. Pokłócił się z Lucyną o rozliczenie delegacji. Robi mi się jeszcze zimniej w stopy, podciągam się do góry na kanapie, wsuwając je pod dzianinową narzutę. Znowu mam wrażenie, że gdzieś nad tą rozmową unoszą się podejrzenia, że to nie był wypadek. Ktoś zepchnął Lucynę z antresoli. Nie wyobrażam sobie jednak, że do takiego starcia mogłoby dojść w moim domu.

– Kiedy policja zamknie sprawę? – pyta mama ze zniecierpliwieniem w głosie.

– Nie mam pojęcia.

– Niech to się już skończy, na litość boską. Takie nieszczęście spadło na naszą rodzinę. Że też poleciłam jej kiedyś te lekcje. Mogłam trzymać buzię na kłódkę. W życiu najgorzej mają zawsze ci, którzy chcą pomóc.

– Głupi ten, co daje, a jeszcze głupszy ten, co nie bierze, mamó. Nie obwiniaj się.

– Nie obwiniam się, tylko człowiek ma do siebie żal. Wychodzę po ziemniaki do warzywniaka i mam wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają z jakąś podejrzliwością. Jak wczoraj schyliłam się do okienka w kiosku, to słyszałam, jak sprzedawczyni kończyła rozmowę telefoniczną, mówiąc: „Czekaj, bo Krzycka przyszła, wiesz...”. I pod tym „wiesz” to ja już wiem, co się kryło.

– Mamó, dopowiadasz sobie.

– To małe miasto, Wera. Ta sprawa musi się jak najszybciej zamknąć. Ludzie muszą zrozumieć, że to był wypadek, że naprawdę to wszystko przez zawał, bo nam żyć nie dadzą.

– Ale co sugerujesz?

– Ja nic nie sugeruję. Ja tylko sobie wyobrażam, co sama bym myślała, gdyby takie coś stało się w domu obcej osoby.

– Co byś myślała? – pytam, podsuwając się jeszcze wyżej na kanapie i czekam w napięciu na odpowiedź, której trochę się domyślam.

– No, że się pokłóciłyście i runęła.

A potem milczy, jakby czekała, aż zaprzeczę. Nie wierzę, że naprawdę czeka. Mam wrażenie, że dopiero teraz uwalnia wszystkie męczące ją od tygodni myśli.

Znowu patrzę na te drzewa i spadające jabłka.

Mam ochotę już do nich wyjść, zrobić coś pożytecznego. Powrzucać zgniłe do worka, a dobre do wiklinowego kosza, który stoi obok drzwi tarasowych. Pragnę uciec od tej rozmowy i od ludzi bez twarzy, o których opowiada moja matka. Sprzedawczyni z kiosku, klienci warzywniaka. Wszyscy wydają się tak wielcy i mali jednocześnie.

– Kończę, mamo. Chcę trochę ogarnąć ogród. Jeśli tato nie będzie mógł z tobą pójść na tę działkę, daj znać. Ja pójdę.

– Dobrze.

– Cześć.

– Cześć.

Przemykam oczy, chcę, żeby ta rozmowa ze mnie wyparowała. Co by było, gdyby matka wiedziała o tym, co wydarzyło się w Sławie? Też podejrzewałaby, że maczałam w tym palce?

Opinie innych są dla niej ważniejsze niż moje samopoczucie.

Nie umiem się od niej odwrócić w rozumieniu totalnym, to przecież moja matka. Potrafi być miła, zapytać o uczniów, podlać mi kwiaty, a od czasu do czasu sprawia nawet wrażenie, jakby wierzyła w moją chorobę. To zależy jednak od jej humoru. Skrapia mnie miłością, dozuje mi ją, jakby zapomniała czasem podlać różę, która stoi w jej domu.

Czego może od niej chcieć Andrzej Kos? Nie mam bladego pojęcia, ale na myśl przychodzą mi same niepokojące wizje.

Czuję się tak, jakbym wysychała. Przed oczami wciąż mam widok zakrwawionego Kuby.

Dzwoniłam dziś rano do Walewskiej, nic jeszcze nie ustalili. Sąsiedzi nikogo nie widzieli, ale ja czuję się obserwowana. Od wczoraj prześladują mnie halucynacje przysenne, a w nich kroczy za mną długi cień z nożem w ręku. Nóż jest groteskowo wygięty, jak w baśniach o piratach. Musiałam kiedyś gdzieś coś takiego zobaczyć. Ponoć sny są deformacjami naszych wspomnień. Moje teraz stały się nieokiełznane.

Mój telefon ponownie się odzywa. Tym razem to Mateusz. Na widok jego imienia robi mi się cieplej, jakbym zaraz mogła zanurzyć się w miękkiej, puszystej pościeli. Choć na chwilę zamknąć oczy.

– Halo?

– Cześć, Wera.

– Cześć.

– Odwołałaś dzisiaj lekcję. Drugi raz...

– Tak, wiem. W środę powinno być normalnie. – Kładę się na kanapie, czując się tak, jakby coś przelewało mi się w głowie do tyłu.

– Nie pojechałem dziś do pracy, bo siedzę z synem, ma gorączkę.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Przewiało go. Spodziewaliśmy się tego. A ty jesteś przeziębiona, że odwołujesz zajęcia?

– Nie, mam problem. Duży.

– Jaki problem? – pyta po chwili ciszy.

– Ktoś zaatakował Kubę nożem.

– Co?

W tle słyszę jakieś „tato”.

– Poczekaj chwilę, kochanie – odpowiada synowi miękko i ciepło, bardzo naturalnie.

– Wera, o czym ty mówisz?

– W Sławie. Nie mam sił ci teraz tego wszystkiego opowiadać. Jestem bardzo zmęczona, senna.

Słowo „senna” niesie się echem po salonie. Słyszę, jak odbija się od ścian i powraca do mnie szeptem.

– Dlatego odwołujesz zajęcia, tak?

– Jutro już będę je normalnie prowadzić. Możemy umówić się na odrabianie, mam ostatnio trochę okienek. Dziś po prostu nie mam jeszcze sił – wyrzucam z siebie szybko zdania. Zaraz dopadnie mnie paraliż. Czuję, jak wzbiera ze wszystkich zakątków ciała, gęstnieje w okolicy ust. To tak, jakbym stała na plaży i patrzyła na cofającą się raptownie wodę, wyczekiwała tsunami, nie mogąc uciekać.

– Nie, poczekaj. Może chcesz o tym porozmawiać nie przez telefon? – pyta.

– Widziałam go, w tym lesie – mówię.

– Kogo? – Nie czekając na moją odpowiedź, dodaje: – Karolina wraca za dwie godziny z pracy i mnie zmieni. Jak chcesz, mogę do ciebie przyjechać.

– Nie, wołałabym wyjść z domu. Może umówimy się w jakiejś kawiarni? – proponuję ostatkiem sił.

Znam siebie. Dobrze wiem, że po odpoczynku wszystko wróci do normy. Muszę się jednak teraz przespać.

– W kawiarni – powtarza nieco zbity z tropu. – Może w Szklarni, na rynku?

– O trzynastej? – pytam.

– A ty nie chodzisz o czternastej spać? Godzina to może być trochę mało.

Zadziwia mnie, że pamięta, o której z reguły mam drzemkę, ale przecież nie raz mu o tym wspominałam podczas zajęć. Od zawsze przejawia szczególne zainteresowanie moją chorobą, pewnie dlatego, że sam zajmuje się zawodowo ludzką psychiką.

– Ostatnio wszystko się rozregulowało.

– Rozumiem – mówi z empatią w głosie. – Do zobaczenia w takim razie o trzynastej.

– Do zobaczenia.

Telefon wyślizguje mi się z dłoni. Na ścianie faluje długi cień noża. Jest tuż nad oparciem kanapy, kilka centymetrów od mojego ramienia. Wydaję z siebie zdławiony jęk, odruchowo unoszę rękę, chcąc się osłonić. Dopiero potem odwracam głowę w kierunku drzwi tarasowych. Nikogo nie ma, zasuwka jest dociśnięta. Echo mojego jęku wciąż błąka się po salonie. Teraz dochodzi do niego szum przypominający radiowe zakłócenia. Gdy jednak poruszę gwałtownie głowę, dźwięk się urywa, a potem wraca, i tak w kółko, dopóki nie zasnę.

*

Gdy idę przez rynek w kierunku Szklarni, zanosi się na deszcz. Wilgoć oblepia mi policzki, na czole czuję pierwszą kroplę. Niebieski hełm wieży ratusza ma kształt szachowego pionka wbijającego się w szare niebo. Przed kawiarnią rozciąga się fontanna liniowa, przy której bawią się dzieci. Właśnie ją omijam. Jestem orzeźwiona półgodzinnym spacerem. Po rozmowie z Mateuszem spałam prawie dwie godziny. Dobrze mi to zrobiło. Teraz mam wrażenie, że halucynacje, których doświadczyłam przed drzemką, tak naprawdę nie miały miejsca. To tylko część snu. Może w istocie tak było? Ostatnio tracę nad sobą kontrolę.

Idąc przez miasto, nie mogłam oprzeć się złudzeniu, że wszyscy mi się przyglądają z patologiczną ciekawością, jakby wiedzieli, co się wydarzyło w moim domu i w Sławie. To niepoważne, na pewno tak nie było. Wiem o tym, mimo to wciąż czuję się obserwowana. Nawet teraz, gdy przekraczam próg kawiarni, a baristka spogląda na mnie, poprawiając kucyk. Mam wrażenie, że ona też wie.

Czytała komentarze w internecie albo zna się z rodziną Lucyny. Czuję na sobie jej wzrok, gdy idę w kierunku Mateusza. Potem zerkam na nią szybko, jakbym chciała przyłapać ją na gorącym uczynku. Dziewczyna wpatruje się w mleko, które właśnie spienia, przygryzając dolną wargę. Ma mnie gdzieś.

Mateusz siedzi obok industrialnego regału obstawionego doniczkowymi kwiatami. Liście monstery prawie dotykają jego ciemnych kręconych włosów. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, na jego twarz wpłza niepewny uśmiech. Wstaje z krzesła, jakby chciał

mnie objąć albo pocałować w policzek. Przed zajęciami nigdy tego nie praktykowaliśmy. Wyciągam do niego dłoń. Ściska ją, nie rezygnując z uśmiechu.

– Jesteś.

– Tak.

Opadam na krzesło naprzeciwko niego. Mówi, że czekał na mnie z zamówieniem. Proszę, żeby wziął mi cappuccino, i wyciągam z portfela pięćdziesiąt złotych, informując zdecydowanym tonem, że ja stawiam. On macha ręką, nie chce przyjąć pieniędzy. Szybkim krokiem odchodzi w stronę baru. Zawsze taki był. Czuję się tak, jakbyśmy cofnęli się do czasów, gdy byliśmy parą. Gdy wróci, będę próbowała wcisnąć mu banknot, a on dalej będzie się wzbraniał.

Czy jego żona wie o naszym spotkaniu? Jestem ciekawa, co jej powiedział. Kiedyś minęłam się z nią na poczcie. Z pewnością przykułam jej uwagę, zmierzyła mnie wzrokiem, nawet zmrużyła lekko oczy. To jedna z tych prostolinijnych kobiet, u których emocje widać jak na dłoni. Wtedy wyczułam od niej zaciekawienie podszyte cienką, ale bardzo jaskrawą nicią zazdrości.

Mateusz wraca i, o dziwo, po moich krótkich namowach przyjmuje ten banknot. Dzięki temu choć częściowo mogę uciszyć wyrzuty sumienia. Powinien być teraz ze swoim synem.

Opowiadam mu o tym, co się stało w Sławie, o donosie, o tym, że czuję się przez wszystkich obserwowana, a w domu prześladują mnie halucynacje przysenne.

– Z halucynacjami nic nie zrobimy, składają się na obraz chorobowy narkolepsji. Rozmawiałaś o nich z neurologiem?

– Tak, ale to się często zdarza, nawet u chorych na narkolepsję, którzy nie mają takich zawirowań w życiu jak ja. Ostatnio miałam je po tym, jak znalazłam Antoniego. Nie mogłam dojść do siebie przez jakieś dwa miesiące. Raz nawet miałam wrażenie, że ktoś kręci się po jego mieszkaniu. Ida wtedy jeszcze żyła, powiedziała, że nic nie słyszy, a do mnie wyraźnie docierały odgłosy czyichś kroków dobiegające z góry. Byłam wtedy jednak bardzo zmęczona, to koszmar wzywał mnie już do siebie. Gdy zasnęłam, śniło mi się to samo.

– Powinnaś się wysypiać.

– Żeby to zrobić, musiałabym codziennie brać silne środki nasenne. Nie lubię tego robić.

– Masz jakieś wieści o stanie Kuby?

– Napisałam dziś rano esemesa do Beaty, ale nie odpisuje. Trudno jej się dziwić.

– Ja się dziwię. To nie ty jesteś tutaj winna. Myślę, że obciąża cię też niepewność związana z tym, w jakim on jest stanie. Niepewność jest zawsze najgorsza. – Ściąga okulary w czarnych oprawkach i kładzie je na stole, obok mojej ręki. – Wprowadza

człowieka w stan napięcia. Wera, proszę, zamknij na chwilę oczy i wyobraź sobie, że dostałaś odpowiedź od Beaty. Napisała, że Kuba dochodzi do siebie – robi pauzę i patrzy na mnie wyczekująco.

– Teraz mam to zrobić?

– Tak.

„Po to tu przyszedłam”, myślę, „po pomoc”. Zamykam oczy. Rozmowy innych klientów siedzących przy stolikach zlewają się w przyjemny dla ucha szmer, nad którym zaczyna płynąć ciepły głos Mateusza.

– Beata napisała: „Kuba dochodzi do siebie, poprawia mu się”. Zobacz wyraźnie te słowa. Zastanów się, co czujesz.

W mojej wyobraźni litery, którymi napisane jest to zdanie, są białe, na czarnym tle. Przypominają post wrzucony przez Andrzeja Kosa na Facebooka informujący o śmierci żony. Jakbym chciała tą wyimaginowaną wiadomością od Beaty rozwiązać też problem związany ze śmiercią Lucyny. „Kuba dochodzi do siebie, poprawia mu się”. Czuję...

– Ulgę – odpowiadam.

– Ulgę – powtarza. – Dlatego, że być może będzie mógł wskazać osobę, która mu to zrobiła, czy dlatego, że martwisz się o jego zdrowie?

– Dlatego, że martwię się o jego zdrowie.

– Dobrze. Otwórz oczy.

– Brak wiadomości na temat jego zdrowia mentalnie uwięził cię w sławskim lesie – ocenia pewnie Mateusz, jakby przekazywał mi słowa ulubionej piosenki. – Wciąż tam jesteś, widzisz, jak leży obok tego pnia, niepewna, co się stało. Potrzebujesz bodźca, który sprawi, że ruszysz do przodu. Nie musi to być wiadomość od Beaty. Wyznacz sobie jakiś nowy cel. Niech będzie z przodu, niech cię przyciąga i sprawia problemy, które będziesz musiała rozwiązać.

– Takim problemem może być próba rozwikłania zagadki, kto mógł mi podrzucić ten list – mówię. – To też wciąż chodzi mi po głowie.

Mateusz marszczy czoło.

– Przecież z tego, co mówiłaś, przekazałaś już kartkę policji.

– Mam zdjęcie. Zrobiłam je po tym, jak w poszukiwaniu tej kartki przekopałam cały dom – uśmiecham się, czując, że to dobry pomysł. Mateusz mi to jednak odradza. Stwierdza, że powinnam znaleźć sobie coś innego, całkowicie oderwanego od zbrodni w Sławie. Ja jednak wiem, że na niczym innym nie będę w stanie się teraz skupić. Wiem, że to jest coś, czym teraz chcę się zająć.

– Kuba okazał się draniem, a ja mimo to wciąż się o niego martwię – mówię. – Okłamał mnie. Mówił, że jedzie do szpitala. Kto okłamuje bliskich, wmawiając im, że ma neuroboreliozę?

Nie do końca oczekuję odpowiedzi. On jednak mówi:

– Robią to ludzie, którzy woleliby chorować na neuroboreliozę, aniżeli cierpieć na to, na co cierpią w rzeczywistości.

– Seksoholizm.

Kiwa głową, patrząc na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jego gęste brwi są lekko ściągnięte. W oczach kryją się jakieś pytania.

– Całe życie trafiam na problemowych partnerów. Tylko ty byłeś normalny – mówię, trochę nieświadomie.

Jeszcze trzy tygodnie temu nie pozwoliłabym sobie przy nim na taki komentarz, ale ostatnio wszystko mi jedno.

– I szybko mi podziękowałaś – odpowiada, siląc się na żart, choć śmieje się trochę na wyrost, jakby chciał za tym śmiechem coś ukryć.

– To prawda – mówię, próbując wznieść się ponad lekkie zażenowanie.

– Muszę coś sprostować w tym, co powiedziałaś wcześniej. To nie jest tak, że trafiasz na problemowych partnerów. Sama ich przyciągasz.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem na pewno. – Wzrusza ramionami. – Może podświadomie czujesz, że nie zasługujesz na nic lepszego?

– Ach, tak. – Wiercę się na krześle. – Zatem wracamy do tematu narkolepsji. To w końcu też odchylenie od normy. Sama jestem problemowa, to masz na myśli?

– Wtedy, w twoim domu, nie pozwoliłaś mi dokończyć i rozmowa utknęła w niezbyt korzystnym punkcie – odpowiada spokojnie, wychodząc naprzeciw mojemu podniesionemu tonowi.

Tak też wyglądały nasze spory, gdy byliśmy parą. Ja byłam zawsze wzburzona, a on łagodził każde moje słowo, mówiąc ciszej i wolniej.

Uderza to we mnie teraz, być może za tym tęsknię. Nagle robi mi się ciepłej, ściągam sweter i aż nazbyt sumiennie zawieszam go na oparciu krzesła.

– Dokończ – mówię. – Masz teraz szansę.

– Nie chodzi o narkolepsję. Chodzi o to, że twoja matka jej nie akceptuje, a to oznacza, że nie akceptuje ciebie.

– Nigdy jej nie akceptowała, to dla mnie żadna nowość. Od małego byłam dla niej leniwą dziewczyną, której nic się nie chce. Jestem do tego przyzwyczajona. Umiem sobie z nią radzić.

– Co z tego? Czujesz się przez nią niekompletna. Wydrążyła w tobie paskudne poczucie winy. – Wyciera z kącika ust mleczną pianę. – Powiedz, dlaczego mając narkolepsję, starasz się sypiać tylko dwa razy dziennie? Dlaczego tak przeciągasz okresy czuwania?

– Nauczyłam się tego w domu. Próbowalam... – Coś ściska mi gardło.

– Próbowalaś z tym walczyć. Wmawiać sobie, że nie jesteś senna, bo to wmawiała ci matka. Całe życie karzesz siebie za to, że jesteś chora. Wyprowadziłaś się od niej, ale jakaś twoja część została w rodzinnym mieszkaniu. Pamiętam je. Pamiętam, jak sprawdzałaś, czy matka jest zajęta, i dopiero wtedy kładłaś się po kryjomu spać.

Przymykam oczy. Pod nimi zbierają się łzy. Nie mówi mi nic odkrywczego, mimo to w jego ustach prawda brzmi mocniej, surowiej. Muszę na nowo się z nią zmierzyć.

– Wiele razy zasypiałam przy niej – bronię się.

– Tak, gdy nie miałaś już wyboru. Piętnowała cię za coś, co nie zależało od ciebie.

– Nigdy tego nie zrozumie – odpowiadam.

– Nie musi, ważne, żebyś ty to zrozumiała, wyzbyła się poczucia winy. Zasypiaj wtedy, gdy masz na to ochotę, a nie wtedy, kiedy sen zwala cię już z nóg, przez co śpisz jak kamień. To jest niebezpieczne, Wera. Zobacz, do czego doszło. Twoja uczennica spadła z antresoli, zginęła na miejscu. Ty tego nawet nie słyszałaś. Wszystko przez twoje poczucie braku akceptacji. Nie powinnaś mu ulegać. Żyj w zgodzie ze swoim rytmem.

– Myślałam, że nasze spotkanie ma mi pomóc.

– Wybacz, zapomniałem swojej magicznej różdżki, którą odczarowuję pacjentów.

– Szkoda – uśmiecham się smutno, pokazując mu, że jeszcze potrafię nadażyć za jego żartami.

W słowach Mateusza jest dużo prawdy. Dobrze wiem, że prawdziwa pomoc to proces, a nasze spotkanie jest po to, by uświadomić mi pewne sprawy. Całe życie walczę z sennością, poddaję się jej z reguły wtedy, gdy nie mam już wyjścia, poczucie winy przy tym zawsze kryje się gdzieś w tle, choć mam dowody na to, że jestem chora. Mój mózg podczas snu pracuje inaczej niż u zdrowego człowieka, a mimo to wciąż towarzyszy mi poczucie oszukiwania. Jakbym tylko udawała.

– Nawet nie wiesz, do jakich okropieństw ludzie są zdolni z powodu trudnego dzieciństwa – mówi.– Ty jesteś bardzo delikatnym przykładem. Mężczyźni zabijają żony ze względu na lęki, które mają swoje podłoże w pierwszych latach ich życia. Matka znęcała się nad nimi psychicznie, fizycznie lub stosowała względem nich szantaż emocjonalny. Potem dochodzi do przeniesienia tych emocji na partnerkę. W człowieku budzą się pierwotne instynkty, których nie mógł uwolnić w dzieciństwie, bo był na to za słaby. Potem odbiera swoje. Bo relacje z ludźmi to zawsze dawanie i odbieranie. Każdy człowiek podświadomie dąży do tej równowagi.

– A jakie ty miałaś dzieciństwo?

Właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie zdążyliśmy. Pamiętam, że jego mama umarła, gdy był bardzo mały. Ojciec ożenił się drugi raz.

Wydaje się zdziwiony moim pytaniem. Chyba nie jest przyzwyczajony do opowiadania o sobie. Zawsze lepiej wychodziło mu słuchanie.

– Moje dzieciństwo było trudne. Macocha faworyzowała swoją córkę. Ja byłem dla niej tylko dodatkiem.

– Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Radzę sobie. – Odchyła się do tyłu i pociera nos. – Mam swoje demony, ale każdy je ma. – Patrzy mi prosto w oczy tak intensywnie, że aż czuję ciarki.

– Ale nie byłbyś w stanie nikogo zabić.

Chyba rozczarowuję go tym stwierdzeniem.

– Ciągłe krążysz wokół tematu Lucyny – mówi, przesuwając pusty kubek na prawo, jakby chciał mieć do mnie lepszy dostęp.

– Nie potrafię inaczej – odpowiadam.

– Ty też nie byłabyś w stanie nikogo zabić. – Wskazuje na mnie palcem. – W twoim przypadku wszystko sprowadza się do obniżonych oczekiwań względem innych, zbyt wysokich względem siebie. Za mało dostałaś od matki i teraz za mało chcesz odbierać.

Dopijam kawę. Patrzę przez szybę, jak zadbana blondynka w koku okręca się wokół własnej osi z synkiem na rękach. Krople wody z tryskającej fontanny spadają tuż obok jej szarych mokasynów, ale ona się tym nie przejmuje. Dla niej najważniejszy jest teraz uśmiech dziecka. To chyba Ewa Skalska. Znam ją z plakatów wyborczych. Niedawno została radczynią miejską. Udziela się charytatywnie w mieście, wygląda na dobrą, przyzwoitą kobietę. Jej program wyborczy był nastawiony przede wszystkim na atrakcje dla dzieci. Nowe place zabaw, kółka zainteresowań od najmłodszych lat, dofinansowania do pozalekcyjnego angielskiego. Oddałam na nią swój głos.

– I daj sobie spokój z tym listem. – Mateusz z brzękiem odstawia filiżankę na blat. – Zostaw śledztwo policji. Ty zrobiłaś swoje.

Wręcz nienaturalnie powraca do tego tematu. Jakby ta sprawa i jemu nie dawała spokoju.

– W tej kwestii nie umiem odpuścić.

– Może na jakiś czas wyjedziesz z Oławy? Zmiana otoczenia może sprawić, że nabierzesz do wszystkiego dystansu.

– Nie mogę tego zrobić. Mam uczniów, jeśli zniknę, kolejni odejdą, nie będą na mnie czekać Bóg wie ile czasu.

Poza tym nie mam pieniędzy na taki wyjazd, już ten do Sławy nadwyreżył mój budżet. O tym jednak nie chcę mu teraz wspominać. Aśka na pewno by się zgodziła, gdybym zapytała, czy mogę się u niej zatrzymać przez jakiś czas, z tym że po tygodniu zrobiłoby się to zarówno dla niej, jak i dla mnie męczące. Jest dobrą przyjaciółką, ale też życiową solistką, która lubi zaszyć się w samotni swojego apartamentu. Znam ją.

Zamawiamy jeszcze po herbacie. Mateusz pyta o mojego lokatora. Opowiadam mu zarówno o Lirze, jak i o tej twarzy, którą zobaczyłam jakiś czas temu, w nocy, nad żywopłotem z laurowiśni. Wszak towarzyszył mi wtedy malarz. Potem pokazuję Mateuszowi jego prace, wśród których dominują portrety wielkookich brunetek, z kącika ust jednej sączy się krew, druga ma wytatuowany na szyi ciernisty krzew.

– Niezbyt piękne – mówi Mateusz.

Myślę o tym, jak bardzo różnią się gustami z Kubą, który ten sam obraz ocenił jako „niezły”. W moim odczuciu jest niesamowity i już wiem, że w tej kwestii bliżej mi było do Kuby.

Wychodzimy z kawiarni około trzeciej. Rozstajemy się przy jego samochodzie, zaparkowanym naprzeciwko pizzerii, sto metrów dalej. Chce mnie odwieźć do domu, ale odmawiam, mam ochotę się przejść. Wracam do domu okreśną drogą, przez park. Muszę się przewietrzyć, poukładać sobie w głowie wszystko to, o czym rozmawialiśmy.

Nagle dostaję wiadomość od Beaty. Otwieram ją z mocno bijącym sercem. Napisała: „Odrobinę mu się poprawiło. Ma też trzeźwiejsze spojrzenie”.

Zatrzymuję się z telefonem w dłoni. Czuję ulgę, ale pojawia się też nowa emocja. Nienawiść. Tego podczas ćwiczenia w kawiarni nie przewidziałam. Wiadomość o tym, że mu się polepszyło, natychmiast odblokowała we mnie wyciszone pokłady złości. Mam teraz wrażenie, że im lepiej będzie się czuł, tym więcej jej we mnie będzie.

Patrzę na dwóch mężczyzn grających w tenisa na korcie przed mostem prowadzącym do parku. Docierają do mnie ich stęknienia, rytmiczne jak odbicia piłki. Idę do przodu z nową energią. Jest mi lżej i jestem wściekła.

Zanim wchodzę do parku, wybieram numer telefonu mamy. Chcę ją zapytać, czy załatwiła sprawę z ojcem i czy będzie jej towarzyszył podczas spotkania z Andrzejem Kosem. Ona jednak nie odbiera. Często tak ma. Z reguły oddzwania po godzinie lub dwóch, kiedy już jestem myślami gdzieś indziej i nie pamiętam, czego od niej chciałam. Potem dziękuję w wiadomości Beacie.

Park wygląda jak namalowany drobnymi maźnięciami rdzawej farby. Nad barwnymi koronami drzew wisi szare niebo, które sprawia, że wydają się ciemniejsze. Wciąż nie pada, ale świat zdaje się już tylko na to czekać.

Dwie nastolatki palą papierosy pod starym kasztanowcem, żywo o czymś dyskutując. Starsza kobieta czyta książkę na ławce, u jej stóp spoczywa znudzony ratler z czerwoną obrozą wbijającą się w chudą szyję. Jest tak drobny, że ledwie go zauważam. Po ziemistej alejce sunie rowerem kobieta z koszykiem pełnym plonów zebranych na przylegających do parku ogródkach działkowych. Tam jest też działka mojej mamy i działka Kosów.

Powietrze jest tu świeższe. Oddycham nim głęboko, idąc szeroką alejką w kierunku wyjścia z parku przy ulicy Kilińskiego. Jest tam niewielka zatoczka, na której głównie działkowcy zostawiają samochody. Widzę już pierwsze auto, srebrny sedan. Im bliżej niego jestem, tym bardziej wydaje mi się znajome. Potem zauważam krzykliwie zieloną kość do gry zawieszoną pod lusterkiem wstecznym i już wiem, do kogo należy ten samochód.

Wszystko raptownie przyspiesza. Wyciągam telefon z kieszeni i znowu próbuję dozwonić się do mamy. Wciąż nie odbiera. Dochodzi dopiero czwarta, była umówiona z Kosem na piątą, być może jednak coś się zmieniło. Muszę to sprawdzić. Myśl, że będzie z nim sam na sam, mnie niepokoi. Nie wiem, jakie są zamiary tego człowieka. Zawracam i idę w stronę żółtej bramy wejściowej odgradzającej park od ogródków działkowych, coraz szybciej, jakbym pędziła na ważny spektakl, który za moment się zacznie. Mam złe przeczucia. Osobiście nigdy go tutaj nie widziałam, mama tylko opowiadała, że czasem się tam zjawiał, na wyraźną prośbę Lucyny.

Jestem już na naszej alejce. Słyszę z oddali wzburzony, męski głos:

– To pani wina!

Zaczynam biec, wpatrzona w drzewka owocowe zasłaniające mi widok na naszą działkę. W końcu zauważam niebieską bluzę mamy, stoi do mnie bokiem naprzeciwko Andrzeja Kosa, który wskazuje na nią palcem.

Starszy pan, który ma działkę obok nas, patrzy na nich oparty o swoje grabie. Tego się obawiałam. To nie sobota, ale poniedziałek, po słonecznym weekendzie nie ma tu prawie nikogo, kto mógłby pomóc.

Nie ma też taty. Teraz nie obchodzi mnie to, dlaczego do ich spotkania doszło wcześniej. Chcę tylko jak najszybciej się tam znaleźć. Hausty powietrza drażnią mi gardło, wciągam je w siebie, przeraźliwie chrypiąc.

Obok Kosa stoi jego córka, dłońmi obejmując ramiona.

Gdyby Kos chciał, mógłby jednym ruchem popchnąć moją drobną matkę na czereśnię rosnącą tuż za jej plecami. Wygląda tak, jakby zamierzał to zrobić.

– Co się tu dzieje?! – krzyczę, wpadając na asfaltową dróżkę rozcinającą trawnik.

– Kogo my tu mamy?! – krzyczy mężczyzna.

– Tato, daj spokój! Co ty wyprawiasz! – woła do niego nastolatka.

Kos dyszy jak sztangista po odłożeniu wielkiego ciężaru, ma rozgorączkowane spojrzenie, jego szerokie, płaskie policzki drżą przy każdym kolejnym łyku powietrza.

– Niech pan stąd wyjdzie albo wezwę policję! – wołam, dobiegając do niego. Staję między nim a moją matką.

– Spokojnie, Wera – mówi mama.

Głos ma cichy i słaby, słyszę w nim przerażenie, które zaburza moją wewnętrzną równowagę, to tak, jakby jakaś część mnie była śmiertelnie wystraszona.

Chciałabym, żeby Kos zniknął, rozpląnął się w powietrzu jak majak. Strach jest gdzieś dalej, pulsuje w skroniach, próbuje się przebić przez płachtę gniewu. Nie dopuszczam do tego.

– Co takiego zrobiła panu moja matka?! – pytam tonem, którego nie znam.

Jest podwyższony, zwierzęcy, dziki. Ciało mnie mrowi, jakby zaraz miało eksplodować.

– Chcę, żeby mi wytłumaczyła, co się dzieje. – Unosi dłonie do nieba, jakby szukał tam odpowiedzi. – Dlaczego poleciła jej te lekcje!? Lucyna tego nie chciała, to ona ją namówiła!

Jest pogrążony w jakimś amoku, nie zrozumie żadnych tłumaczeń. Anna próbuje go na siłę odciągnąć, a wtedy on ją odpycha, mocno, dwiema rękami. Dziewczyna robi dwa kroki do tyłu, wtedy zbliża się do niej i robi zamach ręką, jakby chciał ją uderzyć w policzek. Jego dłoń jednak zawisa w powietrzu.

– Uderz! – woła dziewczyna. – No dalej, gnoju!

– Waż słowa, gówniario – cedzi przez zęby, mierząc w nią palcem.

Wpatruję się w nich tak intensywnie, że aż zaczynają mnie piec zewnętrzne kąciaki oczu. Wyczuwam na sobie dłoń matki. Odciąga mnie do tyłu, potem obchodzimy ich ostrożnie, przemierzając wypłowiwały trawnik.

Kos opuszcza dłoń, potem rozgląda się na boki, nie zwraca jednak uwagi na nas. Chce chyba się zorientować, czy ktoś jeszcze to widział. Wyżyłowany staruszek wciąż na nas patrzy w oddali, obojętny i spokojny. Nie znam jego nazwiska, rodzice pewnie tak, ale teraz najważniejsze jest dla mnie to, że Kos opuścił dłoń. Matka ścisną kościstymi palcami telefon, cała jest rozedrgana, chyba rozważa, czy zadzwonić na policję. Anna wyzywa ojca od najgorszych. On jakby przejrzał na oczy. Milknie, potem spogląda na nas trzeźwiejszym wzrokiem. Teraz wygląda jak facet, z którym da się dogadać. Nikt tego jednak nie chce robić, po tym, co chwilę temu się stało. Rusza przed siebie, w stronę wyjścia. Zrezygnowany, milczący. W pewnej chwili jednak się odwraca, mówi:

– To nie przez zawał, nie wmówicie mi tego.

Wzdrygam się, jakbym patrzyła na turlający się w naszym kierunku granat. Na szczęście nie wybucha, tylko znowu oddała się w kierunku furtki, lekko chwiejąc się na nogach, jakby był podпиты.

Anna zaciska szczękę, jej twarz jest nienaturalnie napięta. Odrywa się od pnia czereśni. Poprawia materiał bluzy, który podwinął się na jej brzuchu, odsłaniając fragment bladego ciała, i rusza za ojcem.

– Ania, poczekaj! – wołam za nią.

Odwraca się w moją stronę.

– Jeśli będziesz chciała, możemy porozmawiać, w każdej chwili. Widzę, co się dzieje, rozumiem.

Wyrzucam z siebie słowa, chcę jej pokazać, że nie jest sama.

Ona spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby ciągle była w szoku, niemal bezgłośnie odpowiada:

– Dobrze.

Potem odwraca się do nas plecami i odchodzi.

Matka wciąż ścisną mi mocno przedramię, wpatrzona w oddalającą się Annę.

– Mamo, gdzie jest tato?

– Miał do mnie dojechać o tej piątej, przyjechałam wcześniej, bo chciałam trochę posprzątać. Oni też tu przyszli wcześniej.

Puszczą moją rękę i cicho stęka.

– Jezus Maria, co za człowiek – mówi. – Powiedział, że przyjechał do ciebie rano w sobotę, chyba nie zdążyłaś wrócić jeszcze ze Sławy. Chciał ponownie zobaczyć miejsce śmierci żony. Potem zadzwonił do mnie. Zaproponował, żebyśmy spotkali się wszyscy tutaj. Nie chciałam ci mówić tego wprost, sama nie wiedziałam, czy powinnaś tutaj być, a ty przysłałaś i tak. – Patrzy na mnie z wdzięcznością.

– Zobaczyłam jego auto pod parkiem. Wracałam z rynku do domu.

Mama przykładła dłoń do klatki piersiowej, rozgląda się, jakby szukała jakiegoś krzesła. Szybko idę do altanki i wynoszę z niej taboret. Mama siada i opiera dłonie na kolanach.

– On nie może robić takich rzeczy, nachodzić nas – mówię. – Słyszałaś, co powiedział? „Nie wmówicie mi, że to był zawał”. Jakby podejrzewał, że ona nie spadła sama.

– To furiat. Lucyna zawsze tak o nim mówiła, ale niegroźny.

– Widziałaś, jak się zamachnął na córkę? – pytam. – Myślę, że gdyby nie my, toby ją uderzył.

– Gdyby to zrobił, od razu bym zadzwoniła na policję! – Matka kłuje powietrze serdecznym palcem. – On jednak później uspokoił się, sama widziałaś.

– Myślę, że on może mieć jakiś problem z psychiką.

– Tak, poważny problem. – Matka patrzy na złamaną przez Kosa białą hortensję.

Stanął na niej, gdy szamotał się z Anią. Wstaje z krzesła i zrywa łodygę kwiatu, potem gładzi kulisty pąk i siada z nim z powrotem na krzesło. Zrezygnowana, zmęczona.

– Zadzwoni do taty, powiedz, żeby przyjechał szybciej – mówię.

Matka najpierw nie reaguje, jakby ogłuchła. Wciąż patrzy na hortensję, pogrążona w myślach. W końcu mówi:

– Początkowo szukała jakiejś dobrej szkoły językowej, a ja ją namówiłam, żeby spróbowała u ciebie. Mówiła, że trochę drogo wyjdzie. Czteryście złotych miesięcznie, że w szkołach taniej.

Nic nie odpowiadam. Dopada mnie zmęczenie. Adrenalina opadła, pozostał spokój, ćwierkanie ptaków, szum pociągu płynący z oddali. Słyszę, jak matka rozmawia przez telefon z tatą. Udaje mi się dotrzeć do jego przyjazdu. Potem rodzice odwożą mnie do domu, w drodze postanawiamy zgłosić najście Kosa na policji. Ja jednak jestem na to zbyt zmęczona. Proszę, żeby ojciec zostawił mnie na Lustrzanej. Rodzice sami jadą na komisariat. W domu przed snem zamykam wszystkie okna i drzwi. Potem idę na górę, słysząc dziwne trzaski dobiegające z parteru. Wracam tam zatem i współprzutomna obchodzę jeszcze cały dom w poszukiwaniu źródła hałasu. Potem dociera do mnie, że to okap kominowy wyrastający z sufitu w kuchni. Na dworze zerwał się wiatr, który przedostaje się do wyciągu przez szyb wentylacyjny. Nie dopuszczam do siebie innej możliwości. Nie mogę ulegać omamom.

Wizyta 6

Czekam tu na ciebie od dobrej godziny. Dziś ciężko mi było przedostać się do twojego domu, bo cały czas ktoś się kręcił po ulicy. Najpierw sąsiad z naprzeciwka odkurzał w samochodzie, potem co chwilę ktoś przechodził. Nie wiem, kogo tu znasz, kogo nie. Wchodzenie do ciebie frontowymi drzwiami to wielki problem, utrudniłaś mi zadanie tą zasuwką. Co prawda idę do ciebie od strony ogrodu, tylko później jest ten moment, kiedy muszę obejść dom, i wtedy wystawiam się na pokaz. Nie trwa to długo, jakieś dwadzieścia sekund, mimo wszystko ktoś może coś zauważyć. Czuję, że niebawem i tak moje wizyty w twoim domu się skończą, prawda wyjdzie na jaw. Wszystko przez policję, czuję, że się do mnie zbliżają, jeszcze mnie nie widzą wyraźnie, ale wkrótce to może się zmienić.

Jednak zabrałaś tę kartkę ze sobą do Sławy albo ukryłaś ją gdzieś w domu. Nie wolno mi było szukać jej zbyt zamasyście, bo zorientowałabyś się, że coś jest nie tak, rzeczy nie leżą tam, gdzie powinny. Czasem i tak coś przestawiam, ale ty tego nie widzisz. Pewnie myślisz, że sama to zrobiłaś w chwili zmęczenia.

Dlaczego dałaś im tę kartkę? Chyba rozumiesz, że działam w dobrej wierze. Gdyby nie ja, do tej pory wierzyłabyś w każde jego słowo. Wróciłby już do ciebie „ze szpitala” i dalej wmawiałby ci, że jest chory. A ty byłabyś w pułapce własnej uczciwości, przez której pryzmat patrzysz na innych. Brutalna prawda jest lepsza od kłamstw, pamiętaj o tym, proszę.

W zeszłym tygodniu udało mi się usłyszeć waszą rozmowę. Wyszliście na taras. Jego niski charyzmatyczny głos sięgał moich uszu, nieco zakłócony przez powiewy wiatru. Jednak dotarło do mnie, że rzekomo ma neuroboreliozę. Jedzie do jakiegoś szpitala w poniedziałek. Ponoć w pracy rozpowiadał, że wybiera się w zupełnie inne miejsce.

Ciężko mi było znieść myśl, że będziesz mu wierzyć, czekać na niego. To chyba zazdrość. Nie podobał mi się sposób, w jaki na niego patrzyłaś, a już ten pokaz, który daliście na krześle, był co najmniej nie na miejscu. Prawie pieprzyłaś się z nim w ogrodzie. Udało mi się zdobyć dokładny adres jego pobytu. Dostałaś go ode mnie w prezencie.

Zanim wchodzę do twojej sypialni, idę do gabinetu, odsuwam szufladę w biurku i oddaję ci klucz. Chowam go pod stertą papierów. Udało mi się już dorobić kopię. Po ostatnich wydarzeniach wiem już, że ostrożności nigdy za wiele. Dopiero potem zbliżam się do ciebie. Leżysz wtulona w pościel, tak jak zawsze. Piękne jest to, że pewne rzeczy się nie zmieniają, bez względu na wszystko. Mam przy sobie nóż, który zranił twojego

kochanka. Na ostrzu jest jeszcze trochę jego zaschniętej krwi. Przypomina mi o tym wieczorze w lesie. Na myśl o nim czuję dumę, że nareszcie coś ode mnie zależy, jak na przykład życie i zdrowie kogoś innego. To wzmacniające, uwierz mi. Może czyn jest zły, ale potężny, nie każdy miałby odwagę coś takiego zrobić. Takie rzeczy sprawiają, że człowiek może poczuć się wyjątkowo.

Nie wiem, w jakim on jest stanie, ponoć przeżył. Nie stanęliśmy jednak twarzą w twarz, nie będzie potrafił mnie wskazać – przynajmniej mam taką nadzieję. Nie potrzebuję wiele, jeszcze tylko kilka spotkań z tobą w naszym niepowtarzalnym wymiarze. Z tym że teraz moje wizyty u ciebie trochę się rozregulowały i doskwiera mi to, że nie wiem, jak bardzo jesteś pogrążona we śnie.

Nie sypiasz regularnie. Muszę polować na twój sen, jak myśliwi na sarnę, która pojawia się i znika między zaroślami. Przyglądam się uważnie twojej twarzy, zastanawiam się, czy mogę wejść na materac.

Teraz, gdy okno nad łóżkiem wypełnia smutna szarość wieczornego nieba, postanawiam mimo wszystko zaryzykować. Wchodzę kolanem na łóżko, a ty odwracasz się do mnie plecami, robisz to natychmiast, bardzo przytomnie. Krew uderza mi do głowy, mam wrażenie, że zaraz się podniesiesz i jednak nie będziesz zadowolona z tego, że tu jestem.

Polegam teraz tylko na instynkcie. Zostać czy nie? Zaakceptujesz mnie czy się przestraszysz? Może jednak nie tak wyobrażałaś sobie naszą rozmowę na ten temat?

Przez moment nie oddycham, wpatrując się w ciebie jak w obracające się koło ruletki. Drapiesz się za uchem, jakbyś już nie spała. Coś głęboko w środku każe mi się wycofać. Zabieram kolano z łóżka i najciszej jak się da idę w kierunku drzwi. Nie ruszasz się. To dobrze. Potem schodzę na dół, delikatnie stawiając każdy kolejny krok. Jestem już na parterze. Przez okno w kuchni widzę, że sąsiadka z naprzeciwka właśnie podlewa kwiaty stojące na parapecie werandy. Muszę poczekać. Jeśli wyjdę teraz, może mnie zobaczyć. Wszystko trzęsie mi się przed oczami, gdy kobieta wreszcie chowa się do swojego domu. Wtedy wyłaniam się zza drzwi i ostrożnie zamykam je od zewnątrz. Nie wiem, czy dociera do ciebie ten dźwięk czy nie, teraz o tym nie myślę. Schodzę po schodach, z przerażeniem odkrywając, że gapi się na mnie dziewczynka oparta o bmx, stojąca na chodniku. Próbuję zachowywać się naturalnie, jakby to był mój dom. Idę przed siebie na drżących kolanach, dziewczynka traci zainteresowanie, rusza na swoim rowerze przed siebie, a ja obchodzę budynek z myślą, że czas spróbować czegoś nowego. Mam dość tego igrania z ogniem.

Rozdział 17

Jestem w parku. Idę po wielkim dywanie suchych liści. Nade mną wisi czarne niebo, ale ciemność nie sięga złocisto-brunatnego podłoża, które szeleści przy każdym kroku. W oddali leży ona w białych rajstopach z oczkiem nad kolanem. Oczko jest spore i wydaje się lubieżne. Widać przez nie sprężyste młode udo, niepasujące do wieku, którego domyślam się na podstawie widoku jej twarzy. Usta są wygięte w uśmiechu, oczy patrzą żywo w ciemny nieboskłon. Żyje. To odkrycie jest jak powiew chłodnego wiatru w upalny dzień.

– Pani Lucyno, jak dobrze. – Przyklekam przy niej. – Zaraz wezwę pomoc.

– Sobie pomóż – odpowiada.

Wtem słyszę metaliczny chrobot dobiegający z nieba, jest głośny i niezachwiany, w przeciwieństwie do sylwetki pani Lucyny, której już nie ma, został po niej tylko lekki podmuch.

Właśnie doświadczam tego frapującego odkrycia, że to tylko mi się śni. A brzdęk metalu przypląnął spoza tego zniekształconego świata.

Jak to jest, że śniący człowiek potrafi tak długo trwać w rzeczywistości, która go oszukuje? Przyjmować ją bez cienia sprzeciwu, choćby zachodziły tam zjawiska wynaturzone. Dopiero później nadchodzi ta przejmująca chwila, w której zaczyna tę rzeczywistość podważać. Wynurza się z niej na powierzchnię, myśląc, że miał dziwny sen. Ale śnił go przecież i trwał w nim, stosując się do obowiązujących w nim zasad. Nie ma chyba człowieka, który umiałby natychmiast po rozpoczęciu koszmaru powiedzieć „stop, nie zamierzam brać w tym udziału”. Ja też tego nie potrafię.

W sypialni jest jeszcze jasno. Nie wiem, ile spałam, nie nastawiałam budzika. Wydaje mi się, że usłyszałam rygiel zamka. Może to rodzice przyszli do mnie po wizycie na komendzie, chcąc zdać relację z tego, jak było?

Schodzę na dół, patrząc w stronę sieni. Jest pusta, nikogo nie ma. Podchodzę do drzwi wejściowych i ciągnę za klamkę. Są zamknięte. Kręcę korbką i po chwili czuję już ciepło na szyi, nieznośne, męczące, jakbym zaraz miała się zagotować.

Korba zamka przekręcona jest tylko raz. Przecież zawsze przekręcam ją dwukrotnie. To już druga taka sytuacja, w niedużym odstępnie czasu, gdy zamek nie jest przekręcony do końca. Co prawda dopuszczam do siebie możliwość, że mogłam tego nie zrobić, ale mimo wszystko odczuwam niepokój. Jest większy niż ostatnio. Przez ten list, przez świadomość tego, że parę dni temu ktoś tu przyszedł i mi go tu zostawił.

Jak Mateusz może mi doradzać, żebym nie myślała o autorze tej wiadomości? To niepoważne. Ta osoba dominuje teraz w moich myślach, nie spocznę, póki nie dowiem się, kim ona jest.

Dzwonek telefonu rozdziera nieznośną ciszę. To mama.

– Halo.

– Cześć, już jesteśmy po wizycie na komendzie.

– Mamo, byliście u mnie przed chwilą? – wchodzi jej w słowo.

W tle słyszę jakieś pikanie, które kojarzy mi się ze skanerem kodów z supermarketu. Dochodzi do niego głos taty, pyta mamy, czy ma złotówkę.

Są w sklepie.

– Poczekaj – zwraca się do mnie mama.

Chyba szuka tej monety. Nie było ich u mnie, to pewne.

– Nie byliśmy u ciebie, jesteśmy przy kasie w Lidlu. Dlaczego pytasz?

– Zdawało mi się, że was słyszałam.

– To pewnie ci się przyśniło.

Niby niewinne zdanie, jednak jego ton temu przeczy.

– Nie chcesz wiedzieć, jak było na komendzie? – pyta, jakby to było dużo ważniejsze od mojego problemu.

– Domyślam się, jak było, mamo. Powiedzieliście, że Kos był agresywny, a oni, że przyjęli do wiadomości i może z nim pogadają. Nikogo nie pobił, nikomu nie groził, nie zrobią mu za wiele.

Mama prycha do słuchawki, jakby chciała za tym prychnięciem ukryć osłupienie, w które ją wprawiłam, trafnie oceniając sytuację.

– Powiedzieli, że z nim porozmawiają – mówi.

– Właśnie mówię.

– Wyglądali tak, jakby zdawali sobie sprawę z tego, że on jest do tego zdolny – kontynuuję. – Nie było tej policjantki, tylko jakiś facet, ale znał temat.

– To mała komenda, wszyscy znają ten temat.

– Cała Oława go zna.

– Muszę kończyć, mamo.

– OK, cześć – żegna się ze mną, a ja odkładam telefon na konsolę.

I znowu jestem sam na sam z tą metalową korbką, której dźwięk słyszałam chwilę przed przebudzeniem. Odwracam się od niej plecami, patrzę na drzwi tarasowe, profil płaskiego telewizora przy ścianie. Widać za nim plataninę kabli upchniętych bez ładu i składu. Montował go jeszcze Antoni. Wtedy czuł się na siłach, żeby to zrobić, choć rozstali się już z Idą. Zdradził ją i ciocia, choć go kochała, to zaczęła traktować go jak

powietrze. On pogrązał się przez to w coraz większej melancholii, która potem obróciła się w depresję.

– Nie boisz się mieszkać w tym domu? – zapytała mnie Aśka po śmierci Idy. – Umarły w nim już dwie osoby, jedna w bardzo nieciekawych okolicznościach.

Wtedy zbyłam jej słowa wzruszeniem ramion, nie zapadały we mnie tak głęboko jak teraz, kiedy przez moment oddaję się irracjonalnym przypuszczeniom, mającym wymiar metafizyczny. Po śmierci Lucyny liczba zmarłych w tym domu zwiększyła się do trzech.

Biorąc pod uwagę moją chorobę i omamy hipnagogiczne, których doświadczam od wielu lat, mogłabym bez trudu wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone. Mogłabym, ale nie robię tego, bo wtedy naprawdę bym oszalała.

Ktoś tu był. Ten wniosek rozwija się we mnie jak poważna choroba, raptownie zmienia wszystko. Skąd jednak wziął klucz? Nie zastanawiając się nad tym długo, pędzę schodami na górę. Wpadam do gabinetu, otwieram szufladę. Szukam zapasowego klucza. Przerzucam niezapłacone rachunki, notesy, kilka banknotów, stary portfel, do którego miałam je włożyć. Klucza nie ma. Jak to możliwe? Wysuwam szufladę z szyn do końca, chcę ją wyciągnąć całkowicie, ale trzyma się ich mocno. W końcu jednak słyszę bolesny dla uszu trzask i upadam z nią na podłogę. Wysypuję z niej wszystko, jak z przepastnej torby. Szukam błysku na drewnianej podłodze, wszędzie tylko papier, który bezlitośnie szeleści mi pod palcami, i nagle widzę fragment pomalowanego na złoto metalu, lśni obok zużytego długopisu. Jest. Sama nie wiem, czy jego widok mnie cieszy czy martwi.

– Aaa! – krzyczę głośno, wplatając palce we włosy.

Czy to ja!? Czy rzeczywistość!? Co się tu dzieje?!

Podnoszę się z ziemi i robię wielki krok nad bałaganem, obok którego spoczywa uszkodzona szuflada.

Wychodzę z gabinetu, dysząc głośno przez nos, próbując zapanować nad nerwami. Chyba wołałabym, żeby tego klucza nie było w szufladzie. Miałabym dowód na to, że ten metaliczny chrobot mi się nie przyśnił. A teraz jestem rozdarta. Patrząc na zamek od drzwi wejściowych, czuję się tak, jakbym stała naprzeciwko starego obrazu, na którym coś się poruszyło. Ten fakt jest niepodważalny, ale też trudno dać mu wiarę.

A co, jeśli ten ktoś ciągle tu jest? Wszedł i przekręcił korbę, żeby nikt nie dostał się do środka? Skradam się do kuchni, jak lwica podejrzewająca, że gdzieś tam może być jakaś zwierzyna łowna. Potem wyciągam z szuflady duży srebrny nóż. Jakaś część mnie podpowiada, że to, co robię, jest nienormalne, to przez nią nie dzwonię na policję. Jest jednak jeszcze strach, który domaga się weryfikacji czarnego scenariusza z włamywaczem w roli głównej. W każdym razie nóż zostaje w mojej dłoni. Choć używam go codziennie, teraz wydaje się dużo cięższy, a jego rękojeść chłodniejsza.

Trzymając za nią mocno, sprawdzam wszystkie pomieszczenia, w których czekają na mnie tylko stare witryny z kryształowymi naczyniami i lakierowane meble.

Nikogo tutaj nie ma. Jestem sama w domu, ale być może nie byłam. Odkładałam nóż z powrotem do szuflady i wychodzę na dwór. Idę do Liry. Może jakimś cudem coś widział. Pukam do drzwi, ale nie otwiera. W mieszkaniu jest cicho, chyba go nie ma.

Gdy wracam po schodach, na myśl przychodzi mi Kuba. On ma jeszcze jeden klucz. Wiem, że leży w szpitalu, ale do jego rzeczy z pewnością ma dostęp żona. Nie wiem, gdzie w tym momencie jest. Beata kojarzy, gdzie mieszkam. Zatrzymuję się na werandzie. Rozglądam się po okolicy. Sąsiadka wychodzi właśnie z psem na spacer, kiwa mi głową na powitanie, uśmiecha się.

– Dzień dobry! – wołam do niej i szybko podchodzę do furtki.

Pani Danuta powoli zbliża się do mnie, ciągnąc za sobą sapiącego buldoga, który zawsze wygląda, jakby się uśmiechał.

– Dzień dobry.

Zerka na dom, jakby chciała przejrzeć go na wylot, jej paciorkowate oczy zdają się przesuwac po kolejnych oknach.

Rozmawiałam z nią kilka razy w życiu, przeprowadziła się tu z mężem mniej więcej dwa lata temu, odkupili dom od pary, której nie było stać na to, żeby go skończyć. Do tej pory nie mają zrobionej elewacji i ogrodzenia. Za to wszędzie wiszą skrzynki z kwiatami, już nieco wypłowiałymi, ale zadbanymi.

– Czy nie widziała pani kogoś kręcącego się koło mojego domu?

Dopiero gdy wypowiadam to pytanie na głos, słyszę, jak dziwnie brzmi.

Kobieta mruga, jakby próbowała po swojemu zrozumieć jego sens.

– Nie widziałam nikogo – odpowiada w końcu ostrożnie. – A czeka pani na kogoś?

– Nie, ale wydawało mi się, że ktoś u mnie był.

– Policja?

Przykłada dłoń do ust, jakby zdała sobie sprawę, że się zagalopowała.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska – mówi dalej – ale wiadomo, ten wypadek, to takie straszne było.

Cieszy mnie, że nazywa śmierć Lucyny wypadkiem. Nie rozmawiałam z nią od tamtego felernego piątku, tylko kilka pozdrowień na powitanie, wymienionych w pośpiechu.

– Trzyma się pani jakoś?

– Tak. Pani Lucyna przeszła zawał serca. To dlatego spadła. Chorowała na serce już wcześniej – tłumaczę jej.

Oczy pani Danuty są teraz takie żywe, jakby nabrały nowej energii.

– Ale jak to? Z antresoli spadła, tak? Tam dostała zawału?

– Najprawdopodobniej.

Rozmawiam z nią jeszcze chwilę o Lucynie, a potem wracam do domu, odrobinę spokojniejsza. Jakby pobyt na świeżym powietrzu napełnił mnie nową, lepszą energią.

Wychodzę na taras, bo na dworze czuję się teraz zdecydowanie lepiej. A co, jeśli ten metaliczny chrobot tylko mi się uroił? Nie raz słyszałam podczas snu wyraźniejsze dźwięki niż odgłos przekręcanej korby zamka. Radosny śmiech Idy, tuż po jej śmierci, charakterystyczne chrząknięcia Antoniego przerywające koszmar, w którym spadam z wieżowca. Czekałam, aż wszystko ucichnie, potem otwierałam oczy, wstawałam z łóżka i żyłam dalej.

Teraz jednak moje życie nie jest już takie spokojne, a omamów przybyło. Potem myślę, że może być też tak, że ktoś dobrze wie, jak funkcjonuje mój umysł, i sprytnie tę wiedzę wykorzystuje. To byłoby straszne. Nigdy przesadnie nie kryłam się ze swoją chorobą, jeśli ten temat wypłynął, mówiłam szczerze, jak jest.

Dociekliwa osoba mogła wejść do sieci i wpisać nazwę mojej przypadłości w wyszukiwarce, dowiedzieć się więcej o chorobie i o mnie.

O narkolepsji wie Mateusz. Wie Kuba, może wiedzieć Beata (detektyw mógł to ustalić) i wie policja – Walewska zgłębiła temat, być może komuś opowiedziała. Uczniowie i sąsiedzi raczej nie wiedzą, choć nie mam pojęcia, jak teraz. Tragedia, która rozegrała się w moim domu, obnażyła mnie przed mieszkańcami Oławy, nie wiem, czy również w tym aspekcie.

Nagle słyszę świdrujące brzmienia gitary elektrycznej, przez które przewijają się agresywne uderzenia klawiszy i perkusji. Są głośne, płyną zza moich pleców, odwracam się w kierunku domu i widzę, że okno w mieszkaniu Liry jest uchylone, to stamtąd wylatuje ten impulsywny utwór z zapętlonym rytmem. Docierają do mnie słowa wokalisty, niczym groźby rozcinające chłodne powietrze:

„I’m a trouble starter, punkin instigator”. „Jestem źródłem problemów, pieprzonym prowokatorem”.

To Prodigy, *Firestarter*.

„W co on ze mną gra?”, pytam samą siebie w myślach. Udawał, że go nie ma, gdy chwilę temu chciałam z nim porozmawiać. Ruszam w kierunku schodów, wspinam się na górę i walę w drewniane drzwi pięściami, ale nie otwiera. W przypływie desperacji naciskam klamkę, drzwi są otwarte.

Nie wchodzę od razu, nachodzi mnie myśl, że zrobił to specjalnie. Puścił głośno muzykę, żeby mnie zwabić do siebie. Znowu przemawia przeze mnie ta płochliwa część osobowości, która wierzy w to, że ktoś był w moim domu, gdy spałam.

Ciekawość jednak nie pozwala mi tak po prostu odejść. Zaglądam przez uchylone drzwi do środka, w oddali, za wąskim korytarzem wyłożonym boazerią widzę fragment

sztalugi. Co jakiś czas pojawia się przed nią wytatuowana ręka Liry, chyba trzyma pędzel, maluje. To spostrzeżenie mnie odrobinę uspokaja. Nie wiem, czego się spodziewałam. Że będzie tu czekał na mnie z nożem w ręku? Oto jakie mam skojarzenia po wyjeździe do Sławy.

Wchodzę do środka osaczona dźwiękami, nie słysząc własnych kroków. W lokalu istnieje tylko hipnotyzujący głos Keitha Flinta i *Firestarter* rozsadzający ściany.

W przedpokoju leżą jego czarne adidas. Próbuję ocenić ich rozmiar. Zdaje się, że coś około 42. To spostrzeżenie rozplywa się po moich żyłach, mrozi krew. Przez moment nawet rozważam, czy się nie wycofać, ale nie mogę przecież popadać w paranoję.

Idę do salonu, gdzie zastaję Lirę z pędzlem w dłoni. Właśnie muska nim ostrożnie obraz. Potem szybko odsuwa się do tyłu, jakby nie chciał nic popsuć, jakby sama jego bliskość mogła to uczynić. Teraz patrzy na malunek z pędzlem tuż przy piersi, usta ma lekko rozchylone, oczy świecące niczym dwa lampiony. Chyba już kończy. Obraz widzę bokiem, tę bladą rękę na tle długich czarnych włosów, jakby chciała sięgnąć twarzy. Dalej jest coś jeszcze, ale tego już nie dostrzegam. Wracam wzrokiem do Liry i patrzę na niego tak, jak się patrzy na eksponat w muzeum, bo w tej chwili wydaje się zintegrowany ze swoim dziełem, jakby stanowił jego istotną część. Widok malarza łagodzi i podsyca mój gniew jednocześnie. Głowę opinają mu duże niebieskie słuchawki, jest czysty, na jego szarym gładkim T-shircie nie widzę ani jednej kropki farby.

Obraz zdaje się go pochłaniać, niczym sen. Nie ma go w mieszkaniu, jest w alternatywnej rzeczywistości, którą sam sobie stworzył.

Nawet nie zauważa, gdy podchodzę do wieży segmentowej stojącej przy oknie, obok paproci, i wciskam czarny klawisz z symbolem białego kwadratu. Mocarny utwór urywa się w jednej chwili, co wydaje się nierealne. Przed chwilą wypełniał całe mieszkanie, a teraz zniknął. Cisza jest wręcz dotkliwa. Lira odwraca się do mnie przodem, jeszcze nieobecny. Jego spojrzenie powoli przytomnieje. Jestem teraz dla niego tym, czym we śnie był dla mnie dźwięk korby zamka. Moja postać przedostaje się do niego powoli. W końcu mówi:

- Dlaczego wyłączyłaś muzykę?
- Bo pękały mi od niej szyby w oknach.
- Słuchałem na słuchawkach.

Ściąga je powoli z uszu i patrzy na jeden z nauszników, chyba jest tam jakiś przycisk. Siłuje się z nim parę sekund.

- Chyba coś się popsło – mówi w końcu. – Musiało przejść na głośniki, nie zauważyłem.
- Chwilę temu przesłałam ci przed oczami i tego też nie zauważyłeś.
- Zawsze tak mam, gdy pracuję.

– Długo pracujesz?

– Nie rozumiem – uśmiecha się i znowu spogląda na obraz, tym razem inaczej.

Świadomość mojej obecności spłyca jego spojrzenie.

– To normalne pytanie.

– Pracuję dwie godziny – odpowiada przesadnie wyraźnie, jakby hamował irytację.

– Byłam tu jakiś kwadrans temu, chciałam z tobą porozmawiać.

– Widocznie nie słyszałam. – Rzuca słuchawki na fotel stojący przy ławie. – Wtedy jeszcze działały.

Potem opiera się plecami o ścianę obok okna.

– Słucham, o czym chciałaś rozmawiać?

– Skończyłeś już obraz?

Unosi brwi i śmieje się nerwowo.

– Przyszłaś porozmawiać o moim obrazie?

Coś w jego śmiechu mi się nie podoba, wyczuwam w nim lęk, przez który sama znowu zaczynam się denerwować. Lira spogląda w kierunku uchylonych drzwi na końcu korytarza, nie zamknęłam ich. Chyba mu to przeszkadza. Uśmiech powoli spływa z jego twarzy, a ja instynktownie robię parę kroków do przodu, żeby mieć do nich bliżej niż on. Każe mi to zrobić coś zakorzenionego głęboko w umyśle, dbającego o moje bezpieczeństwo. Dopóki nie dowiem się, kto napisał do mnie ten list, nie zaufam nikomu.

Widzi zmianę mojego nastawienia. Spogląda na drzwi, na mnie, a potem znowu podchodzi do obrazu. Teraz już jednak nic na nim nie poprawia, tylko patrzy, ocenia po swojemu.

– Widziałeś może kogoś kręcącego się pod domem jakieś dwadzieścia minut temu?

– Nie. – Wciąż patrzy na obraz. – Dlaczego pytasz?

– Bo mam wrażenie, że ktoś był u mnie w domu, gdy spałam.

– Może twoja mama.

– Na pewno nie, pytałam ją.

Odrywa wzrok od malowidła i spogląda na mnie ze współczuciem w oczach. Pewnie myśli, że zwariowałam. Najpierw buszuję po ogrodzie z latarką w ręku, potem wypytuję go o list, który ktoś zostawił mi pod skrzynką, a teraz znowu podejrzewam, że kręcił się tu jakiś obcy człowiek. Tylko list z tego wszystkiego jest prawdziwy, reszta to moje przysenne wrażenia, być może nierealne.

– Ja mało rzeczy widzę, Wera. Siedzę w mieszkaniu i pracuję. Kiedy maluję, nic więcej mnie nie obchodzi.

„Niezbyt piękne”, przypominam sobie komentarz Mateusza na temat obrazów Liry. Teraz, gdy stoję w jego pracowni, patrzę w te zmęczone oczy, słowa mojego byłego

jawią się jako okrutne i płytkie. Lira zdaje się wypłukany, pusty w środku, wszystko, co miało jakąś wagę, dźwiga teraz sztaluga.

Pragnę to zobaczyć. Robię parę kroków w bok, bez słowa, Lira obserwuje moje ruchy, nie reagując. W pewnym momencie nawet wycofuje się pod ścianę, jakby chciał, żebym miała lepszy widok. Już skończył i teraz pozwala mi zobaczyć efekt swoich starań. To intymna chwila, pełna niepokoju i fascynacji, jakbym zaraz miała zobaczyć jego nagie ciało. Już widzę obraz w pełnej okazałości i czuję się tak, jakby coś wgrzyzało mi się w żołądek. Namalował mnie. Widzę wyraźnie swoją bladą twarz otoczoną długimi czarnymi włosami kontrastującymi z białym koronkowym kołnierzykiem bluzki. Mam podobne zdjęcie profilowe na Facebooku. Jedyne, jakie kiedykolwiek tam zamieściłam. Na nim jednak delikatnie się uśmiecham, a na obrazie Liry jestem poważna, zasepiona. Dłonią odgarniam włosy z policzka, oczy mam nienaturalnie wielkie i płytkie, jakby nie należały do mnie. Są obojętne, lodowate, nie ma za nimi życia. Wracam szybko na swoje bezpieczne miejsce, tuż przy korytarzu, skąd mam zaledwie kilka kroków do drzwi. On nie wygląda tak, jakby chciał mnie powstrzymać przed wyjściem. Jest raczej zrezygnowany czy może raczej pogodzony z moją reakcją. Liczył się z nią, pozwalając mi podejść do swojego dzieła.

Choć nie widzę już obrazu, w mojej głowie utrwalił się jego mroczny widok.

– To chore – wyduszam z siebie.

– Nie podoba ci się – stwierdza.

– Nie, jestem po prostu... – nie potrafię dokończyć.

Kiwa głową.

– Wybacz, to było ode mnie silniejsze.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam.

Kręci głową, wzrusza ramionami, wpatrzony w stół kawowy.

– Znalazłeś moje zdjęcie w internecie.

– Tak.

– Nie wyglądam na nim tak, jak mnie przedstawiasz. – Wskazuję dłonią na sztalugę. – Zrobiłeś ze mnie demona. Te oczy, one... – szukam odpowiedniego słowa – ...one są martwe.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jakikolwiek obraz może tak mocno do mnie przemawiać. Widocznie tak jest, gdy człowiek patrzy na swój portret, szczególnie jeśli został stworzony przez artystę, który angażuje się w każde swoje dzieło tak bardzo jak Lira. Choć twarz miałam kanciastą, a cerę nierealnie białą, niemal niebieskawą, to jednak wyczuwałam od obrazu własną energię, lecz zmaconą czymś obcym, bezkształtnym złem.

– Najpierw namalowałem cię uśmiechniętą, odtworzyłem twarz ze zdjęcia, ale wtedy zrozumiałem, że czegoś ci brakuje. Teraz jestem w pełni zadowolony z efektu – mówi pewnie.

– Tak mnie postrzegasz?

– Nosisz w sobie jakieś ponure dopełnienie, wybaczone, Wera, że ci to mówię. Wszystko zaczęło się od naszego spotkania nocą w ogrodzie. Szukałaś kogoś... – uśmiecha się słabo, jakby chciał mnie przeprosić, że mi to wypomina. – Pamiętasz? Może szukałaś tej osoby? Nie wiem – przerywa i na moment chowa twarz w dłoniach. – Czasem mój odbiór rzeczywistości jest zniekształcony. Mówiłem ci, że maluję to, czego nie rozumiem.

– Chcesz mnie zrozumieć?

Krzyżuję z nim spojrzenie. Przestrzeń między nami wypełnia się czymś w rodzaju ładunku elektrycznego.

Odwracam wzrok, czując, jak szyję podmywa mi strumień ciepła.

– Od razu to poczułem, ten impuls – mówi, a mi robi się jeszcze cieplej.

Kiedy już chcę się wycofać, dodaje:

– Dowiedziałem się, że jakiś facet popełnił tu samobójstwo. Nie wspomniałaś o tym, gdy przyszedłem tu pierwszy raz.

Spoglądam na niego ponownie, atmosfera między nami gęstnieje jeszcze bardziej. Przez głowę przelatuje mi myśl: „Wiedział, cały czas wiedział”.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Ludzie w internecie piszą, że ten dom jest nawiedzony. Ta kobieta spadła z antresoli, a kiedyś ktoś popełnił tu samobójstwo.

„O Idzie nie piszą”, myślę, „nie wiedzą albo jej śmierć jest zbyt normalna na to, żeby o niej pisać”.

– To prawda, Antoni, były mąż Idy, wcześniejszej właścicielki domu, popełnił tu samobójstwo. Nie wiem jednak, jaki to ma związek z... – Unoszę dłoń i wskazuję nią na obraz.

– Gdzie to zrobił? – pyta.

– Na kanapie.

– Na tej kanapie?

– Tak.

– Śpię na niej, czasami.

Nic nie odpowiadam.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej?

– Bo samej ciężko mi się o tym mówi. Ja go znalazłam.

– Jak to zrobił?

- Połknął dużo tabletek nasennych. – Przełykam ślinę. – Moich tabletek.
- Twoich?
- Tak.

Normalnie powiedziałabym mu teraz, że mam narkolepsję, ale nie odnajduję w sobie ani zaufania, ani energii, żeby dzielić się z nim tą informacją. Zresztą możliwe, że i tak już wie. Był przesłuchiwany przez Walewską, ten temat mógł wypłynąć.

- Słuchaj, chciałam ci powiedzieć o Antonim, ale planowałam zrobić to później.
- W porządku.
- Tak czy inaczej, nie miałeś prawa wykorzystywać mojego wizerunku.
- Mam prawo malować, co mi się tylko podoba. To, czy upublicznję swój obraz, jest odrębną kwestią.
- Nie zrobisz tego.
- Zrobię, jeśli się zgodzisz.
- Nie ma mowy – odpowiadam i szybko wychodzę z mieszkania.

Przeraża mnie tupot moich kroków, przeraża mnie boazeria na ścianach i on, uznany artysta widzący we mnie drugie, mroczne oblicze. Namalował je, więc istnieje. Mam wrażenie, że we mnie wsiąka, staje się czymś niepodważalnym. Zatem to robił przez minione dni, ukryty za grubymi, pofałdowanymi zasłonami. Czuję się tak, jakby coś mi ukradł. Coś wielkiego, ukrytego w moim wnętrzu, z czego istnienia nawet sama do końca nie zdaję sobie sprawy.

Rozdział 18

Tej nocy śpię na dole, przy świetle zapalonym zarówno w kuchni, jak i w salonie. Sen mam nierówny, nawet jak na mnie. Zrywam się co godzinę lub dwie, do bólu przytomna. Ani myślę jednak, żeby wziąć środki nasenne, wolę zachować czujność.

Po głowie rozchodzą się myśli o obrazie, który namalował Lira. Sprytnie to rozegrał, gdy go zapytałam o ten demoniczny portret. Natychmiast odwrócił kota ogonem. Wzbudził we mnie poczucie winy, że nie powiedziałam mu o samobójstwie Antoniego. Nie wyglądał jednak na bardzo przejętego tym faktem, chyba nawet cieszył się, że dzięki temu mógł stworzyć nowe dzieło.

„Niezbyt piękne”. Chciałabym tak powiedzieć, ale niestety obraz ma w sobie to coś, jakąś nieuchwytną prawdę na mój temat. Lira jest dobrym obserwatorem rzeczywistości, zdążyłam się już o tym przekonać. Wyczuwa pewne rzeczy, nawet jeśli nie robi tego wprost, to w jego słowach i pracach zawsze kryje się głębszy sens.

Boli mnie krzyż od twardych poduszek sofy. Wciąż przewracam się z boku na bok. A co, jeśli to on podrzucił mi ten list? Szukał inspiracji, chciał przyjrzeć się wyzierającemu ze mnie mrokowi. Skąd jednak znałby miejsce pobytu Kuby? Przecież pochodzi z Wrocławia. Możliwe jednak, że zna tu kogoś w Oławie. Pytanie, czy byłby do czegoś takiego zdolny.

Kiedy nocą myślę o ludziach, wydają się zdolni do wszystkiego. Lira też.

Nalewam sobie herbaty w kuchni, chcę wrócić z filiżanką do salonu. Wtedy jednak zauważam błysk światła w oknie. Odchylam firankę i zamieram. Filiżanka, którą trzymałam w dłoni, wyslizguje się z niej i upada z piskiem na posadzkę. Drobne kawałki cienkiej porcelany rozpryskują się po całej podłodze.

Pod moim domem, na drodze, zatrzymał się właśnie srebrny sedan. To auto Kosa. Neonowa kość do gry niemal świeci w blasku latarni, która częściowo oświetla też jego szyję, choć twarz pozostaje zaciemiona. Wydaje mi się, że patrzy na dom, a potem na mnie. Przez moment wyczuwam ciężar jego spojrzenia w najdalszych zakątkach ciała, a potem rusza w dalszą drogę, jakby sam się wystraszył, gdy zdał sobie sprawę, że został przyłapany na obserwacji.

Rozgorączkowana odchodzę od okna. W pierwszym odruchu chcę zadzwonić pod numer alarmowy, zgłosić, że podjechał pod mój dom, jak psychopata. Pewnie wie już, że rodzice rozmawiali na jego temat ze stróżami prawa.

Przed zgłoszeniem sprawy na policję powstrzymuje mnie tylko ta jego nagła ucieczka, gdy zdał sobie sprawę, że go widzę. To był naturalny, ludzki odruch, który trochę mnie

uspokoił. Poczułam się tak, jakbym miała nad nim minimalną przewagę.

W końcu postanawiam rano zatelefonować do Walewskiej i na spokojnie opowiedzieć jej o tym, że Kos tu przyjechał w środku nocy. Teraz nie będę dzwonić pod numer alarmowy. Nie chcę, żeby znowu przyjechali do mojego domu, być może na sygnale, nie potrzebuję dodatkowego zamieszania. Już wystarczająco dużo plotek krąży po Oławie na mój temat. Niedługo będę musiała się stąd wyprowadzić, żeby móc jeszcze liczyć na zaufanie uczniów. Powinnam brać to pod uwagę, nie mogę zachowywać się tak, jakby moja przyszłość nie istniała.

On odjechał. Nie wygląda na to, żeby miał tu wrócić, choć fakt, że w ogóle się tu pojawił, sprawia, że ta noc robi się nie do zniesienia. Zostaję w kuchni jeszcze przez kwadrans. Parzę sobie uspokajające zioła. Potem wracam do salonu i czekam na świt, jakby światło słoneczne miało rozgonić wszystkie demony.

*

Poranek wita mnie szerokimi promieniami słońca wdzierającymi się do salonu przez okna i drzwi tarasowe. Padają na podłogę, oświetlają miejsce, gdzie leżała Lucyna, niczym światła jupiterów.

Wstaję z kanapy, obolała i niewyspana. Robię sobie kawę w kuchni i podchodzę do okna. Na ulicy nie ma żywej duszy. Wiatr, który ostatnio kołysał gałęziami drzew, ustał. Ulica wygląda tak, jakby uszło z niej życie. Mam wrażenie, że jedynym ruchem, jaki może się na niej pojawić, jest sunące po asfalcie auto Kosa patrzącego na mnie dziwnym wzrokiem, podobnie jak wczoraj po południu, gdy opuszczał działkę mojej matki.

Wpół do dziewiątej, zaraz po prysznicu, dzwonię do Walewskiej.

– Walewska, słucham?

– Dzień dobry, tu Krzycka.

– Tak?

– Chciałam zgłosić, że Andrzej Kos przyjechał w środku nocy pod mój dom. Zatrzymał auto na drodze i patrzył w okna.

Słyszę westchnienie. Policjantka mówi cicho, chyba bardziej do siebie:

– Co za facet. – Potem dodaje głośniejszym głosem: – Właśnie miałam do niego dzwonić, w związku z doniesieniem złożonym wczoraj przez pani rodziców.

– Myślałam, że już o tym wiedział i dlatego przyjechał.

– Nie, jeszcze z nim nie rozmawialiśmy. Dziś zamierzaliśmy to zrobić.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego tu był.

– Czy to pierwszy raz? – pyta Walewska. – Czy zdarzało się to już wcześniej?

– Chyba pierwszy, właściwie nie wiem. Tej nocy bardzo źle spałam i akurat wyjrzałam przez okno w kuchni, gdy zjawił się pod domem.

– Proszę się nie martwić, postaram się dziś odwieść go od ponownych prób kontaktu z państwem.

– Z pewnością jest niebezpieczny – mówię. – Wydaje mi się, że on może mieć problemy z psychiką. Wczoraj na działce zachowywał się co najmniej nieobliczalnie. W jednej chwili wyglądał jak szaleniec, a zaraz później łagodniał, jakby to szaleństwo nie miało miejsca. Bałam się o moją matkę.

– Z tego, co ustaliliśmy, pani matka sama pozwoliła mu wejść na swoją posesję. Ciężko tu też mówić o najściu, bo ponoć umówili się na spotkanie.

– Niestety tak. Wydaje mi się jednak, że celowo przyszedł wcześniej, żeby ją zaskoczyć. Gdy się spotkali, była sama. Nie chcieliśmy tego z tatą. Tato lub ja zamierzaliśmy jej towarzyszyć podczas tego spotkania.

– Tak, pani rodzice wszystko mi powiedzieli. Najlepiej będzie, jeśli postarają się państwo unikać kontaktu z tym człowiekiem. Jeśli pani mama będzie miała ochotę znowu pojawić się na terenie ogródków działkowych, powinna mieć przy sobie naładowany telefon komórkowy i najlepiej, żeby nie była sama. Zresztą kolega mówił jej to wczoraj.

– Sugeruje pani, że coś grozi mojej matce?

– Po prostu wolałabym zachować dodatkowe środki ostrożności.

Żegnam się z policjantką, w dalszym ciągu zaniepokojona. Z jednej strony czuję, że spełniłam swoją powinność, z drugiej zaś mam wrażenie, że nie powiedziałam Walewskiej niczego, o czym by nie wiedziała. Kos jest zdolny do takich zachowań. To niefortunne, że Lucyna miała za męża właśnie jego.

Potem dzwonię do mamy, powtarzam jej to, co powiedziała policjantka. Mama zapewnia, że przez najbliższe dni nie pójdzie na działkę. To mnie trochę uspokaja.

Praca okazuje się teraz dla mnie zbawieniem. Gdy zaczynam prowadzić lekcje, oddalam się mentalnie od wydarzeń z nocy i z wczoraj, przynajmniej na jakiś czas uwalniam się od niepewności i strachu. Po pierwszej drzemce dzwoni do mnie Aśka. Opowiada, że ma w nocy koszmary, wciąż śni się jej ten las ze Sławy, a jak nie on, to tylko ten pień porośnięty mchem, obok którego leżał Kuba. Moje sny wyglądają teraz podobnie. Chyba obydwie w równym stopniu to przeżywamy.

– Nie gadaj, że cię namalował – mówi, gdy opowiadam jej o obrazie Liry. – To dziwne.

– Wiem – odpowiadam jej. – Nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Może zrobił to w akcie zemsty za to, że nie powiedziałam mu o Antonim. Ten obraz nie stawia mnie w dobrym świetle. Wyglądam na nim tak, jakbym ukrywała w sobie jakiegoś demona.

– Może ukrywasz? – pyta Aśka.

W jej głosie na szczęście wyczuwam ironię.

– Każdy ukrywa w sobie demony, ale mam wrażenie, że on widzi we mnie byt bardziej odrębny niż u innych ludzi, przynajmniej tak rozumiałam jego obraz. To krzywdzące. Nigdy tak siebie nie postrzegałam. Jestem raczej stabilna emocjonalnie, nie sądzisz?

– Jesteś najspokojniejszą osobą, jaką znam. Trochę ci współczuję, że mieszkasz z takim facetem pod jednym dachem. A z drugiej strony przynajmniej sobie popatrzysz, widziałam jego zdjęcia w sieci. Niezły jest.

– Ostatnio nie mam głowy do tych spraw.

– Wiem, sorry, nie powinnam. Wera, jeśli chcesz, możesz do mnie przyjechać na jakiś czas. Może odpoczniesz od tego domu? Przynajmniej na weekend. Martwię się o ciebie.

– Może przyjadę. Całkiem niezły pomysł. W dwa dni chyba się nie pozabijamy w twoim ukochanym mieszkanku.

– Tak, zdecydowanie wytrzymamy. Kupię dobre wino.

Finalnie umawiamy się, że w piątek do niej przyjadę i zostanę do niedzieli. Przynajmniej jest do czego odliczać.

Po drugiej drzemce przychodzi do mnie Mateusz. Rozmawiamy chwilę o wydarzeniach ostatnich dni. Właściwie angielskim zajmujemy się może przez kwadrans. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia, Mateusz zachowuje się tak, jakby to było naturalne.

– Cieszę się, że mogę ci pomóc – mówi, zakładając buty przed wyjściem.

– Nie powinnam wciągać cię w mój popieprzony świat – odpowiadam.

– Daj spokój, od czego są przyjaciele? – Zagląda mi w oczy, kładzie dłoń gdzieś nad moim łokciem.

Jest ciepła i miękka. Jak zwykle skraca dystans między nami. Nie wiem, czy robi tak z każdym znajomym czy pacjentem, pewnie nie. Mnie traktuje inaczej ze względu na naszą wspólną przeszłość.

Odsuwam się dyskretnie, bo to jednak dla mnie za wiele.

Wygląda na urażonego, ale szybko wraca do pozy kumpla. Uśmiecha się i wychodzi, pytając, czy może przyjść dodatkowo w piątek. Ma tekst, który musi przygotować po angielsku, i chciałby to zrobić ze mną. Wyznaczam mu godzinę siedemnastą.

Gdy opuszcza mój dom, na dworze zachodzi już słońce. Stoję przez chwilę na werandzie i patrzę na landrynkowe niebo, próbując nastroić się pozytywnie do kolejnej czekającej mnie nocy. Dziś oprócz dwóch długich drzemek trzy razy przysnęłam jeszcze na krócej. Na szczęście między lekcjami miałam parę okienek, więc odbyło się to bez szkody dla uczniów. Na podjeździe nie ma auta Liry, rano gdzieś pojechał i ciągle nie

wraca. Zastanawiam się, jak będą teraz wyglądały nasze relacje. Wczoraj wyszłam od niego przerażona, dziś budzą się we mnie pytania. Chciałabym zrozumieć dokładnie jego obraz i to, co miał na myśli. Nie wiem, czy on sam potrafi to do końca określić.

Zanim chowam się w domu, zauważam na drodze znajomą dziewczynę. Ma jasne włosy, idzie przed siebie zgarbiona, ze skuloną głową. W pewnej chwili orientuję się, że to Anna Kos. Tak, to ona. Czuję ścisk w klatce piersiowej, gdy widzę, w jakim jest stanie, przygnębiona, samotna. Zatrzymuje się przy mojej furtce, unosi głowę.

– Dzień dobry – wita się ze mną niepewnie.

Jasna grzywka rozcina jej czoło, jest ubrana tak samo jak wczoraj. Na bluzie ma napisane: „I love 2PAC”.

– Dzień dobry.

– Ja bardzo panią przepraszam za wczoraj – zaczyna.

– Daj spokój – odpowiadam. – Jesteś sama? – Rozglądam się nerwowo za jej ojcem.

– Tak, on został w domu.

– Chcesz wejść?

Kiwa głową, a potem ostrożnie popycha furtkę.

Gdy wchodzi po schodkach, zauważam na jej policzku czerwony ślad, chyba po uderzeniu. Ożywa we mnie wspomnienie z wczoraj, chwila, gdy Kos się na nią zamachnął. Czy później, w domu, dokończył dzieła?

– Przyszłam, bo pani mówiła wczoraj, że mogę.

– Jasne, nie ma sprawy – odpowiadam, słysząc, że i mój głos drży.

Patrzę, jak wchodzi do sieni, tam chwilę rozgląda się, z dłońmi splecionymi na piersi, jakby nie wiedziała, co ma ze sobą teraz zrobić.

– Wejdz, proszę – zachęcam ją. – Może czegoś się napijesz? Soku, herbaty? – próbuję brzmieć spokojnie, ale jej obecność w moim domu sprawia, że bardzo się denerwuję.

Zastanawiam się, czy Kos zaraz tu po nią przyjdzie.

Anna nie odpowiada, tylko patrzy na miejsce, w którym leżała Lucyna, wciąga powietrze w płuca, a potem wypuszcza je z ciężkim westchnieniem.

– Odkąd umarła, wszystko się sypie, wszystko. On oszalał – mówi cicho.

– Usiądź – proponuję, sama zajmując miejsce na kanapie w salonie.

Czuję się tak, jakbyśmy spotkały się nad grobem Lucyny.

– Wiadomo już coś o pogrzebie? – pytam.

– Dopiero w poniedziałek ma być, coś tam załatwiają jeszcze – odpowiada.

– Czy on ci to zrobił? – dotykam sugestywnie swojego policzka, patrząc na jej twarz.

Przytakuje, patrząc mi intensywnie w oczy.

– Nie przyszłam tu, żeby się skarżyć.

– Ale możesz to zrobić, Ania. Jesteś jeszcze młoda.

– W zeszłym tygodniu skończyłam osiemnaście lat – precyzuje.

– Bardzo mi przykro – odpowiadam – to znaczy przykro mi, że obchodziłaś je w takich okolicznościach.

– Nie obchodziłam ich. Nikt mi nawet nie złożył życzeń. Tylko kilka koleżanek na Facebooku.

Gdy Anna siedzi w fotelu naprzeciwko mnie, mam wrażenie, że jest tu też ciało Lucyny. Emocje sprzed paru tygodni powracają. Czuję się nadmiernie pobudzona, spięta, tak jak w chwili, gdy zobaczyłam jej matkę leżącą na podłodze.

– A jak pani się czuje? – pyta.

– Mówi mi po imieniu, proszę – proponuję intuicyjnie.

– Dobrze.

– Powiedziałaś, że nie przysłałaś się tu skarżyć – powtarzam jej słowa.

– Tak, przysłałam, żeby cię ostrzec.

– Przed czym?

– Przed nim – mówi cicho, patrząc gdzieś za mnie, chyba na okna. – Mam już jego dość, serdecznie dość. – Głos jej się łamie.

Wstaję z fotela i podchodzę do niej. Przyklękam obok jej ciasno zasznurowanych tenisówek.

– Spokojnie, tu jesteś bezpieczna – uspokajam ją.

– Nigdzie nie jestem bezpieczna, ty też nie.

– Dlaczego?

– Długo dusiłam to w sobie, ale wczoraj, przy was, coś we mnie pękło. Czasem tak jest, że człowiek przekracza granicę wytrzymałości i nie ma już odwrotu, nie sądzisz?

– Jesteś taka dojrzała, Aniu.

– Dużo czytam. – Wydaje się dumna z tego, że zauważyłam jej dojrzałość.

– To dobrze. Możesz mi powiedzieć, dlaczego nie jestem bezpieczna?

– Musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz.

Głos jej słabnie. Wydaje się taka rozchwiana. Jakby nie mogła złapać pionu. Ciężko za nią nadażyć, choć staram się to zrobić. Nie chcę wykonać ani jednego fałszywego ruchu, żeby jej nie zniechęcić.

– Dobrze, obiecuję.

Kiwa głową, a potem drapie górną wargę. Jest bardzo sucha.

– Chcesz coś do picia?

– Nie chcę – odpowiada z irytacją w głosie.

– Zatem słucham.

– Nie wiem, jak to rozumieć, może ty mi powiesz. – Drapie się w udo opięte przez jeansowy materiał spodni. – Parę dni temu przyjechał tu samochodem i rzucił jakiś liścik

pod twoją skrzynkę. Nie wiem, co to było. Coś tu zostawił, w każdym razie. – Unosi wzrok i patrzy na mnie. – Znalazłaś to coś? Co to było?

– Tak, znalazłam – mówię, a raczej z trudem wykrztuszam.

– Co tam było napisane?

Oczy jej się rozszerzają. Teraz ona czeka na moje wyznanie.

A ja nie mogę wydobyć z siebie ani jednego słowa. Przykładam chłodne dłonie do policzków i orientuję się, że twarz mi płonie.

– Dobrze się czujesz? – dopytuje.

– Tak, tak. – Unoszę ręce, bo widzę, że wyciąga w moim kierunku dłoń.

Przelykam ślinę, próbuję się skupić.

– Było tam napisane, że mój partner, Kuba Szejma, mnie zdradza. I był podany adres w miejscowości o nazwie Sława.

– Sława – powtarza. – On z kimś rozmawiał o tym przez telefon. Chyba z koleżanką z pracy mamy, panią Gosią. Tego Kubę przesłuchiwali po tym, jak mama spadła. A potem pani Gosia mówiła, że oni z mamą nie lubili się bardzo w pracy, kłócili się, a ten Kuba tu chyba czasem bywał, nie?

– Tak, czasem bywał – odpowiadam słabo, wpatrzona w nią jak w wyrocznie.

– Pani Gosia mówiła, że Kuba niby ma żonę, a tak naprawdę to jeździ na imprezy. Przechwalał się w pracy, że ma domek w tej Sławie i że jedzie tam z dziewczynami. On o tym opowiadał chyba jakiemuś koledze, a pani Gosia wszystko słyszała i była oburzona.

– Chryste – wyszeptuję.

– A potem ojciec tu przyjechał z tym liścikiem. Potem też tu przyjeżdżał i był chyba zły na ciebie, że nie reagujesz na ten liścik. Później zniknął.

– Jak to zniknął?

Masuję się po szyi, bo mam wrażenie, że spuchła, dotyk zimnej dłoni przynosi mi ulgę.

– Zniknął na dzień czy dwa, nie pamiętam. Nie wiem, gdzie był. Myślisz... – Urywa.

Oczy jej błyszczą, twarz też robi się czerwona.

– W Sławie ktoś dźgnął Kubę nożem. Leży teraz w szpitalu we Wschowie, w ciężkim stanie – wyduszam z siebie. – Musimy o tym powiedzieć policji, Aniu.

– Pojedziesz ze mną na komendę? – pyta, niewzruszona tym, co powiedziałam o Kubie.

Nagle słyszę warkot silnika, tuż pod domem. Podrywam się z podłogi i biegnę do okna w kuchni. Co prawda przekręciłam korbkę w zamku, dwukrotnie, ale muszę sprawdzić, kto to. Czy to on? Przyjechał tu z wizytą? Szuka córki? Na szczęście to tylko auto sąsiada, męża pani Danuty. Oddycham z ulgą. Na dworze jest już prawie ciemno. Przez

chwilę stoję jeszcze oparta o kuchenny stół ze zwieszoną głową. Nie chcę zapalać światła, dobrze mi w mroku. Próbuję dojść do siebie, w miarę możliwości oswoić się z tym, co powiedziała mi Ania.

Wtem słyszę za sobą kroki, ostrożne i spokojne. Odwracam się. Ania stoi oparta o winkel. Patrzy na mnie.

– Wczoraj powiedziałaś, że mogę przyjść, zatem jestem – znowu się tłumaczy.

– Daj spokój, wybrałaś dobry adres – odpowiadam i odruchowo podchodzę do niej.

Sama nie wiem, kiedy to się stało, ale stoimy w objęciach. Ta dziewczyna bardzo tego potrzebuje. Zwykłej czułości, której nie ma w rodzinnym domu. W moim też jest jej jak na lekarstwo i mogę powiedzieć, że w jakimś wymiarze ją rozumiem. Wyczuwam od niej intensywny zapach lawendy, pod którym ukrywa się kwaśna woń potu. Anna wtula się we mnie bardzo mocno, głowę opierając na moim ramieniu. W pierwszej chwili jest mi z jej bliskością dobrze, jakbym przytuliła przyjaciółkę. Potem jednak do głosu dochodzą zdrowy rozsądek i skrępowanie. Próbuję się od niej odsunąć, ale udaje mi się to dopiero po paru sekundach, bo ściska mnie z całą mocą. Gdy w końcu się od niej odrywam, widzę w jej oczach rozczarowanie.

– Już dobrze – silę się na ciepły ton, chcąc nadrobić ten obcesowy ruch.

Jednocześnie walczę z poczuciem skrępowania, które nie opuszcza mnie od chwili, gdy zrozumiałam, że trwałyśmy w uścisku za długo.

– Czy możemy to powtórzyć? – pyta znowu, rozkładając ręce.

– Nie – odmawiam szybko.

Może nawet za szybko.

W wyrazie jej twarzy coś się zmienia.

– To po co mnie tu zaprosiłaś? Myślisz, że możesz się mną bawić, Weronika?

– O co ci chodzi? – pytam, poruszona tą zmianą podejścia do mnie.

– O nic.

Wraca do salonu. Oświetla go tylko duża kryształowa lampa zawieszona niedaleko schodów. Anna rozgląda się po wnętrzu z zaciekawieniem, jakby była turystką brylującą po muzeum. Patrzy na stare obrazy wiszące na ścianach, przy niektórych się zatrzymuje. Potem ogląda zdjęcia Idy i moje, stojące w ramach na kominku.

Podążam za nią ostrożnie, powoli, czując, że dynamika między nami momentalnie się zmieniła. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy i kilka słów, żeby moje myśli zaczęły biec w innym, mroczniejszym kierunku.

Nie chcę już wracać do tego, co stało się chwilę temu w kuchni, najbardziej chyba pragnę, żeby ta dziewczyna opuściła już mój dom.

– Powinnaś to zgłosić na policji – naciskam. – To, co zrobił twój ojciec.

– Miałyśmy pojechać razem – mówi, a potem dotyka opuszką palca moich roześmianych ust uwiecznionych na portretowej fotografii sprzed piętnastu lat. Patrzę na jej gest, czując skurcz w podbrzuszu.

– Zostaw zdjęcie – mówię.

– Dobrze – odpowiada grzecznie, odsuwając się od niego.

Potem ponawia pytanie:

– To co, jedziemy na komendę?

– Nie mam samochodu.

– Ale ja mam. Stoi na parkingu pod domem. Mamy do niego jakieś piętnaście minut pieszo. Stamtąd pojedziemy – recytuje jednym tchem.

Nachodzi mnie myśl, że przygotowała sobie tę odpowiedź wcześniej.

– Masz prawo jazdy? – pytam.

– Zdałam egzamin miesiąc przed urodzinami, tak można, wiesz? Matka jeszcze wtedy żyła. Nie jeżdżę dużo, ale chciałabym.

„Matka”, powtarzam w myślach i coś mi się w tym słowie nie podoba.

– Nie wiem, czy to jest rozsądne, a co będzie, jeśli twój tato nas zobaczy?

– Nie zobaczy. On dużo pije od śmierci matki. Wczoraj wieczorem upił się do nieprzytomności. Gdy teraz wychodziłam z domu, jeszcze spał. Nie interesuje się mną. Nawet nie wie, czy chodzę do szkoły czy nie.

– A nie chodzisz?

– Ostatnio rzadko. Nie mam sił, ale to nieważne. To co, zbieramy się?

Może to irracjonalne, ale mam wrażenie, że próbuje być zalotna. Zakłada włosy za ucho, a potem znowu bierze do ręki ramkę z moim zdjęciem. Tym razem podnosi ją i patrzy.

– Ładnie tu wyszłaś.

– Prosiłam, żebyś nie ruszała moich zdjęć.

Kiedy ich dotyka, czuję się tak, jakby w istocie dotykała mnie. Nie mam pojęcia, skąd się bierze to wrażenie, chyba dociera z najdalszych zakamarków mojego umysłu, być może nieuświadomionych.

Podchodzę do niej i wrywam jej moją fotografię z ręki. W jednej chwili zalewa mnie fala strachu.

Jest o głowę wyższa ode mnie.

– Ania, jedź już na komendę. Zaraz do nich zadzwonię i powiem im, że przyjedziesz.

– Na pewno nie chcesz iść ze mną?

– Nie.

Pragnę, żeby już opuściła mój dom, czekam na chwilę, gdy to się stanie, dopiero wtedy odetchnę z ulgą. Za dużo jej tu.

Dolna warga jej drży, płaskie policzki są lekko zarumienione. Ma podobną twarz do ojca, tylko puste jak muszle oczy są inne, jakby nie przejawiały żadnych emocji.

Dół jest jednak ojca, lekkie wgłębienie w brodzie, podobna mimika. Raptem coś do mnie dociera. To druzgocące odkrycie, które przesywa mój umysł szybko i boleśnie, jak wystrzelony pocisk.

– Powiedziałaś, że twój tato wczoraj wieczorem upił się do nieprzytomności.

Mruga. Tylko tak reaguje na moje słowa.

– W środku nocy widziałam go pod domem – mówię dalej, słysząc, jak do mojego głosu wdziera się panika.

Spuszcza wzrok.

– Myślałam, że mnie rozpoznałaś.

Przed oczami znowu mam tę ocienioną twarz zastygłą nad kierownicą srebrnego auta i czuję się tak, jakby jakiś wir wciągał mnie do środka.

– Myślałam, że jesteś inna – dodaje.

– Jak to?

– Zrobiłam to dla ciebie – kontynuuje – a ty chcesz mnie wyrzucić z domu.

– Co zrobiłaś?

– Przyjechałam tu w nocy. Patrzyłaś na mnie, patrzyłaś mi prosto w twarz, rozpoznałaś mnie. Dałaś mi znak, że wiesz.

– Jaki znak? O czym ty mówisz?

– Nie udawaj teraz! – krzyczy. – Dlaczego mi to robisz?!

– Ania, wyjdź!

– Przestań! – Przykłada dłonie do uszu. – Nie mogę tego słuchać.

Nie patrząc na mnie, rusza w kierunku schodów, zanim zdążę zareagować, idzie już nimi na górę, sunąc dłonią po poręczy. Jej kroki są szybkie, zdecydowane, ma jakiś cel, na piętrze.

– Gdzie to dokładnie było – mówi. – Pamiętasz?

Nie wiem, czy pyta mnie czy siebie.

Idę za nią, proszę, żeby zeszła, w moim głosie jest coraz więcej rozpacz. Na jej plecach marszczy się materiał bluzy.

Zatrzymuje się na antresoli, obejmuje dłońmi barierkę i pochyla się lekko do przodu.

– To tu.

– Co tu? – To pytanie wylewa się z moich ust, pali w przełyk.

– Stąd spadła – tłumaczy z zatrważającą pewnością w głosie.

Przypominam sobie dzień, gdy przyjechali tu z ojcem, patrzyli na miejsce śmierci Lucyny. Trzymam się myśli, że stąd o tym wie.

Ona jednak mówi dalej:

– Gdy tu weszła i mnie zobaczyła, była taka zbulwersowana. – Kręci głową i ciężko wzdycha, patrząc w dół.

Nagle wszystko znika. Nie ma antresoli ani drewnianej barierki, liści juki ocierających się o moją dłoń. Jesteśmy tylko ja i jej profil. Połyskujące wnętrze ucha i tłuste kosmyki włosów.

Odwraca się w moją stronę.

– Zrobiłam to dla nas. Dla ciebie i dla mnie.

– Co?!

– Zabiłam ją.

– O czym ty mówisz? – wyrzucam z siebie.

Brakuje mi tchu. Wlewa się we mnie strach, rozsadza mnie od środka, czuję się tak, jakbym zaraz miała eksplodować. Patrzę na schody, robię krok w ich kierunku, ale ona jest szybsza i zastawia mi drogę.

– Nie uciekaj, Wera. Jestem już zmęczona twoim zachowaniem.

Wyciąga z kieszeni bluzy nóż, mierzy nim we mnie. Wtedy zaczynam się trząść, wszystko mi się rozmywa przed oczami, tylko to oblepione brunatną mazią ostrze wydaje się wyraźne.

– Ratunku! – krzyczę cicho, za cicho.

Przerażenie ściska mi gardło

– Zamknij się, Wera. Nikogo tu nie ma.

Cofam się, aż wyczuwam za sobą balustradę.

– Dlaczego taka jesteś? Przecież tak dobrze się znamy – pyta, wwiercając we mnie wzrok.

– Nie znamy się prawie w ogóle, Ania.

– Nie mów tak! – wrzeszczy i unosi nóż wyżej, ku mojej szyi. – Proszę, nie mów takich rzeczy. – Z trudem się uspokaja, jakby rzuciła płachtę na wściekłego psa. – Wczoraj na działce powiedziałaś, że mogę w każdej chwili, że ty... – Urywa i nabiera powietrza w płuca.

Wypuszcza je powoli, wydymając policzki, jakby próbowała się uspokoić.

Dociera do mnie zapach sfermentowanego alkoholu, od którego robi mi się niedobrze.

– Tak długo czekałam na twoje oficjalne zaproszenie – dodaje. – Nareszcie sobie na nie zasłużyłam. Przychodzę do ciebie od paru tygodni. Odwiedzam cię, kiedy śpisz. Nie udawaj, że nie wiesz. Wczoraj powiedziałaś, że widzisz, co się dzieje, rozumiesz.

– Jak to przychodzisz do mnie od paru tygodni? – pytam szybko, ledwie wydobywając z siebie słowa, a potem napieram plecami na balustradę. Słyszę skrzypienie drewna. Chciałabym się uwolnić, ale nie mam jak. Osaczyła mnie swoim ciałem, zmroziła ostrzem noża.

Mogę tylko słuchać tych przerażających słów:

– Odwiedzam cię zwykle za dnia, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Od jej śmierci częściej, bo ojciec dużo chleje i nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Ona wiecznie mnie obserwowała, od małego wozila po psychiatrach. Uwierz mi, to były tortury. – Kręci głową. Widzę, że szuka zrozumienia w moich oczach, nie potrafię jej go dać, udawać, że podążam za jej słowami, nie mogę nawet kiwnąć głową. Kolana mi drżą, ledwie oddycham. Trzymam się dłonią barierki, nie czuję nic od pasa w dół.

Chyba dostrzega moje zdenerwowanie. Próbuje mnie uspokoić:

– Weronika, jest OK, nie musisz już udawać, zgrywać niedostępnej. Potrafisz być taka nieobliczalna. Naprawdę związek z tobą to istne szaleństwo, ale daję radę.

– O czym ty mówisz? – jęczę.

– O nas. Tyle pięknych chwil razem, na tym łóżku. – Kiwa głową w kierunku sypialni.

– Nie – szepczę, czując się tak, jakby spychała mnie do śliskiego, ciemnego kanału, z którego nie sposób się wydostać.

Oglądam się za siebie. Oceniam wysokość. Zaraz skoczę, wyrzucę przed siebie dłonie, spróbuję się uchronić przed upadkiem. Może dopełzną do wyjścia, zanim mnie dopadnie. Bzdura, wiem, że nie zdołam tego zrobić. Do oczu napływają mi łzy.

– Ja nie lubię płakać, ale lubię patrzeć, jak płaczą inni – mówi z czułością w głosie, a potem rozgląda się z rozmarzeniem po ścianach, rękojeść noża ścisną jednak mocno, aż bieleją jej knykcie. – W tym domu jest jakaś magia. Można tu odpocząć od rzeczywistości.

– Odpoczywałaś tu? – bełkoczę.

– Tak, matka od małego mówiła, że zachowuję się absurdalnie. Każda moja decyzja, każdy mój ruch były według niej absurdalne. Na przykład jak miałam pięć lat, to odcięłam chomikowi głowę, na żywca. – Przez jej oczy przebiega błysk ekscytacji. – Potem utopiłam kota w wannie. Chodziłam też wieczorami pod dom starszej kuzynki, robiłam jej zdjęcia, gdy się przebierała. Wszystko było widać przez okno, miała taką cienką firankę. – Przechyliła głowę. – Dużo było takich sytuacji. Nie wiem, to mnie zawsze tak przyjemnie mrowiło, wiesz gdzie. – Uśmiecha się jakby zawstydzona, a we mnie gaśnie ostatni promień nadziei na to, że dojdę z nią do porozumienia.

Przypominam sobie słowa Mateusza, że przyciągam do siebie takich ludzi, bo matka sprawiła, że mam niskie oczekiwania wobec życia. Wmawiam sobie, że nie jestem senna, przeciągam okresy czuwania, śpię jak kamień. Ona to wykorzystała.

Patrzę na schody. Kalkuluje, jakie mam szanse przedostać się przez mur jej ciała, wzmocniony wystającym ostrzem noża. Zdąży mnie nim pchnąć. Pozostaje mi czekać na lepszy moment, może zaraz coś się zmieni.

A ona mówi dalej:

– Matka patrzyła na mnie jak na zjawisko przyrodnicze. Powiedziała, że moja prawdziwa natura nie może ujrzeć światła dziennego, w szkole mam się „zachowywać”, bo inaczej wywiozą mnie z ojcem do psychiatryka. Rodzice dawali mi dużo pieniędzy za przyzwoite oceny w szkole i w miarę dobre zachowanie, które tak naprawdę polegało na odseparowaniu mnie od ludzi. Musiałam odgrywać rolę klasowego gbura. Płacili mi za normalność. Uczciwa wymiana.

– Da się tak? – pytam, z ulgą zauważając, że obniżyła trochę ostrze noża.

Wygląda na zamyśloną, chyba chce mi udzielić dobrej odpowiedzi.

– Można trzymać fason w szkole, na wakacjach. Można udawać przed ludźmi normalnego człowieka, o ile ma się tajną przestrzeń, w której spełniamy swoje prawdziwe fantazje. Twój dom ostatnio stał się dla mnie takim miejscem. Wcześniej wyżywałam się na zwierzętach.

Ciarki mnie przechodzą, gdy używa słowa „wyżywałam”. Czuję się teraz tak, jakbym to ja miała się stać jednym z tych zwierząt. Chomikiem bez głowy, utopionym kotem.

– Najważniejsze, że teraz jesteśmy razem, prawda? – pyta.

– Tak – odpowiadam intuicyjnie.

– Tylko my, nareszcie – uśmiecha się, odsłaniając wąskie, wilgotne zęby. – Jakiś rok temu przyznałam się jej, że jestem biseksualna. Wściekła się, jak zawsze. Chyba ją to wszystko zaczęło przerastać, baczniej mi się przyglądała. Najwyraźniej zauważyła, że gdzieś się wymykam. W tamten piątek musiała mnie śledzić. Przyszła tu za mną przez drzwi tarasowe, weszła na górę. Żałuj, że nie widziałas jej miny. – Kręci głową. – Złapała się za pierś, zrobiła kilka kroków do tyłu, stała dokładnie tak jak teraz ty, ale ja nie miałam noża. Po prostu ją pchnęłam i poleciała.

W głowie słyszę teraz ten huk z mojego snu. Słyszałam ich konfrontację, choć spałam. Brakuje mi tchu, jakby skurczyły mi się płuca, nie mogę wziąć pełnego wdechu.

– Nie martw się. Mnie też nie było łatwo. – Powiedziałaś przy policji, że matka chciała mi oddać pieniądze – mówię półszepem.

– A co miałam robić? Musiałam na szybko wymyślić jakiś powód. Zresztą ty tego oczekiwałaś. Widziałam po tobie, dawałaś mi znaki, zawsze mi je dajesz.

– Jakie znaki?

– Znowu te gierki, Wera, nie mam już na to siły, mówiłam ci. – Ponownie przysuwa ostrze noża do mojej szyi. – Bawisz się ze mną w kotka i myszkę. Ciągłe mnie sprawdzasz. Przecież sama powiedziałaś mojej matce, że masz narkolepsję, pamiętasz? Wtedy, na działce. Byłam wtedy z nią. Mówiłaś tak głośno, jakbyś mnie zapraszała, a potem popatrzyłaś na mnie znacząco, przekazując mi niemy komunikat „przyjdź”. Długo o tym myślałam, ale w końcu zaczęłam przychodzić.

– Nie zapraszałam cię – wydobywam z siebie.

– Nie wypieraj się teraz – cedzi przez zęby. – Nie rób tego. – Unosi palec wskazujący.
– Sama tego chciałaś.

Przypominam sobie ten piasek pod tarasowymi drzwiami i sfatygowane tuje. Wszystko łączy się nagle w spójną całość.

– Czasami, choć rzadko – mruży oczy – odwiedzałam cię w nocy. Raz wysłaś do mnie z latarką, ujrzałaś mnie wtedy. To było nasze pierwsze spotkanie twarzą w twarz. Droczyłaś się ze mną.

– Nie droczyłam się, Ania.

– Potem kupiłaś zasuwkę na drzwi, ale ja byłam szybsza i zanim ją zamontowałaś, dorobiłam sobie klucz. Nie martw się, wiem, że jak założyłaś tę zasuwkę, to tak naprawdę sprawdzałaś siłę mojego uczucia. Byłaś ciekawa, czy i tak uda mi się do ciebie dojść.

– To nieprawda.

– To prawda – odpowiada natychmiast, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie wycofuj się teraz, Wera. Sprawy zaszły za daleko. Zabiłam dla ciebie matkę, prawie zabiłam Szejmę.

– Kube? – jęczę. – Przecież powiedziałaś, że to był twój ojciec.

– Żeby cię wyciągnąć na komendę, Jezu. – Przewraca oczami. – Żebyś ze mną pojechała. Ja ci podrzuciłam ten list, ja go dźgnęłam nożem. Pojechałam za nim do tej Sławy, bo, kurwa, dostałaś ode mnie list i go najpierw zignorowałaś. Czekałam. Pani Gosia mówiła, że to kawał drania, przekazałam ci tylko to, czego się o nim dowiedziałam. Dobrze ci życzę. Ja bym cię nigdy nie zdradziła. – Uderza się lekko w pierś.

– Chcesz się przyznać? – podchwytuję.

– Komu? – Otrząsa się i patrzy na mnie inaczej, a jej jasne oczy robią się okrągłe jak dwie kulki.

– Policji. Powiedziałaś, że chcesz mnie wyciągnąć na komendę – mówię, próbując brzmieć łagodnie, lekko.

Duszno mi od tego ostrza przysuniętego do szyi, prawie mdleję. Jednak adrenalina trzyma mnie w pionie, jakby moje ciało przywierało do wielkiej szyny.

– Tak naprawdę chciałam cię wyciągnąć do lasu. Tam rozmówić się z tobą, porozmawiać bez świadków. Gdzieś odjechać.

Chce mnie zabić. To jedyne, o czym myślę. Chce to zrobić tak samo jak w Sławie. Być może nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Dobrze, pojedźmy – proponuję – do lasu.

Najważniejsze, żebyśmy wyszły z domu, potem jej ucieknę.

– Zmieniłam zdanie, tu też jest dobrze.

Patrzę na nią w osłupieniu, zastanawiając się, co teraz. Myśl, Wera, myśl.

– Chodźmy do sypialni – mówię. – Tam spokojnie porozmawiamy. – Kolejny uśmiech, w który wkładam resztki sił. Żeby tylko dała mu wiarę.

– Chcesz pójść ze mną do sypialni?

– Tak, dlatego cię zaprosiłam.

Próbuję zachować emocjonalną równowagę, jakbym spacerowała po linie. Pragnę zdobyć odrobinę przestrzeni, w którą będę mogła się wślizgnąć, a potem zbiec po schodach. Wydostać się z domu. Gdybym wiedziała, że ma przy sobie nóż, na pewno bym tu nie przyszła, tymczasem trzęsę się naprzeciwko niej, walczę o życie, które wydaje się teraz takie cenne. Ona odgradza mnie od niego. Jest teraz dla mnie głównie barykadą, którą muszę pokonać.

Jeszcze patrzy, jeszcze upewnia się co do moich intencji. Czuję jednak, że zaczyna mi ufać. W końcu to obsesyjna wiara w nasze uczucie sprawiła, że mierzy teraz we mnie ostrzem noża.

– To jego krew – mówi.

Przełykam ślinę, zółć podchodzi mi do gardła.

– Kuby?

– Tak.

– Dziękuję, że się z nim rozprawiłaś.

– Zrobiłam to dla nas. Wszystko dla nas, Wera.

– Wiem.

Powoli opuszcza nóż.

– Ty pierwsza – mówi, wskazując dłonią na wejście do sypialni.

Odsuwa się, żebym mogła przejść. Na szczęście przechodzi na prawo, dzięki czemu odblokowuje też dojście do schodów, być może nieświadomie. Wciąż wyczuwam od niej nieufność, ale ta powoli ustępuje miejsca perspektywie spełnienia najskrytszych fantazji. Jest ciekawa tego, co wydarzy się między nami w sypialni.

Stawiam pierwszy krok, czując mobilizację całego ciała. Patrzę już tylko na schody, jakby były symbolem mojego życia, podczas gdy sypialnia to koniec wszystkiego, ciemny zaułek, z którego się nie wydostanę. I ruszam do przodu, zanim ona zdąży w pełni zareagować. Udaje się jej jedynie musnąć ostrzem moje ramię. Czuję, jak płonie, gdy zeskakuje po kolejnych stopniach, słyszę ją tuż za sobą. W uszach mam tylko nieznośny dźwięk jej oddechu, łyka hausty powietrza. Wnętrze domu widzę w zbliżeniach, jakby nie stanowiło jednej całości. Poręcz schodów, deski oddalonej o parę metrów podłogi, fragment kanapy w salonie, poduszka leżąca pod nią i nagle słyszę, jak krzyczy za moimi plecami. To zwierzęcy ryk, który rozpruwa powietrze,

niczym piorun. Czuję ścisk na przedramieniu, jakby zatrzasnęła mi się tam obręcz. To jej dłoń, odwraca mnie i popycha z przesywającą siłą młodości.

Tracę równowagę i lecę w dół, próbując ją odzyskać na każdym kolejnym stopniu, ale siła rozpędu jest potężniejsza, mogę się jej jedynie poddać. Tracę kontrolę, pogrążona w bólu i niemocy. W pewnej chwili, gdy jestem już na ostatnim stopniu, coś roztrzaskuje mi się w głowie. Czuję się tak, jakbym ją straciła, gdy wreszcie opadam na deski podłogi. Boli tak, że przed oczami robi mi się na zmianę czarno i białe, a potem mam wrażenie, że moja świadomość skurczyła się do rozmiarów miejsca, które ucierpiało, gdzieś wysoko pod czaszką.

Leżę na chłodnej podłodze. Widzę ją nad sobą, chyba wyrzucam w jej kierunku dłoń, chcę coś powiedzieć, ale ciemność wtacza się we mnie jak huragan, rozrzedza widok jej twarzy, nad którą świeci stara kryształowa lampa. Patrę w te dzikie oczy, które czekają, aż moje zgasną.

Gdzieś nad sobą słyszę rozpełzające się w powietrzu słowa:

– Jednak wolę, kiedy śpisz.

Potem nie słyszę już nic. Zamykam oczy i daję jej to, czego pragnie.

Wizyta 7

Czy musiałaś być taką suką, Weroniko? To była nasza pierwsza dłuższa rozmowa, twoja jedyna szansa, żeby się zrehabilitować w moich oczach, a ty potraktowałaś mnie jak wroga. Najpierw zapraszasz mnie do siebie, bo to już jest od ciebie silniejsze. Bo czujesz coś do mnie i pragniesz mnie tak jak ja pragnę ciebie, a potem co? Uciekasz? Doprawdy, masz już swoje lata, a ja nie zamierzam cię dłużej niańczyć. Dorośnij wreszcie, bo szlag mnie trafi.

Zobacz, do czego doprowadziłaś. Ciągnę teraz twoje ciało po ziemi jak zabitą sarnę. Kiedyś ojciec rozjechał jedną w lesie, nigdy nie zapomnę tych plam krwi na szybie. Podobały mi się. Matce chyba trochę mniej, ale ona nigdy mnie nie rozumiała.

Tak czy inaczej, ty nie krwawisz zbyt mocno. Płytki czerwony strumień rozmazuje ci się na ramieniu. Oddychasz spokojnie, miarowo, jakbyś najzwyczajniej w świecie spała. Ciekawe, czy przed oczami rozwija ci się teraz jakiś sen. Może śnisz o mnie? Jaką rolę mi przypisujesz? Liczę na to, że przynajmniej po tamtej stronie jestem dla ciebie kimś ważnym. Po tej wiem już, że nie. Odepchnęłaś mnie, udawałaś, że też coś do mnie czujesz, a potem próbowałaś uciec. Doprawdy, po tym wszystkim, co było między nami, ty mnie wykluczyłaś. Wystarczyło, żebyś była bardziej wyrozumiała. I do pewnego momentu taka byłaś. Zrobiłaś na mnie bardzo dobre wrażenie. Nasze spotkanie początkowo było spełnieniem moich najskrytszych fantazji. Potrafisz być czuła, delikatna, choć powiem ci szczerze, że gdy masz otwarte oczy i patrzę na ciebie z bliska, to wydajesz się starsza. Niektórzy pewnie uznaliby, że mniej atrakcyjna. Ja jednak doceniam twoją dojrzałość, tak jak ty doceniłaś moją.

Teraz wciągam cię na kanapę w salonie. Ładnie pachniesz, jak zawsze. Gdy patrzę na twoją kobaltową bluzkę opinającą jędrne piersi, rozlewa się po mnie fala pożądania. Muszę ją jednak poskromić. Nie jesteś już dla mnie tą samą osobą, którą byłaś przed dzisiejszym spotkaniem. Próbowałaś uciec. To było naprawdę nie fair, Wera. Postąpiłaś egoistycznie, nie wiem, co z tobą zrobić. Wszystko mogło wyglądać inaczej. Wystarczyło, żebyś zaakceptowała moją obecność w swoim życiu. A ty wybrałaś chłodny dystans. Najgorsze, co może być. Teraz nie mam już nikogo. Mimo wszystko nie chcę tego jeszcze kończyć. Pragnę się z tobą chwilę pobawić. Stałaś się myszką złapaną do klatki.

Rozdział 19

Słyszę jakiś szmer, gdzieś nad sobą, po chwili orientuję się, że ktoś coś do mnie szepcze, dotyka mojej ręki zimną dłonią. Głowę mam ciężką, jakby była pełna kamieni, nie mogę jej oderwać od miękkiej poduszki. Zapada się w niej jak w pianie. Powoli rozchylam powieki i widzę nad sobą dziewczynę. Jasne włosy, wąskie usta, płytkie oczy, jakby coś za nimi zamarzło. Wszystko wraca do mnie w jednej chwili. Wspomnienia boleśnie przetaczają się w moim umyśle, jakby były odłamkami szkła.

– Wera, jesteś taka nierozsądna – szepcze. – Po co ci to było?

Walczę z otepiającym bólem, czuję jakby głowa była przecięta, gdzieś na górze. To spostrzeżenie sprawia, że wsuwam dłoń we włosy, dotykam czubka. Fakt, że nie krwawię, odbieram jak coś nierealnego. Zaciskam zęby i próbuję się podnieść, słysząc nad sobą śmiech Anny, przez który przebija się niedowierzanie:

– Wow, spokojnie! Naprawdę masz na to siły?

– Muszę mieć – odpowiadam jej niewyraźnie, a potem zaciskam zęby z bólu.

Nie mogę się poddać, bo zaraz mnie dobije, będzie po wszystkim. Nie powstrzymuje moich ruchów, chyba nie wierzy w moją sprawność. Nie wiem, jak długo tu leżę, ile czasu do mnie mówi, ale widzę, że za oknem jest już zupełnie ciemno. Salon wciąż oświetla stłumione światło kryształowej lampy nad schodami, wszystko wygląda tak spokojnie i bezpiecznie. Wnętrze mojego domu przypomina panoramiczny obraz otaczający makabryczną scenę.

Czuję się, jakbym śniła, jakbym nie była tu w pełni. Może każdy czuje się tak chwilę przed śmiercią? Mrozi mnie ta myśl, popycha w stronę życia. Gdzie jest mój telefon? Zastanawiam się, a potem dociera do mnie, że zostawiłam go w kuchni. Pobiegłam tam z nim, gdy myślałam, że przyjechał tu Andrzej Kos. Położyłam na stole i już nie zabrałam go z powrotem. To tak daleko. Przywieram głową do oparcia sofy i udaje mi się usiąść. Walczę z odruchem wymiotnym, przygryzając dolną wargę.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, tak mnie potraktowałaś – stwierdza.

Później milknie, ale we mnie budzą się kolejne słowa, przypominam sobie o nich, choć nie mam pojęcia, gdzie je usłyszałam. Były wypowiedziane takim samym spokojnym głosem. „Jesteś taka piękna, moja słodka Wero”.

– Pamiętam cię – mówię.

Na jej twarzy pojawia się zdziwienie, a po chwili blady uśmiech.

– Zabiłam dla ciebie matkę, prawie wykończyłam tego skurwiela. A ty mi się tak odwdzięczasz? Gównianym „pamiętam cię”?

Potem zaciska dłoń na moim udzie, coraz mocniej, przyglądając mi się pazernie, pogrążona w oczekiwaniu na moją reakcję.

– Zostaw! – cedzę przez zęby. – Sprawiasz mi ból.

– Na nic więcej nie zasłużyłaś.

Mam wrażenie, że wrzyna mi się w udo, chcę uciekać, wydostać się stąd. Czuję się tak, jakby pochylało się nade mną dzikie wygłodniałe zwierzę, zdolne do wszystkiego.

Choć przyznała się do zabicia własnej matki, to fakt, że dźgnęła nożem Kubę, przeraża mnie bardziej. Być może dlatego, że był mi bliższy, albo dlatego, że ona nóż ma przy sobie. Nie trzyma go teraz, jego ostrze lśni na stoliku kawowym, ubrudzone krwią Kuby. Wspominam tę wielką szkarłatną plamę na jego koszulce, to, jak leżał w lesie. W tej chwili nie ma we mnie złości na niego, czuję z nim więź, jakbym już dzieliła jego los. Wiem, jak mógł się czuć, gdy wbiła w niego nóż. Jestem bliżej tego stanu niż wszyscy inni ludzie. Tego nie można sobie wyobrazić. Tych brutalnych, surowych ruchów Anny, przytłaczającej negatywnej energii, która rozplywa się wokół mnie jak toksyczny gaz.

Wieczór jest spokojny i cichy, jakby świat za oknami czekał na to, co się wydarzy. Ciężko mi uwierzyć, że cierpienie sprawia mi córka Lucyny, która poprzedniego dnia spierała się z ojcem na moich oczach. Sama wpuściłam ją do domu, uklękłam przy jej butach, przytuliłam ją, a potem...

– Dlaczego ja? – pytam, dusząc w sobie szloch.

– Bo jesteśmy podobne. – Wzrusza ramionami. – Tylko ty mogłaś mnie zrozumieć. Mogłaś, ale nie chciałaś.

– Zawsze mi było ciebie szkoda – mówię. – Miałaś surową matkę.

Próbuję złapać z nią kontakt, daję sobie drugą szansę, choć czuję, że to na nic. Może jednak ugram parę dodatkowych minut, w międzyczasie zdołam coś wymyślić.

Zabiera dłoń z mojego uda, a potem przymyka na moment oczy, jakby coś sobie właśnie uświadomiła albo o czymś sobie nagle przypomniała.

– Nawet nie wiesz jak – odpowiada. – Czasem, gdy przychodzili nowi znajomi, zabraniała mi wychodzić z pokoju, żeby tylko nikt mnie nie zobaczył. Próbowwała wymusić posłuszeństwo siłą, karała mnie, tłukła. To mnie tylko nakręcało.

– Powinnaś pójść do specjalisty. Rozpocząć leczenie, Ania. To nie twoja wina.

– Mówiłam ci już, że matka wozila mnie po specjalistach – odpowiada z naganą w głosie. – Z tym że wszystko zawsze odbywało się w atmosferze wstydu i lęku. – Jej oczy się ożywiają i mówi coraz szybciej, jakby podniecała ją rozmowa ze mną. – Nigdy nie pojechała ze mną dwa razy do tego samego lekarza. Zabraniała mi mówić o tym, że lubię wyzywać się na zwierzętach, a jeden i tak stwierdził, że to psychopatia.

– A ojciec?

– Ojciec jak ojciec. Dopóki ja nie wchodziłam mu w paradę, on nie wchodził mnie. Teraz oszalał. Boi się, że mogę mieć z tym wszystkim związek. – Macha ręką, jakby to ją nudziło. – Nie mówi tego policji, ale próbuje na własną rękę czegoś się dowiedzieć. Od was, ode mnie. Nic mu nie powiedziałam, bo nie będę miała gdzie mieszkać.

– Jeśli mnie tu... – słowo „zabijesz” nie może przejść mi przez gardło.

– To co? – pyta, a to sugeruje, że wie, co chciałam powiedzieć.

– To i tak wszyscy się dowiedzą.

– Mogę zabić ciebie, a później siebie. To ciekawe, nie sądzisz?

– Powinnaś żyć. Zaslugujesz na życie – odpowiadam.

„Ja też na nie zasługuję”, myślę, ale nie mówię tego. Ona lubi, kiedy skupiam się tylko na niej. Za każdym razem, gdy to robię, reaguje pozytywnie.

– Ta wścibska policjantka depta mi po piętach – mówi. – Znowu wezwała mnie i ojca na komendę, wczoraj. Kazała ojcu napisać na kartce takie same słowa jak w liście, który ci zostawiłam.

– A tobie nie kazała? – pytam.

– Ja nie poszłam. Wydzwania cały dzień. Ojciec jej powiedział, że przeżywam śmierć matki, że to dlatego. Ale ta suka cały czas dzwoni. Jak można być tak bezwzględny?

Jeden telefon. Wystarczyłoby, żebym wybrała numer do Walewskiej. Zorientowałyby się. Skoro już zaczęła grzebać przy Annie, zrozumiałaby, że jestem zagrożona, przyjechałaby, pomogła. Tymczasem jestem tu z tą psychopatką sama.

– Jak twoja mama dowiedziała się o nas?

Przysuwa się odruchowo i wygląda na zadowoloną. Podoba jej się sposób, w jaki sformułowałam to pytanie.

– Już od jakiegoś czasu coś podejrzewała, pytała, gdzie wychodzę. Nie wiem, może już wcześniej za mną jeździła.

Przypominam sobie, jak Lucyna wpadła tu na lekcję, dwa dni przed śmiercią. Wtedy skorzystała z drzwi wejściowych, bo zapomniałam je zamknąć. Dopiero teraz pojmuję, że wchodząc do salonu, tak naprawdę rozglądała się po moim domu. Być może szukała córki. A potem rozmawiała z nią przez telefon, podminowana. Pod koniec lekcji płakała z bezsilności. Źle odczytałam jej zachowanie.

– Mnie też przyglądała się podejrzliwie, ale o nic nie pytała – mówię.

– Bo ona nigdy nie pytała – odpowiada szybko. – Tylko oskarżała i czekała na reakcję.

– Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, Aniu, tylko byłaś źle wychowywana.

Milczy, a potem odwraca się w kierunku swojego brudnego noża. Patrzy na niego z bezradnością w oczach, jakby w tej jednej krótkiej chwili zastanawiała się, do czego doprowadziła. To nie są wyrzuty sumienia, to coś złejszego. Pauza, w której spogląda inaczej na czyny, których się dopuściła.

– Nie tylko to – odpowiada. – To połączenie tego, jaka jestem, i tego, jacy oni dla mnie byli.

– Możesz to jeszcze naprawić. Nie jest za późno.

– Jak miałabym to zrobić?

Wydaje się autentycznie zadowolona. Podciąga nogę do góry i oplata ją ręką. Dopiero teraz rzuca mi się w oczy, że ma duże stopy. Wcześniej tego nie dostrzegałam.

Teraz jest inna, jakby subtelniejsza. Postanawiam to wykorzystać.

– Jesteś jeszcze młoda. – Gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że mogłabym być jej matką, i przechodzą mnie ciarki.

Wisi nade mną ryzyko bycia zamordowaną przez nastolatkę, nie chcę tak umierać. Do umysłu wlewa się nowe, jaskrawe światło, które rozjaśnia myśli:

– Sekcja zwłok wykazała, że twoja matka umarła na zawał serca, a Kuba – gdy wypowiadam to imię, marszczy brwi, jakby nie podobało jej się, że tak o nim mówię – Szejma – dodaje głośniej – dochodzi do siebie w szpitalu. Lekarze są dobrej myśli. Nikogo nie zabiłaś, poza tym na pewno masz w domu jakieś zaświadczenia od lekarzy, których odwiedzałaś w przeszłości, teraz też na pewno do śledztwa zostanie włączony biegły psychiatra. Zajmą się tobą specjaliści, wszystko się ułoży.

– Sugerujesz, że mam się do tego wszystkiego przyznać?

Kiwam niepewnie głową.

– Kurwa – mówi to tak, jakby splunęła. – Myślałam, że powiesz, żebyśmy razem uciekły, że mi pomożesz. A ty znowu się ode mnie odsuwasz, zostawiasz mnie z tym samą.

Dociera do mnie, że dotarłam do ślepej uliczki.

– Nie zostawię cię z tym samej. – Silę się na spokojny ton. – Będę cię wspierać, w końcu spędziłyśmy tyle czasu razem.

– Przestań!

Wstaje z kanapy, a ja zaciskam pięści i mobilizuję wszystkie siły, żeby też się podnieść. Za chwilę znowu sięgnie po nóż, ma do niego bliżej niż ja. Mnie na pewno nie uda się go chwycić. Wyprzedzi mnie. Chcę ją od tego odwieść, czuję, że zaraz zniknę, w uszach mi szumi, jakby krew wezbrała w moich żyłach i wtaczała się z impetem wyżej i wyżej. „Musisz działać, to ostatnia szansa”, powtarzam sobie.

Powoli wstaję i zanim ona sięgnie po nóż, udaje mi się jeszcze powiedzieć:

– Pamiętam twoje wizyty. Kładłaś się obok mnie, dotykałaś. „Mam dla ciebie perły, Weroniko” – cytuję.

Odtwarzam teraz niewyraźny sen, pozbawiony obrazu, a jednak oddziałujący na najczulsze strefy mojego ciała. To coś jest jak ukryty we mnie głos, który wyrывam z uśpionych zakątków umysłu, jakbym zgadywała i jednocześnie wspominała.

Opuszcza ramiona i patrzy na mnie oniemiała.

Jest tak młoda, jednocześnie tak inna od większości nastolatków. Ta odmienność wyciera z oczu przypominających cienkie powłoki.

– Zostawiłam ci jedną, tego dnia, gdy umarła – zauważa z wyrzutem.

– Drugą znalazłam pod tujami – mówię.

To dlatego nie mogłam uwierzyć, gdy Kuba wmawiał mi, że to z naszyjnika. Dręczyło mnie przecucie, którego nie potrafiłam doprecyzować. Ono zakorzeniło się w nieznanym miejscu, musiałam stanąć oko w oko ze śmiercią, aby je właściwie odczytać.

Stoimy teraz naprzeciwko siebie, chcę ją uderzyć i pobiec ile sił w kierunku drzwi. Niestety przekreśliłam korbę zamka na dwa razy. Chwilę mi zajmie, zanim je otworzę. To ryzykowne, ale chyba nie pozostaje mi nic innego.

– Co z nimi zrobiłaś? Masz je? – pyta.

– Tak – kłamię, przypominając sobie zniesmaczony wzrok Wójcika, gdy mu je wręczałam

Dobrze, że policja jej o to nie pytała. Dobrze, że to zignorowali.

– To daj.

– Są w kuchni.

– Chodźmy tam.

Nie sięga po nóż, po prostu ze mną idzie, a ja opieram się potężnemu bólowi głowy i koncentruję się na swoich krokach. Próbuję ocenić, czy jesteśmy już wystarczająco blisko wyjścia. Czy zdążę uciec, zanim ona wróci po nóż i mnie... i mnie...

Słyszę pukanie do drzwi, które wdziera się między nas z całą mocą bezpiecznego, cywilizowanego świata. Jest jak przyjemny dźwięk płynący z rzeczywistości, gdy śni mi się koszmar.

– Wera, jesteś tam?! – Rozlega się nagle stłumiony głos Liry. – Słuchaj, przepraszam cię za wczoraj, możemy pogadać?

– Ratunku! – drę się na całe gardło i biegnę do drzwi, jakbym wpadła do wąskiego tunelu, który wysysa mnie na zewnątrz. Nie czuję bólu, tylko strach, który napędza każdą cząstkę mojego ciała.

Lira szarpie za klamkę, ale nie może otworzyć.

– Wera, co się dzieje?! – krzyczy, a potem drzwi drżą we framudze.

Gdy jestem już metr od nich, Anna szarpie mnie za włosy i przyciąga do siebie.

Nie ma noża, jeszcze po niego nie wróciła, ale teraz ciągnie mnie w kierunku salonu. Zapieram się nogami, słyszę, jak sapie z wysiłku. Obserwuję z nadzieją oddalające się ode mnie drzwi, ale przestały się poruszać. Gdy uświadamiam sobie, że Lira zniknęła, czuję, jak oczy zachodzą mi łzami.

– Zabiję cię! – krzyczy Anna.

Na moment puszcza moje włosy, wtedy rzucam się na nią i zaciskam dłonie na jej szyi, zaczyna się krztusić, jej oczy wyglądają, jakby miały zaraz wypłynąć na policzki. Palce mi drętwieją z ogromnego wysiłku, jaki wkładam w dociskanie ich do jej gardła. Nie wytrzymam tak długo, ale przez moment czuję, że mam nad nią przewagę. Duszę ją i napieram całym ciężarem ciała, w pewnej chwili potyka się o gazetnik i upada na ziemię. Ja niestety też tracę równowagę i udaje jej się mnie odepchnąć.

Sylwetka Liry wyrasta w drzwiach tarasowych, oczy ma teraz jak drapieźnik wypuszczony z klatki.

Wracam wzrokiem do Anny, która sięga już ręką do noża, zanim jednak to robi, słyszę huk rozbijanego szkła. Na podłogę upada wielka czarna donica. Lira wpada do domu jak huragan i rzuca się na Annę, udaje mu się ją przewrócić. Dobiegam do stolika w salonie i łapię za chłodną rękojeść noża. Bruno zaciska dłonie na jej szyi. Moich uszu dobiega jej rozpaczliwy jęk, który przypomina pisk złapanej do pułapki myszy. Jeszcze próbuje go odeprzeć, zaciska kurczowo szczękę, jakby walczyła o każdą kolejną sekundę bez powietrza. Potem jednak słabnie, a jej oczy wyglądają tak, jakby powoli się rozplywały. Przyglądam się jej, a gdy już nie mam na to sił, przerzucam wzrok na ziemię, która wysypała się z donicy.

Gdy ponownie na nią zerkam, oczy ma już zamknięte, nogi rozłożone szeroko. Leży w tym samym miejscu, w którym znalazłam jej matkę. Lira wstaje i podchodzi do mnie, chwiejąc się z wysiłku. Ma zakrwawione dłonie i wygląda jak morderca.

– Żyje – mówi. – Straciła przytomność.

Przysiadam na oparciu kanapy, czując, jak ból głowy rozsadza mi czaszkę. Słamsiłam go na chwilę, a teraz bezwzględnie powrócił.

Słyszę, jak Bruno dzwoni pod numer alarmowy. Dochodzą do mnie pojedyncze słowa. „Tak”, „karetkę”, „policję”. Potem widzę go przed sobą, jestem w półprzytomna, rozplywam się jak Anna przed chwilą.

– Kto to jest? – dopytuje.

– To...

Głos więźnie mi w gardle.

– To? – pyta, wpatrując się w moje oczy, to w jedno, to w drugie.

Zaatakował ją, choć nie był pewien tego, co się tu wydarzyło. Czuć, że pojawiają mu się w głowie wątpliwości, na które wcześniej nie było czasu. Chce się upewnić, że dobrze zrobił. Zadziałał instynktownie, a teraz do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Ręce mu drżą, błękitne oczy błyszczą jak dwa diamenty.

Biorę głęboki wdech, błędnik mi szaleje. Salon wygląda tak, jakby przechylił się na prawo. Bruno też zdaje się kołysać.

– To demon, którego namalowałeś – odpowiadam, a potem czuję, jak policzki mi drętwieją, wszystko się we mnie rozwiązuje i upadam na podłogę, poddając się katapleksji, niczym rwącej rzece.

Rozdział 20

– Odkryła rytm pani dnia i dostosowała się do niego. – Walewska wygląda na zrezygnowaną. Ma rozwichrzone włosy i podkrążone oczy.

Twarde oparcie krzesła wbija mi się w plecy. Właściwie wszystko mnie boli, choć głowa już mniej. Trzy dni temu, gdy spadłam ze schodów podczas ucieczki, doznałam wstrząśnienia mózgu. Na szczęście nie był rozległy i dziś wypuszczono mnie z oławskiego szpitala.

Od razu przyjechałam na komendę. Ponoć Walewska odwiedziła mnie przedwczoraj na oddziale, ale wtedy spałam. Zresztą ciężko było w ostatnich dniach trafić na moment, gdy tego nie robiłam. Tamtego felernego wieczoru zdołałam jednak opowiedzieć jej o tym, co stało się w moim domu.

Gdy wytłumaczyłam policjantce, że córka Lucyny Kos odwiedzała mnie od przeszło miesiąca, coś w niej zgasło. Opuściła ręce i przez chwilę po prostu patrzyła, jak sanitariusze podają dziewczynie tlen, nie mogąc wydobyć z siebie ani jednego słowa.

– W jakim ona jest stanie? – pytam.

– Wczoraj została przewieziona do aresztu śledczego we Wrocławiu. Najpewniej spędzi tam trzy miesiące, czekając na proces.

– Pamiętam, że Bruno ją dusił.

– Tak, pan Lira ją poddusił, ale odzyskała przytomność jeszcze w karetce, gdy wieziono ją do wrocławskiego szpitala. Doszła do siebie bardzo szybko. Wczoraj dostaliśmy zgodę na przewiezienie jej do aresztu śledczego. Najpewniej spędzi tam trzy miesiące. Przyznała się już zarówno do tego, że zepchała matkę z antresoli, jak i do ataku na pana Szejmę. Andrzej Kos pokazał mi opinie kilku psychiatrów dotyczące stanu psychicznego Anny. Szkoda, że nie zrobił tego wcześniej.

Bierze kilka łyków wody. Patrzę, jak odkłada pustą szklanekę na biurko, słyszę cichy brzdęk szkła. W uszach piszczą odłamki szyby upadającej na podłogę mojego salonu. Przykładam palce do skroni i ostrożnie masuję, czekając, aż nieznośny dźwięk minie.

– Dobrze się pani czuje?

– Powoli dochodzę do siebie. Czyli mówiła prawdę. Jeździli z nią po specjalistach.

– Tak, ale pani Kos zależało na tym, żeby nikt w Oławie się nie dowiedział. Planowała wziąć udział w wyborach do rady miejskiej. Tak przynajmniej tłumaczył to Andrzej Kos. Ponoć mieli taki plan, żeby wysłać ją gdzieś daleko na studia, bo uczyła się w miarę przyzwoicie. Nie wiem, czy mu wierzyć, przechodzi załamanie nerwowe, jednak

zdołałam już porozmawiać z wychowawczynią Anny z liceum. Kobieta nazwała ją wybitnie inteligentną outsiderką.

– Widziałam, jak ojciec się na nią zamachnął. Nie uderzył jej przy nas, ale gdy do mnie przyszła, miała na twarzy ślad po uderzeniu.

Walewska unosi brwi.

– Andrzej Kos powiedział, że sama sobie to zrobiła, w domu, na jego oczach. Potem spożył dużą ilość alkoholu i zasnął. Rano znowu pił. Nie był w stanie powiedzieć niczego konkretnego o wydarzeniach tamtego wieczoru, gdy do pani przyszła.

– Skoro tak długo milczał na temat stanu psychicznego córki, to chyba nie jest wiarygodnym świadkiem.

– Krył ją do ostatniej chwili. – Walewska unosi dłonie, jakby nie mogła tego pojąć. – Wezwałam ich na komendę. Miałam przeczucie, że jedno lub drugie jest zaangażowane w sprawę tego listu. Myślałam, że obwiniali pana Szejmę o śmierć Lucyny Kos i chcieli się w ten sposób odegrać. Pan Andrzej Kos przyszedł jednak na komendę sam, tłumacząc, że córka źle się czuje. Pobrałam wtedy odciski jego palców. Jej też bym pobrała – mówiąc to, patrzy mi prosto w oczy.

Mam wrażenie, że mi się tłumaczy.

– Ona jednak nie przyszła – kontynuuje. – Pewnie czuła już presję, dlatego zdecydowała się na wizytę u pani i ten ostateczny, brutalny ruch.

– Nie dlatego przyszła – odpowiadam. – To znaczy nie tylko dlatego.

– A jaki był jeszcze powód?

– Po jej starciu z ojcem na działce mojej mamy powiedziałam, że może do mnie przyjść, że wszystko widzę i rozumiem. Ona to opacznie zinterpretowała. Uroiła sobie, że to było zaproszenie związane z tym, co działo się między nami w ostatnich tygodniach.

Niewidzialna obręcz zaciska mi się na szyi.

– A co się działo? – Głos Walewskiej nagle staje się ostrożniejszy.

Kręcę tylko głową, nie mogę wydobyć z siebie ani jednego słowa. Słyszę, jak sunie szklanką po blacie stołu, chropowaty dźwięk przebija się przez szum krwi w moich uszach.

– Nigdy jej pani nie słyszała? – dopytuje delikatnie.

Wiem, że to ważne pytania, na które muszę odpowiedzieć. Cenne informacje dla prokuratora. Jutro zresztą mam z nim też spotkanie.

– Być może coś słyszałam. Teraz patrzę na to inaczej – odpowiadam, przyglądając się drobnym odpryskom białej farby w rogu biurka. – Moje życie nie jest idealne, parę razy w ciągu każdego dnia zasypiam, budzę się. Czasem ciężko mi określić, co jest snem, a co rzeczywistością. Kiedy człowiek śni, nie wie, że to jest sen. Dopiero po przebudzeniu

zdaje sobie z tego sprawę, a u mnie ten sen często nachodzi na przebudzenie. – Każde zdanie wypowiadam powoli, robiąc między nimi krótkie pauzy. – Być może problemem było to, o czym już rozmawialiśmy. Staralam się zawsze nie spać jak najdłużej, a potem spałam bardzo głęboko. Przez pierwsze trzydzieści minut każdej drzemki ciężko było komukolwiek mnie dobudzić.

Moje słowa wiszą teraz między nami jak opary po eksplozji. Widzę po Walewskiej, że jest już z tym wszystkim pogodzona, rozumie to po swojemu, być może trochę inaczej, ale nie zamierza o nic dopytywać.

Dla siebie zachowuję tę jedną noc, gdy wypiałam silny lek nasenny, po którym straciłam całkowicie kontrolę. Kolejny dzień planowałam spędzić z Kubą i chciałam być wyspana. Czuję, że wtedy coś się wydarzyło, ktoś u mnie był, ale rano po przebudzeniu nie pamiętałam praktycznie nic i uznałam to za złudzenie. Teraz patrzę na tę noc z ogromnym niepokojem, a ta luka w pamięci jest niemal bolesna.

– W pełni oprzytomniałam dopiero w chwili, gdy ona wyciągnęła nóż – dodaję szybko. – Gdy przyłożyła mi go do gardła.

– To nie powinno mieć miejsca, przykro mi, że do tego doszło – mówi, jakby biła się w pierś. – Niestety ludzie, którzy mają określoną rutynę dnia, są łakomym kąskiem dla przestępców. Wiele rzeczy można wtedy przewidzieć, nauczyć się życia ofiary i systematycznie się do niej zbliżać. Nawet nie wie pani, jak daleko oprawcy potrafią się posunąć podczas przygotowań do zbrodni. Śledczy znajdowali w domach morderców całe bruliony z notatkami na temat przyzwyczajień ich ofiar, z planami ich dnia. O której wstają, o której idą do sklepu, jak długo spacerują z psem po parku. W jakich godzinach ćwiczą na siłowni. Anna nauczyła się pani życia i niepostrzeżenie do niego dołączyła, a potem uznała, że coś z niego jej się należy. Odwiedzała panią od paru tygodni, ale przyglądała się pani od paru miesięcy.

– Rozmawiała z nią pani?

– Po tym, co się stało, tylko raz, wczoraj. Uważa, że chroniła wasz związek, robiła wszystko w dobrej wierze. Zabiła matkę, dźgnęła nożem pana Szejmę, wszystko... – tu zerka do notatek – ...w obronie waszego małego świata. Miałyście ponoć takie... – unosi palec wskazujący zaznaczając, że to ważne i dalej czyta z notatek – ...porozumienie, że wolno jej do pani przychodzić tylko wtedy, gdy pani zasypia.

Czuję, jak wszystko się we mnie gotuje.

– To bzdury – mówię. – Ona ma poważne zaburzenia.

– Nawiazałam kontakt z jednym z psychiatrów, który ją leczył. Stwierdził, że oprócz osobowości psychopatycznej u Anny pojawiają się też urojenia. Wystarczy, że pani na nią spojrzy, a ona uznaje, że za tym spojrzeniem kryje się wyznanie miłości. Kiedyś miała obsesję na punkcie kuzynki. Chowała się za żywopłotem jej małego ogrodu

i patrzyła w okna. Dziewczyna zorientowała się dopiero po kilku miesiącach, że jest podglądana przez Annę. Powiedział jej o tym sąsiad, który przyglądał się procederowi przez długi czas, nie reagując.

– Nie reagował?

– Ludzie są różni, pani Weroniko. W życiu, jak na drodze, powinniśmy stosować zasadę ograniczonego zaufania. Lepiej nie wierzyć, że inni zareagują, gdy będzie się nam działa krzywda. Jedni to robią, a inni nie. Pani miała szczęście, jeśli chodzi o lokatora, Brunona Lire. Zachował się odważnie. – W jej głosie pojawia się nuta podziwu.– Pani sąsiedzi jednak utrzymują, że nigdy nie widzieli Anny. Ja muszę im wierzyć. Nie mam innego wyjścia, choć to by się zgadzało także z zeznaniami dziewczyny. Ponoć była ostrożna. Zawsze przedostawała się do pani od strony zagajnika. Wizyty składała mniej więcej dwa razy w tygodniu, dopiero po śmierci matki zwiększyła ich częstotliwość. Poza tym pani dom odwiedzało sporo osób. Wszyscy wiedzieli, że przychodzą do pani uczniowie, często młodzi, w wieku Anny.

Za każdym razem, gdy Walewska wypowiada jej imię, coś mnie drażni w klatce piersiowej. Niemal rozglądam się czujnie w poszukiwaniu ostrego narzędzia, na wypadek gdyby się tu pojawiła i chciała mnie znowu zaatakować. Nie wiem, kiedy pozbędę się tego straszego uczucia.

Kto by pomyślał, że osiemnastolatka będzie wzbudzać we mnie taki strach. Niestety wiem już, że nie chodzi o to, ile ona ma lat, ale o to, że jej myślenie bardzo odbiega od normy. Nie docierają do niej żadne racjonalne argumenty. Przekonałam się o tym trzy dni temu. Potrafi być spokojna tylko wtedy, gdy widzi w tym korzyść. Jeśli jej zabraknie, pozostaje już tylko ciemność.

Rozmawiam z policjantką jeszcze chwilę. Mówi, że mogę skorzystać z pomocy policyjnego psychologa, jeśli mam taką potrzebę. Na razie nie mam. Dzisiejsze spotkanie mnie wycieńczyło. Chcę już wrócić do domu. Wiem, że przede mną jeszcze sporo tego typu rozmów. Żegnając się z policjantką szczerem uściskiem dłoni, a potem wychodzę z komendy, powolnym krokiem przecinam rynek i wsiadam do taksówki. W moim domu czekają na mnie rodzice. Mama mówi, że nie ruszy się stąd przez najbliższe dni. Szyba drzwi tarasowych jest zaklejona folią, tato informuje, że na dniach wstawią mi nowe, wszystko załatwił.

Potem mama mnie przytula i płacze mi w ramię, długo i ciężko. Czuję, że nie chodzi jej tylko o to, co wydarzyło się tutaj w ostatnim czasie.

Rozdział 21

Zawsze, kiedy zima rozwija na ziemi gruby biały dywan, mam wrażenie, że świat zasypia. Wszystko staje się snem. W tym roku śnieg zawitał do Oławy bardzo wcześnie. Jest dopiero czwarty grudnia, a Bruno już odgarnia go z podjazdu długą drewnianą szuflą. Macham do niego z kuchennego okna i pokazuję kubek, dając znać, że herbata, o którą mnie prosił, jest już gotowa.

W odpowiedzi unosi dłoń w czarnej wełnianej rękawicze, wystawia palec wskazujący, jakby chciał powiedzieć, że jeszcze minuta. Faktycznie, prawie skończył.

Nie jesteśmy parą, ale wszystko wskazuje na to, że niebawem się nią staniemy. To, co wydarzyło się tutaj ponad dwa miesiące temu, bardzo nas do siebie zbliżyło. Po wszystkim czułam się tak, jakbyśmy oboje wzięli udział w szatańskim rytuale. Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko śmierci. Spotkanie z Anną wbiło mi się w pamięć jak drzazga, której nie da się usunąć. Gdy mocniej nacisnę, daje o sobie znać. Czuję, że już zawsze tak będzie.

Nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby Bruno wtedy nie przyszedł. Łudzę się, że i tak bym ją pokonała. Niedaleko kominka stał pogrzebacz, dostrzegłam go dopiero po przyjeździe policji. Być może posłużyłabym się nim, wbiłabym go jej w szyję lub w twarz. Wiem już, że kiedy walczę o życie, jestem zdolna do wszystkiego. Potrafiłabym zabić, pamiętam, że gdy wciskałam palce w jej szyję, marzyłam o tym, żeby umarła, żeby zniknęła i dała mi spokój. Liczyło się tylko moje życie, zwierzęcy instynkt przetrwania.

Ruszył już proces Anny. Jeszcze nie wiadomo, jaki dostanie wyrok, ale prokurator stwierdził, że przez kilka lat na pewno nie wyjdzie na wolność, bez względu na to, czy zostanie skierowana do więzienia czy do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego.

Do tego czasu na pewno uda mi się sprzedać dom. Taki mam plan. Niech tylko przyjdzie wiosna. Zbyt wiele złego wydarzyło się między tymi murami. Każdy dzień, który tu spędzam, jest obciążony przeszłością. Teraz nie przyjmuję tu uczniów. Zaczęłam prowadzić lekcje online z ludźmi z całej Polski. Grafik powoli mi się wypełnia i czuję, że wyjdę na tym lepiej niż na tradycyjnych zajęciach.

Marzy mi się mieszkanie na strzeżonym osiedlu. Wjazd tylko dla mieszkańców i ich znajomych. Ponoć powstaje coraz więcej takich miejsc w Polsce. Być może tam odnajdę spokój. Boję się snu. Tego, jak głęboko potrafię zasnąć. Staram się robić sobie więcej drzemek w ciągu dnia, już nie walczę ze swoimi demonami, nie próbuję sobie niczego udowodnić. Zmieniło się też podejście mamy do mojej choroby. Nie rozmawiamy o tym

otwarciu, pewnie nigdy już tego nie zrobimy, ale czuję, że nabrała dystansu do mojej senności. Chyba wciąż tego nie rozumie, ale pogodziła się z tym, że jestem inaczej skonstruowana niż ona i że w moim przypadku sen jest żywiołem, którego nie da się tak łatwo poskromić. Niedawno, gdy jeszcze tu mieszkała, przyłapałam ją w kuchni na czytaniu moich wyników badań sprzed kilku lat. Chyba układa sobie mnie w głowie na nowo.

Szkoda, że Lucyna Kos nie zdążyła tego zrobić dla swojej córki. Po paru miesiącach podchodzę inaczej do Anny, do tego, co wydarzyło się w moim domu. Myślę, że wina leżała przede wszystkim po stronie jej rodziców.

Czasem słyszę jej szept lub śmiech, z reguły tuż przed przebudzeniem. Wtedy rośnie mi w gardle krzyk, zrywam się z łóżka i rozglądam się po pustej sypialni. To mogą być wspomnienia z tego, co działo się tu, zanim prawda wyszła na jaw. Teraz jednak wszystko jest wyraźniejsze, jakby wydzielone, nie miesza się ze snem, z innymi majakami. Umysł podaje mi ją na tacy, próbuje potwierdzić, że przychodziła, kładła się za mną czasem coś do mnie szeptała. Jeden z biegłych psychiatrów stwierdził, że umysł psychopaty zawsze potrzebuje jakichś zasobów. W jej przypadku to było poczucie kontroli. Za każdym razem, gdy tu była, czuła nade mną przewagę. Gdy ją utraciła, stałam się jej niepotrzebna i chciała ze mną skończyć.

Podchodzę do okna zniecierpliwiona tym, że Bruno nie przychodzi. Szmer szuflki ustał już jakiś czas temu, myślałam, że zaraz wejdzie. Podjazd jest jednak pusty. Na dworze pociemniało, choć niebo rozjaśnia delikatna luna. Pewnie poszedł jeszcze po coś do mieszkania.

Gdy już chcę do niego zatelefonować i upewnić się, że zaraz przyjdzie, ekran mojego smartfonu rozbłyska. Dzwoni do mnie Kuba. Rano napisał esemesa, że chce podjechać po swoje rzeczy. Zostawił u mnie zapasowy tablet, kilka koszulek i jeansy. Jest już właściwie zdrowy, ale wciąż przebywa na zwolnieniu lekarskim. Umówiliśmy się na szóstą wieczorem i choć jest jeszcze kwadrans do pełnej godziny, podjazd rozjaśniają właśnie błękitne światła i po chwili zatrzymuje się na nim jego auto. Lubił przyjeżdżać do mnie przed czasem. Nic się w tej kwestii nie zmieniło.

W związku z tym nie odbieram już telefonu, tylko wkładam płaszcz, ujmuję reklamówkę, do której włożyłam wszystkie jego rzeczy i wychodzę z nią na werandę.

Mroźne powietrze szczypie mnie w twarz, ręce nagle robią się lepkie. Kuba wysiada z samochodu, w szarej kurtce i w jeansach, stawia kołnierz do góry, żeby osłonić się przed mrozem. Włosy ma dłuższe, niż zapamiętałam, jak zawsze lekko uniesione i zaczesane na bok.

Wspomnienia naszej bliskości wracają do mnie w jednej chwili, uderzają jak powiew ciepłego wiatru, choć na dworze jest minus dwa. Uśmiecha się lekko, po czym szybko

ściąga usta, jakby się zapomniał.

Gdy do mnie podchodzi, oddech zaczyna mi drżeć. Miałam być silna. Wcisnąć mu reklamówkę w dłoń, powiedzieć kilka gorzkich słów i schować się w domu, ale teraz mam przed sobą bezbronno faceta, który rozpada się na moich oczach, tak samo jak ja się rozpadam.

– Wera, słuchaj bardzo cię za wszystko przepraszam... – Głos mu się łamie przy ostatnim słowie. – ...zawsze było mi tak strasznie głupio, kiedy...

– Kiedy mnie oszukiwałeś.

Wydaje się zaskoczony, chyba inaczej chciał to sformułować, w końcu jednak z trudem przytakuje.

Podaję mu reklamówkę.

– Idę do domu, Kuba. Spróbuj coś ze sobą zrobić, choćby dla córki.

– Spróbuję.

– Nie każdy ma szansę się zmienić. Ty ją masz.

Mówię szybko, czując, jak każde zdanie się we mnie trzęsie. Jemu chyba też nie jest łatwo. Marszczy czoło, zdaje się, że szuka jakichś słów, ale zanim je wypowiada, dodaje:

– Chyba że nie chcesz się zmieniać.

Opuszcza ramiona. Zaczyna padać śnieg, ale on nie zwraca na to uwagi, tylko na mnie patrzy z poczuciem klęski wyzierającym z oczu. Gdy to widzę, rośnie we mnie myśl, że był takim samym intruzem w moim życiu, jakim była Anna.

Wracam szybkim krokiem do domu, chcę się od niego jak najprędzej oddalić, zapomnieć. Jego wzrok pali mnie w kark, ale nie oglądam się za siebie. Zamykam drzwi, przywieram do nich plecami i dopiero wtedy oddycham z ulgą.

Bruno przychodzi kwadrans później. Pijemy razem herbatę, potem proponuje, żebyśmy przenieśli się do niego. Chce mi puścić płytę Janis Joplin, którą kupił w zeszłym tygodniu. Idziemy zatem do jego mieszkania, włącza światło, sztaluga jak zawsze stoi na środku salonu. Zaczął malować nowy obraz. Ostatnio byłam u niego wtedy, gdy zobaczyłam swój portret. Prosi, żebym nie patrzyła na nowe dzieło, bo jeszcze go nie skończył.

– Spokojnie, tym razem to nie jesteś ty – informuje z uśmiechem, a potem ostrożnie przesuwa sztalugę pod zasłonięte okno.

– A gdzie masz tamten obraz?

W jego kryształowych oczach pojawia się błysk niepewności. Lubię w nie patrzeć. Dostrzegać za nimi głębokiego, empatycznego człowieka. Przyjemna odmiana od widoków, które zakorzeniły się w mojej pamięci. Minie jeszcze trochę czasu, zanim całkowicie wpuszczę go do swojego życia. Nie jestem już tak ufna jak kiedyś, ale on wydaje się wyrozumiiałym facetem. Sam nie jest doskonały. Malowanie go pochłania, tak

jak mnie pochłaniają realistyczne sny. Znika w sypialni, po chwili się z niej wyłania z płótnem rozciągniętym na drewnianej ramie. Widzę już swój portret i czuję, jak coś się we mnie otwiera. Jestem z powrotem Weroniką sprzed paru miesięcy, która próbowała zrozumieć, co się dzieje z jej życiem.

Teraz widzę ją w pełnej okazałości, tak jak widział ją Bruno. Wymieszaną.

Czarne bujne włosy płynące po ramionach, szklista skóra, pieprzyk pod brodą, uniesiona dłoń z szafirem na środkowym palcu. To fragmenty bliskie, znajome. Ale jest też coś odrębnego. Coś, co burzy mi krew i przyspiesza oddech. Coś, co sprawia, że obraz nabiera nieznośnego ciężaru.

Puste jak muszle oczy, które przyglądają mi się zachłannie, czekając, aż zasnę.

KONIEC

Podziękowania

Przy pisaniu *Uśpionej* pomagało mi wiele osób. Serdeczne podziękowania, jak zawsze, należą się mojemu mężowi i pierwszemu czytelnikowi tej książki. Rafale, dziękuję za twoje wielkie wsparcie. Taki mąż jak ty to skarb.

Uściski dla mojej teściowej Basi. Mamo, dziękuję ci za to, że zawsze mogę na ciebie liczyć zarówno w kwestii recenzji książki, opieki nad dziećmi, jak i szczerzej babskiej rozmowy.

Dziękuję mojej Mamie za pomoc w tematach medycznych. Mamo, masz ogromne doświadczenie jako lekarka chorób wewnętrznych i biegła sądowa, świetnie mi doradziłaś w wielu sprawach.

Serdeczne podziękowania dla doktor nauk medycznych Aleksandry Wierzbickiej, wspaniałej neurolożki z Ośrodka Medycyny Snu Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. To dzięki Pani otwartości i ogromnej wiedzy na temat narkolepsji stworzyłam rys głównej bohaterki i jestem za to Pani szalenie wdzięczna.

Bardzo dziękuję Anecie Głuch za precyzyjny opis narkolepsji. Nigdy nie zapomnę naszych rozmów i tego, z jakim skupieniem i precyzją byłaś w stanie opisać różne sytuacje. Twoja pomoc była nieoceniona, dzięki tobie postać Weroniki nabrała więcej barw.

Serdeczne podziękowania dla Justyny Janickiej, wspaniałej psycholożki i psychoterapeutki z Dolnośląskiego Centrum Zdrowia Psychicznego. Bardzo mi pomogłaś w zbudowaniu właściwego portretu psychologicznego osobowości psychopatycznej. Dziękuję za twoje cenne wskazówki.

Bardzo dziękuję Arkowi Rządowskiemu, emerytowanemu policjantowi z Komendy Powiatowej Policji w Oławie, za wartościowe spostrzeżenia związane ze śledztwem opisanym w książce. Arku, dzięki twojej fachowej wiedzy wszystko stało się bardziej realistyczne.

Moc podziękowań kieruję do mojej wspaniałej redaktorki Marii Tengowskiej. Dziękuję za wiarę w *Uśpioną*!

Najmocniej dziękuję moim cudownym czytelniczkom i czytelnikom. To dzięki Wam mogę robić to, co kocham.

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska
Redaktorka prowadząca: Aleksandra Janiszewska
Redakcja: Hanna Trubicka
Korekta: Marta Stochmiątek, Joanna Kłos

Projekt okładki: Joanna Strękowska-Türkmen
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Ryan J. Lane/E+ /Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-004-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo